3030876

KŁOPOTY

Starego Komendanta.

Tom II.

Dr. Antoni J. Opowiadania historyczne, 1 tom.
1.) Pod Półksiężycem. 2.) Książę Sarmacji. 3.) Odwiedziny monarsze 4.) Na kresach. 5.) Dwór Tulczyński. 6.) Losy pięknej kobiety 7.) Tynna w końcu XVIII. wieku.
— Opowiadanie historyczne. Tadeusz Leszczyc Grabianka, Starosta Liwski.

Bałucki. M. Biały murzyn, powieść.

Biblioteka polska:

I. II. **Krasiński. Z.** Pisma. Wydanie z przedmową Stanisława hr. Tarnowskiego, 2 tomy.
III.—VI. **Mickiewicz, Adam.** Dzieła. Wydanie zupełne przez dzieci autora dokonane, 4 tomy.
VII.—X. **Zaleski. B.** Poezje. Wydanie przejrzane przez autora.
XI. **Pamiętniki Paska.** Wydanie nowe krytyczne, przejrzane przez Dra Węclewskiego.
XII. **Niemcewicz. J.** Jan z Tęczyna. Powieść historyczna.

Biliński. Dr. L. System nauki skarbowej.

Bolesławita, B. Hybrydy, powieść współczesna.
— Król i Bondarywna, powieść historyczna.
— Pamiętnik panicza. — Dziennik Serafiny.
— Nad modrym Dunajem Nowella.

Buława, E. Karlińscy. Tragedya w pięciu odsłonach.
— Joanna Grey. Obraz tragiczny z XVI. wieku w 5 odsłon.

Bykowski. P. SynZnajdy. Powieść ukraińska.

Chłędowski. K. Siwetki społeczne.

E...ly, (Asnyk Adam,) Poezje, 2 tomy.

Fotografie społeczne. przez autora **Kłopotów starego komendanta**, 3 tomy.

Jeż. J. J. Ostapek. Ustęp z przeszłości emigracyjnej

Kaczkowski. Karol. Wspomnienia 1808—1831 z papierów pozostałych po ś. p. K. K. generał sztab-lekarzu wojsk polskich, ułożył T. O. Orzechowski, 2 tomy.

Kraszewski. Kajetan. Koniuszyc Brzeski. Opowiadanie.

Lam. J. Z głębi morza. Powieść z angielskiego K. Dickensa.
— Wielki Swiat Capowic. Powieść.

Lemcke. K. Estetyka, 2 tomy.

Liske. X. Cudzoziemcy w Polsce Podróże i Pamiętniki.

Listy Tad. Kościuszki zebr. i wstęp. objaśn. przez L. Siemieńsk.

Listy Juliusza Słowackiego 1830—1848 2 tomy.

Marrené. W. Błękitna książeczka. Powieść.

Opowiadania historyczne przez K. S. Bodzantowicza.
1.) Wieczór przy kominku. 2.) Fatum. 3.) Muszkieter 4.) Sierota, wspomnienie z przeszłości. 5.) Opowiadania pani strażnikowej. 6.) Pan Gajeski, gawęda szlachecka. 7.) Kasper Cieciszowski, arcybiskup mohilowski i metrop. całej Rosyi.

Pamiętnik damy polskiej z XVIII. wieku.

Patzig. Praktyczny gospodarz, tłum. z niem. J. Turczyński.

Stadnicki. K. Olgierd i Kiejstut syn. Gedymina, W. ks. Litwy

Wilkońska. P. Na Teraz. Powieść.

Wisniewski. Zyg. Dziesięć lat w Australji. Wspomn. z podr. 2 t.

Wspomnienia Konst. Wolickiego, z czasów pobytu w cytadeli warszawskiej i na Syberji.

Zakrzewski. W. Powstanie i wzrost reformacji w Polsce.

Zwierciadło głupstwa.

Do druku przygotowane:

Dzieła Juliusza Słowackiego, Pierwsze krytyczne wydanie przejrzane przez prof. dr. A. Małeckiego.

KŁOPOTY
STAREGO KOMENDANTA.

OBRAZKI NASZYCH CZASÓW.

OPOWIADANIE

ALBERTA WILCZYŃSKIEGO.

WYDANIE DRUGIE

z rysunkami E. Błotnickiego.

TOM II.

LWÓW.
NAKŁADEM KSIĘGARNI
GUBRYNOWICZA I SCHMIDTA
PLAC ŚW. DUCHA l. 10.
1879.

1115966

58238

I -2

ZN

BIBLIOTHECA VNIV. JAGELL. CRACOVIENSIS

Biblioteka Jagiellońska

1001806771

Z drukarni K. Pillera.

BIBLIOTHECA UNIV. JAGELL. CRACOVIENSIS
58238
-2. I
58238
1
-2
ZN

PANNA PUŁKOWNIKÓWNA.

OPOWIADANIE.

IV.

Minęła już posępna zima. Zajaśniało weselsze słonko na niebie, natura zaczęła ożywiać swą pupilkę, okrywając ją cudnie piękną szatą zieloności, a z nią nastał niezwyczajny ruch w domu pana Tomasza, bo szanowny gospodarz wybierał się na wieś.

Jeszcze przed dwoma laty, właśnie gdy wziął emeryturę, kupił sobie kolonijkę o trzy mile od Warszawy odległą. Jako zawołany miłośnik ogrodnictwa, przepędzał tam całe lato gospodarując, zkąd przyjeżdżał do Warszawy, chyba po odbiór kwartalnej pensji, lub na jaką sesję bractwa. Za to, co sobota wieczorem przysyłał konie i bryczkę po żonę, która dla edukacji syna, zmuszona była przemieszkiwać w Warszawie.

Zaopatrzony w znaczny zapas nasion i różnych narzędzi ogrodniczych, poruczywszy mnie, jako

koledze, prowadzenie dalszych rachunków domowych, ma się rozumieć brulionów, gdyż wielką księgę sam na wsi kontynuował, wyjeżdżał uszczęśliwiony, zostawując nas opiece Boskiej, z tysiącznemi zastrzeżeniami porządku, rządności i oszczędności. Niezmordowany wielbiciel „ogrodów północnych“ Strumiłły, ani kroku bez nich nie zrobił; siał, sadził różne warzywa według jego metody, obiecywał żonie niestworzone rzeczy, że ją zarzuci włoszczyzną, sałatą, ogórkami, a rzeczywiście przesyłał olbrzymią kukurydzę, chmiel, krokosz, pieprz węgierski, i inne mniej użyteczne na domowe potrzeby rośliny. Z tego tytułu pełno było kłótni między małżonkami, zwłaszcza gdy się zjechali w niedzielę; żona chciała selerów, pietruszki, cebuli, a on jej dowodził, że sprzedawszy do apteki sam tylko rumbarbarum, dziesięć fur podobnych fatałaszek zakupi; lecz potem, wiatr północny dął całe lato, deszcze rzadko padały, robactwa się namnożyło i rumbarbarum się nie udał. Wszakże to nie robiło żadnych przeszkód do zmiany gospodarstwa: on co rok nowe wynajdywał rośliny, i uśmiechając się litościwie nad błędną rezoną kobiety, z całem zapałem oddawał się swojemu dziełu. Tego roku znowu, wszystkie prace poświęcił na uprawę słonecznika.

— To mości dobrodzieju najużyteczniejsza roślina! Patrz Jasiu, co tu pisze Strumiłło: —

„z ziarnek wyśmienita oliwa, z liści doskonała karma dla bydła, z łodyg papier być może“, i cóż tu więcej brakuje? Człowiek ucywilizowany, prawie połowę potrzeb swych w nim znajdzie gotowych, a jeszcze i resztki po wyciśnieniu oleju na coś się zdadzą, nie prawda?

I dla uprawy tej użytecznej rośliny, oddzielał znaczny kawał ziemi w swym ogrodzie; z książką w ręku wyciągał sznury, dzieląc na równe łokciowe kwadraty, pilnował, by sługa wrzucała ziarnka kiełkami do góry, bo, jak twierdził, mogłyby słoneczniki rość w ziemię. Nic nie pomogły wyrzuty pani Urszuli, nie zastraszały trudności uprawy; on zaniedbywał wszystko tak dalece, iż żona musiała nająć gospodynię, któraby coś z ogrodowizn mogła zasadzić i takowe na potrzeby domowe przysyłać.

Co niedziela prawie jeździliśmy do pana Tomasza, a za każdą razą, prócz zwykłych rachunków domowych, musiałem mu przedstawiać szczegółowy raport o czynnościach biurowych, cenach drzewa przed teatrem, i o zdrowiu jego przyjaciela rzeźnika pana Jakóba. Często przywoziłem pakiety listów od przyjaciół z różnych stron Królestwa, którzy obsypywali go tysiącznemi interesami. Ma się rozumieć, ich dopełnienie, wkładał na mnie, jako kolegę: musiałem więc po całych dniach chodzić po biurach: temu za assygnacją z Komi-

sji Skarbu, temu o paszport, innemu o odbiór pieniędzy, innemu znowu o zniesienie kar; i choć pan kontroler gniewał się bardzo, że ciągle go zarzucają interesami, jednakże z całą skrupulatnością je wypełniał, i ani jednem słówkiem nie dal poznać, że podobne obarczenia go, są dlań uciążliwemi.

Jak tylko raport się skończył, stary wiódł mię do ogrodu; pokazując już podrastające słoneczniki, rozpowiadał co on to ma kłopotów w odpędzaniu wróbli, które mu niszczą tak piękne łodygi.

— Przecież — mówilem — jeszcze nie mają co jeść, kwiat ledwo się pokazuje.

— Ej! co tam mości dobrodzieju: ja też odpędzam ich dla tego, żeby się nie nęciły i nie psuły, jak dojrzeją słoneczniki.

Potem prowadził mię do drzewiny, którą oczyszczał z suchych gałęzi, umyślnie urządzonym na to nożem, oprawnym na wysokiej tyczce; lecz służący jego pod sekretem mi opowiadał, że jegomość nie dowidzi, i z pomiędzy 10 obciętych gałęzi, pewno ze sześć zdrowych odpadnie. Po południu, na polowanie zapraszał kolegę, na kaczki, co nie daleko od kolonji, gromadami żerowały po bagnisku lub kuropatwy, obficie znajdujące się po polach.

— Kuropatwy mądre to ptaki — mówił — ale i ja nie w ciemię bity. Widzisz, znalazłem na

nich sposób: tłukę mości dobrodzieju po trzy dziennie, patrzaj, ktoby się na to zdobył!

I wyjmował z za łóżka ogromną płachtę, okręconą na drewnianych wałkach, rozwijał z pewnem zadowoleniem, i dowodził, że to jest kształt i wielkość skóry z krowy wiśniowego koloru, że on wziąwszy fuzję pod pachę, okrywa się nią zupełnie nachylając, a tak wygląda jak krowa, i kuropatwy nie spodziewając się człowieka, dosiadają w miejscu.

— To dobrze — mówiłem niedowierzająco — jednakże nie widzieliśmy dotąd tych kuropatw, które pan kontroler zabija!

— Ale, bo widzisz kawalerze nie mam psa: trafię prawie zawsze, lecz to mocne ptaki, lecą jeszcze, zapadną Bóg wie gdzie, a ja mości dobrodzieju znaleźć ich nie mogę!

Pan Tomasz tak był szczęśliwy podobnem życiem na wsi, tak się rozkochał w słonecznikach, że coś przez kilka tygodni wcale po nas nie przysyłał. Dziwiliśmy się mocno jego milczeniu, nie mogąc dociec powodu onego, on zaś tymczasem gotował nam niespodziankę, bo słoneczniki dojrzały zupełnie, i chciał odrazu pokazać swoje arcydzieło ogrodnicze. Więc też przy końcu lata, gdy wypadło jakieś święto uroczyste z odpustem w jego parafji, odebraliśmy list pełen tajemniczości, z zaproszeniem. O świcie stanęliśmy w kolonji; pan Tomasz z uśmiechem wiele obiecującym przyjął

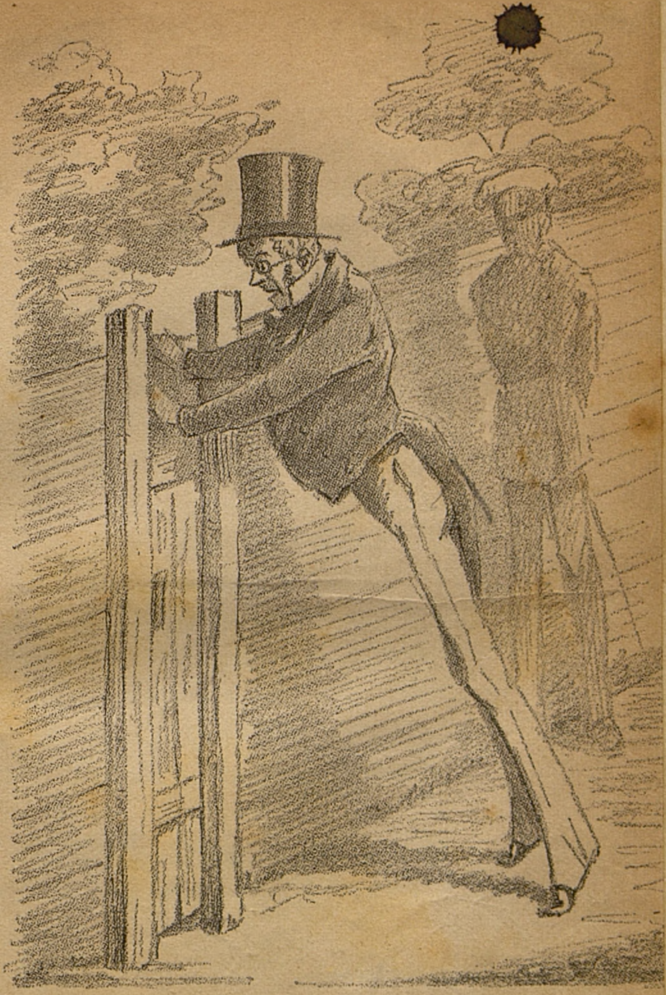
nas w progu, raczył czem mógł, i poprowadził na ranną mszę do kościoła. Lecz widać srogie przeznaczenie kierując dotąd jego gospodarką, i tą razą nie dozwoliło mu zakosztować owocu całorocznych prac i usiłowań. Zaledwie bowiem weszliśmy do kościoła, szanowny emeryt spojrzawszy na ołtarz Bogarodzicy przystrojony rzęsisto słonecznikiem, stanął jak wryty, wodząc osłupiałym wzrokiem dokoła. Coś piknęło go w duszy, że te słoneczniki, od których żółta łuna tak jasno odbijała się na białem tle kościoła, są jego. Jednakże zdobył się na tyle mocy, że usiadł w ławce i wyjął książkę do modlitwy. Choć nadzwyczaj nabożny, choć widocznie usiłował zapomnieć o słoneczniku, jednakże co chwila odrywał wzrok od książki z wyrazem nieopisanego żalu i boleści, spoglądał na przeciwległy ołtarz. Msza się skończyła, pan Tomasz nie pocałowawszy patyny, nie czekając na żonę i syna, porwał mię gwałtownie za rękę, i zdziwionego tą niezwykłą żywością starca, ciągnął za sobą ku domowi.

— Widziałeś! widziałeś — powtarzał gorączkowo.

— Nie widziałem, proszę pana — odpowiedziałem machinalnie.

— To pójdź prędko, a zobaczysz!

Zadyszani, przybiegliśmy przed furtkę ogrodu; jak na złość była zamkniętą, emeryt wstrząsnął nią silnie, stare drzwi zatrzeszczały w zawiasach,



....Emeryt wstrząsł furtką silnie... (Str. 10.)

BIBLIOTHECA VNIV. IAGELL. CRACOVIENSIS

pochwiały się i runęły z wielkim łoskotem. Jak szalony wpadł do ogrodu, pędził co sił starczyło w lewą stronę ogródka, i nagle zobaczywszy las gołych łodyg słonecznika, stanął załamując ręce, aż do kości w stawach trzeszczały.

— I to mój Boże tyle pracy, tyle znojów na nic! No i widzisz kolego, jaki to lud niegodziwy; gospodarujże tu, rób doświadczenia, mozól się a przyjdzie pierwszy lepszy hultaj i wszystko zniweczy. O! nie daruję! jak mi Bóg miły, nie daruję: napiszę skargę choćby do samej Komisji!

Stałem milczący, żałując tego poczciwego starca, bo pojmowałem jego boleść; on naraz umilknąwszy, smutnie głowę zwiesił na piersi. i z wyrazem pełnej rezygnacji przemówił:

— Nie, nie, tego nie można zrobić! Jak bądź, tak bądź, jednak to poszło na chwałę Boga, ołtarz ubrali, a Stwórcy należą się najlepsze pierwiastki; dać pokój, powtarzał — dać pokój! i cóż mi z tego przyjdzie, że tam jednego i drugiego obiją?

I z zasmuconą wszelako twarzą poszedł ku domowi, rozwodząc się nad pięknością byłych słoneczników.

— Wiesz kawalerze, nie przesadzam, ale były jak czapki, mości dobrodzieju: a co to za ziarnka! — jak laskowe orzechy! Darmo, Bóg tak chciał, niech się dzieje wola Jego przenajświętsza.

Lecz nie tu był koniec umartwienia pana Tomasza; przy rewizji szczegółowej ogrodu okazało się, że i piękną latorośl jabłonki, co to jak sosna bujnie prościutko wyrosła, ścięto zapewno na laskę.

— Oh hultaje! o zbrodniarze! oni śmieli zniszczyć tak ładną drzewinę? Ażeby był taki nicpoń przyszedł do mnie i powiedział, że mu laski potrzeba, jak Boga kocham — zawołał — a wielkie to słowo, kupiłbym mu bambusową ze złotą gałką, żeby mi tylko nie psuł drzewiny! Nic nie pomoże, mości dobrodzieju, trzeba sprzedać kolonję bo ja tu chyba rozum stracę z takim ludem; i to lud, lud, patrzaj kawalerze, lud!

Ledwo zdołaliśmy go uspokoić, przekładając, że potrzeba dobrze opasać murem ogród, to i nie będzie podobnej szkody.

— Chyba fortecę zbuduję, mości dobrodzieju, bo inaczej się nie uchronię od złej szarańczy; tak, trzeba mur wyciągnąć! — i biegł do szafki, wydobywał ulubionego Strumiłłę, szukając zapewne nowej rośliny, którąby już po obmurowaniu ogrodu bezpieczniej mógł pielęgnować.

Przeszła znowu tym porządkiem druga zima, nastała trzecia wiosna podczas pobytu mojego w Warszawie, a ja doprosić się nie mogłem o

pozwolenie odwiedzenia rodziców. Wreszcie Opatrzność zlitowała się nad nieszczęśliwym, otrzymałem posadę, a z nią i pensję, mogłem więc bez nadwerężenia kieszeni ojca, odbyć podróż w znajome mi strony, gdzie były serca kochające mię szczerze, i gdzie spoczywały wszystkie młodzieńcze marzenia i nadzieje przyszłości. Blizko trzyletni pobyt w mieście, ciągłe stosunki z ludzmi nareszcie i wiek obfitszy w doświadczenie: zmieniły znacznie mój charakter i pozwoliły zdrowiej zapatrywać się na bieg wypadków. Byłem mężczyzną w pełni życia, sam dziwiłem się już podobnie dziecinnym myślom, jak naprzykład mojemu oświadczeniu się o rękę Stefci; pusty śmiech osiadał na licach, gdym wspomniał ową chwilę upadku z jabłoni, lub zamiar gospodarowania na wsi. Teraz w innem świetle widziałem życie, pojąłem choć cząsteczkę wielkiego celu Stwórcy, do którego przeznaczył człowieka; umysł mój przeczuwał że nie same przyjemności zmysłowe, i zaspakajanie czysto materjalnych potrzeb życia, są nieodzownym warunkiem naszego bytu, lecz walka krwawa duchowej strony z cielesną, pasowanie się tych dwóch szermierzy w szrankach żywota, pasmo dobrowolnych ofiar, z tego wszystkiego co najmilszem dla nas sądzimy, mogą urzeczywistnić, mogą wykazać przeznaczenie jego, i mogą wlać nadzieję zwycięztwa, a z nią lepszej przyszłości. Bo i

rozpatrzywszy się uważnie we wszystkich kolejach życia ludzkiego, tak w biednym jak w wysokim stanie społeczeństwa, czyż nie spostrzeżemy tych samych dążeń, tych zabiegów i udręczeń, dla osiągnienia marnego kawałka kruszcu, za który moglibyśmy żyć wygodniej, i łatwiej dogadzać cielesnym potrzebom i namiętnościom naszym? I czyż nie widzimy, że zawsze czegoś nam brakuje, zawsze szukamy więcej i więcej, nie pojmując granic tych żądań? A proszę was, pomyślcie tak szczerze, bez uprzedzeń, czy warto dobijać się o to mniemane szczęście, gdy ono nas nie zadowoli nigdy, i nie położy kresu nieustannie zjawiającym się potrzebom? Nie, zaiste, nie tu źródło szczęścia i obowiązków człowieka!

Myśląc o mojej matce, mówiłem: przypatrzcie się tej kobiecie z wiarą i uczuciem w sercu; biedna, ledwo wystarczyć może na wyżywienie swych dziatek, nie zna co dostatki, nie zna co kosztowne ubiory, co chwila błogiego wytchnienia; noga jej nie zbrudziła nigdy pysznych kobierców salonów, myśl nawet nie pobiegła za krańce domowej zaciszy. I cóż, myślicie, że wzdycha za tą ponętną rozkoszą świata, że zazdrości bogaczom ich wygód lub majątku? nie, pewno nie! Ona pojęła życie, zrozumiała że jest matką, że nie należy do siebie, lecz do swych dzieci, a przez nie do całego społeczeństwa. To jej najpierwszy cel, do którego

stosuje wszystkie wszystkie swoje myśli, życzenia i dzieła. Z wesołym umysłem, z wiarą w Opatrzność, spogląda śmiało przed siebie, uczy pacierza drobne niemowlę, pokazuje mu z ufnością niebo, że tam mieszka wielki Bozia, co go widzi i słyszy na każdym kroku, co zażąda kiedyś rachunku z udzielonego sobie życia, i daru przelewania go innym istotom! Umartwienia, nieszczęścia znosi z stoicką odwagą bohaterki, bo jest przekonana, że kogo Bóg zasmuci, tego i pocieszyć nie omieszka! Litośnem okiem spojrzy na biednego współbrata, widzi w nim człowieka podobnego sobie, nie odtrąci słowem pogardy lub wstrętu, bo wspomni na siebie, na otaczającą ją dziatwę, i pomyśli: kto wie, czy i one nie pójdą kiedyś zmuszone fatalnością losu, wyciągać rękę żebraczą po kroplę litości innych? Otóż to mi jest chrześcijańska kobieta, to jest matka, to jest obywatelka! A co jej podobnych znaleźć można na świecie, szczęśliwych, zadowolonych, choć bez majątku? Zapytajcie się serc waszych, i spojrzyjcie na życie wasze, one wam za mnie odpowiedzą.

A ileżto znowu takich, co są przedmiotem zazdrośnych spojrzeń, i przykrych westchnień naszych; choć w złocistych salonach, z czeredą sług i przyjaciół, wszakże nie jedną noc przepędzą narzekając smutnie, że tak koło nich zimno, że nigdzie, nigdzie serca, uczucia, łzy, tylko interes, pieniądz

i duma. Biedni! godni są więcej litości i współczucia nędzarza, niżeli zawistnych spojrzeń, liczących mniej miljonów. Bo i to prawda, że biedak cierpi, że czuje swoją ciężką niedolę; lecz mniej mając wykształcenia umysłowego, pojmuje tylko całość, nie odróżniając najdelikatniejszych jej odcieni. I to co dla niego fraszką, tamtym prawdziwem bywa nieszczęściem.

Zgadzam się, co już tysiąc innych powiedziało, że tylko kobieta jako matka, jest w stanie wlać nam to piękne pojęcie przeznaczenia człowieka. Ona, zapatrując się sercem na życie, dostrzegając w niem najbardziej piękną i uczuciową stronę, może skutecznie wpoić w młodociany i giętki umysł dziatek, wiarę w Boga i Opatrzność Jego, może zaszczepić święte uczucie miłości bliźniego, dać poznać cnotę nakazującą się kochać, a tem samem zwrócić umysł na duchową i właściwą mu drogę. Na jej więc przezorności spoczywa dalsze szczęście i nieszczęście synów i córek naszych, na nich opiera się byt społeczeństwa, i na nich też cięży sroga odpowiedzialność, gdy chybią celu do jakiego powinny dążyć z obowiązku matki. Bo chociaż nie wszystkim przeznaczono być słońcami ogrzewającemi ludzkość, lecz wspólnie wszystkim dano serca i uczucia, któremi mogą przyjmować godnie, dobroczynne dary Stwórcy. A powtarzam wam te słowa Chrystusa: „że ziarnko zdrowe, rzu-

cone w dobrze uprawną rolę, musi plonne wydać owoce."

Takieto wnioski robiłem sobie wówczas, patrząc na tyle młodzieży w sile wieku z zdolnościami, majątkami, pięknem imieniem i postawą, tracących te wiosenne chwile życia na zabawach bezustannych, brudnych intrygach, lub próżnowaniu. Żyli aby żyć, z dnia na dzień, aby dalej, aby dalej bez myśli, bez zastanowienia się co to jutro będzie? poco się to żyje? Zwyczajnie dobrze im było: jedli, pili, tańczyli, kochali się, grali, i cóż tu więcej żądać dla młodzieńca pięknie wychowanego? Książkę do ręki wziąć czasu nie ma, zresztą po co? — przecież żaden z nich literatem nie będzie. Ha! ha! ha! śliczna mi rzecz autor: każdy inaczej na niego patrzy, panny się śmieją, nazywają nudnym moralistą, a w dodatku można umrzeć z nędzy, jak nieboszczyk Malczewski. I cóż mu tam z Marji pzzyszło, że świat ją uwielbia? Dziękuję za taką sławę, dziękuję: wolę ja się bawić, żyć póki młodość, a jak się zestarzeję, wtedy co innego: będę się modlił po całych dniach, psy, kanarki chował - i rzecz skończona.

Otóż tak mi jeden mówił, gdym się dziwił jego sposobowi życia. Widzisz mój panie, możeby się to i pomyślalo o zmianie, lecz tak trudno odwyknąć od tego, z czem się wzrosło, na co się patrzało od niemowlęcia, i co popłaca na świecie.

Bo przyznam się, z tem mi jest bardzo dobrze: ludzie starsi mię chwalą, matki za wzór swym synom pokazują, a im też coś wierzyć potrzeba!" — Ale zresztą dajmy już pokój temu, zaszlibyśmy Bóg wie jak daleko, a tu trzeba kończyć kłopoty.

Nie donosząc nic ojcu o mojej pensji, i czekając tylko na pierwszy jej odbiór, postanowiłem puścić się w drogę, i sprawić rodzicom prawdziwą niespodziankę. Przygotowania do tej podróży, drobne podarki dla wszystkich znajomych i przyjaciół, którem skupował, zajęły prawie tydzień; zbliżająca się chwila odjazdu wydawała mi się nieznośnie długą. Niecierpliwiłem się mocno, zwłaszcza że już półtora miesiąca upłynęło, jak ani jednego listu z domu nie otrzymałem. To też pewnego dnia rano, spostrzegłszy wchodzącego posłańca z listem, nie posiadałem się z radości. Z żywością więc niezwyczajną rozdarłem pieczątkę, i przejrzałem kilka wierszy skreślonych ręką Stefci w tej osnowie:

Panie Janie!

„Coś nadzwyczajnego stać stać musiało w naszym domu; od kilku dni widzę niezwykły ruch i zmartwienie rodziców. Prośby moje, płacze, nic nie mogły z nich wydobyć; przyjeżdżaj więc jak najprędzej, może twoja obecność zdoła ich rozweselić, a może potrafisz złagodzić to nieszczęście, które ich dotknęło. Czekam więc niecierpliwie twego przybycia i o sekret upraszam."

Łatwo sobie wyobrazić, jaką trwogą przyjęła mię podobna wiadomość. Myśl o nieszczęściu ojca i kochanej matki utkwiła w głowie tak dalece, że zapomniałem o wszystkiem. Gdyby porucznik się smucił, prędzejbym sobie to wytłumaczył jego żywością, bo jak prędko się gniewał, tak prędzej jeszcze pocieszał; lecz droga matka tak rozsądna i tak cnotliwa gdy cierpi, pewno ma ważną do tego przyczynę. Gniewał mię ten list pełen tajemniczości, każda chwila zdawała się dniem: więc aby raz położyć koniec mej niepewności, postanowiłem natychmiast prosić o urlop, i ruszyć w drogę. Poczciwemu panu Tomaszowi pomieścić się nie mogło w głowie, jak można wyjechać tego samego dnia, w którym myśl podróży w nas powstała.

— To, to mości dobrodzieju prędko, prędko, bez ładu i składu, a kto to widział kawalerze! Wczoraj aniś wspomniał o wyjeździe, a dziś hola w drogę o 40 mil! Kto cię to wyuczył tej medoty? — pewno nie kontrola.

— Ależ proszę pana kontrolera — odrzekłem niecierpliwie — czyż mogę się wahać i odwlekać podróż, gdy rodziców żywych może i nie zobaczę?

— Wszelki duch Pana Boga chwali, mości dobrodzieju! A co to ja słyszę! Jędruś mój chory, czy co? Mówże prędko! — wołał przybliżając się ku mnie i szarpiąc za guzik od surduta.

— Nie wiem co się stało, tylko doniosła mi Stefcia, że jakieś nieszczęście wielkie na nich spadło, i prosi na wszystko bym przyjeżdżał.

— Ej! głupstwo, kawalerze! Ona pisała tylko, nie rodzice? — bądź spokojny, taki list nie posiada urzędowej cechy; zwyczajnie sobie młode, mości dobrodzieju! — mówił dalej uśmiechając się stary — radaby cię obaczyć, i zwodzi.

— Ty tak zawsze o kobietach rozprawiasz srogo — odezwała się pani Urszula. — Zły języczek u pana dobrodzieja; co to, żeby listy kobiece nie miały urzędowej cechy, kto cię tego nauczył?

— A nie mają, nie, nie, i jeszcze raz nie! — wołał głośno emeryt, bijąc pięścią jednej ręki o drugą.

— Doprawdy? jaki mi teraz filozof, a przed dwudziestą laty takoś może myślał?

— Tak, tak — odpowiedział śmiało.

— A pocóżeś latał za tą, tą... i pisywał....

— Daj pokój kobieto! Urszulko! mówił prędko pan Tomasz machając rękoma przed sobą, i wynosząc się do drugiego pokoiku; lecz wrócił się jeszcze do mnie z napomnieniem, żebym o serdelkach i bułkach nie zapomniał, bo mógłbym z głodu umrzeć nim dojadę. Podziękowałem za radę i troskliwość, szczęśliwy, żem się uwolnił od nudnej perory pana Tomasza; wybiegłem w miasto, i w kilka godzin paszport, zapisanie się na pocztę,

i inne formalności odjazdowe załatwionemi zostały. O godzinie szóstej ruszyła kurjerka, a jam swobodniej odetchnął, przebiegając myślą już przebytą podróż, i przenosząc w te miejsca, gdzie cierpiały kochające mię serca.

Trzeciego dnia podróży, gdy niespokojność moja przybierała nieograniczone rozmiary, ukazał się znowu widok rodzinnego miasteczka, owa srebrzysta Wisła, poważne a urocze Tatry i biały domek z błyszczącemi oknami. Boleść i radość naprzemiany przejmowały duszę: zbliżałem się do tych miejsc, tyle pamiętnych w mem krótkiem życiu, które opuściłem ze smutkiem i nadzieją, a drżałem teraz na samą myśl o rodzicach. Słońce miało się ku zachodowi, przeczysty błękit nieba, z lekkim powiewem wiatru, uprzyjemniał jazdę; gdzieniegdzie pokazująca się gwiazdeczka, patrząc żałośnem okiem na moje myśli, zdawała się wlewać nadzieję w udręczone serce i mówić: „nie twórz się, jesteś na swojej ziemi, w swojej atmosferze, między swojemi; tu żadne złe spotkać cię nie może, tu wszystkie żywioły znają cię jak brata: one nie dopuszczą, abyś z tęskną myślą do nich powracał!“

Bryczka z wściekłemi podskokami, jak rokoszująca kula, biegła po gliniastej drodze; tumany kurzu obłokiem ją przykrywały wraz z nami i końmi, warstwa białego pyłu osiadła całkiem odzienie, i tłumiła oddech. Trzy krzyże tuż blizko po-

dnoszą swe wzniosłe ramiona, jakby chciały niemi objąć ten świat uroczy, i przytulić do swego łona; pod niemi, migają jakieś białawe przedmioty, poruszając się ku stronie od której jechałem. Serce przeczuło, że to Stefcia z siostrą. Wyskoczyłem więc z bryczki, i jak nieprzytomny biegłem na ich spotkanie.

— Jasio! Jasio! — wołały dziewczynki wyciągając ręce.

Po pierwszych uniesieniach przywitania, z trwogą i niezwykłem biciem serca zapytałem o rodziców. Stefcia skłoniwszy głowę milczała, jam zdawał się pojmować w tem milczeniu cały ogrom nieszczęść, jaki mię oczekuje.

— Nic — odrzekła pomieszana — jak było tak jest, a podobno coraz gorzej.

— Objaśnijże przez litość, co to być może? Czy się nie dorozumiewasz tego nieszczęścia, nie przypuszczasz zkądby pochodziło, i jak dawno to się stało? Mów, mów, bo nie uwierzysz, ile mię dręczy ta niepewność!

— Pójdźmy ku domowi — rzekła biorąc mię pod rękę — każ zajechać służącemu na pocztę, żeby się nie dowiedziano o twoim przyjeździe, a ja przez drogę wszystko ci opowiem, co tylko wiem, lub przeczuwam.

— Widzisz, mój Jasiu kochany — mówiła przyciskając mą rękę — będzie temu może ze dwa ty-

godnie, gdy przybył do nas jakiś wędrujący zegarmistrz, prosząc o robotę. Ojciec uczepił go się zaraz, chcąc korzystać z jego umiejętności i zaproponował reperację tego zegara, co to wisi w twoim pokoju około drzwi prowadzących do sali. Przez trzy dni siedział z nim zajęty majsterką, raczył mistrza czem mógł, pokazywał wszystkie swoje osobliwości, fajki, pistolety, szkatułki; słowem zrobił go prawie powiernikiem swoim.

— Wiem, wiem — przerwałem — ojciec dla zegarów wszystkoby poświęcił, to jego słabość.

— Otóż przed dziesięciu dniami, ten zegarmistrz nagle zniknął, jak się domyślam coś ukradłszy, bo zaraz ojciec rozesłał pogoń za nim, śledził, jeździł sam dni kilka, lecz pokazuje się wszystko było napróżno. Powrócił zmartwiony, przygnębiony, zamknął się z matką w pokoju, i coś długo, długo z sobą rozmawiali. Po tej naradzie gdy wyszedł, oczy łez pełne, zaognione, i cała ta poczciwa twarz, dowodziły głębokiej boleści i niepowetowanej straty. Matka również przygnębiona smutkiem, płacze po całych nocach, modli się, i nigdzie miejsca sobie znaleźć nie może. Prosiłam, zaklinałam, klękałam przed niemi wraz z Julcią by się uspokoili, lub powiedzieli przyczynę umartwienia: wszystko było napróżno. Porucznik mię uściskał, zapewniając, że to minie, żeby się nie troszczyć o niego, i nie donosić tobie. Matka choć

w stanie godnym politowania i pociechy, tyle jednak potrafiła uzbroić swą rezygnację, że uspakaja mię serdecznie mówiąc, że to mało znacząca drobnostka o której najlepiej zapomnieć; stara się być wesołą a przynajmniej spokojną. Dziś nawet, choć prosiła nas z Julcią abyśmy wyszły na przechadzkę, umiała pokryć tę prośbę taką obojętnością i naturalnością, iż gdybym nie znała jej serca i charakteru, mogłabym uwierzyć, że niebezpieczeństwo minęło, i spokój zawitał do skołatanej duszy. Tymczasem wiem, że posłano po Jakóba, aby konie przygotował jutro na godzinę 10tą, i że matka ma gdzieś wyjechać w podróż daleką, bo widziałam większe niż zwyczajne przygotowania.

Nie słuchałem już więcej, tylko ile możności przyśpieszając kroków zdążałem ku domowi.

— Mój Jasiu — mówiła błagająco Stefcia — nie wpadnij też nagle do pokoju, bobyś ich mógł przestraszyć swem niespodzianem przybyciem; ja zawsze obcą jestem dla was, a podobne sceny nieszczęścia, nie lubią mieć świadków.

Spojrzeniem tylko podziękowałem za tak rozsądną radę, a sam z bijącem sercem i trwogą, wszedłem w znajome mi pokoje. Lubo już kilkanaście lat minęło od owej chwili, lubo inne również bolesne ciosy uderzały kilkakroć o biedną moję duszę, jednakże nie mogę zapomnieć najdrobniejszego szczegółu ówczesnego spotkania. Do-

brze już było ciemno, w pierwszym i drugim pokoju pusto, nigdzie żyjącej istoty; jakieś złowrogie przeczucie nieszczęścia owionęło wszystkie sprzęty. Uchyliwszy lekko drzwi od bawialnego pokoju, po narzuconej ścieżce, bez stuku, podsunąłem się ku drzwiom sypialni kobiet. Tak byłem nieprzytomny, że nie wiedziałem co dalej przedsięwziąć. Myśl odkrycia powodu umartwień rodziców przedewszystkiem zabłysła w skołatanym umyśle; uklęknąwszy więc na suknie, przez dziurkę od klucza zapuściłem wzrok do sypialni.

Obok stołu, umieszczonego wprost drzwi wchodowych, z jednej strony, siedziała matka z podpartą oburącz głową i pełnemi oczami łez. Łkania jej głośne dochodząc moich uszu, jakby ostrem sztyletem raniły serce; na całej twarzy rozlana boleść głęboka, prawdziwa, serdeczna, wzbudziłaby litość najmniej obojętnego człowieka. Blizko pięćdziesięcio-letnia kobieta, ze śladami mozołów i ciężkiej pracy na wzniosłem i szlachetnem czole, z włosem czarnym poprószonym siwizną, niedbale spadającym na oczy i rozsypanym po stole, wreszcie z tem rozpaczającem okiem, i głośnem a rzewnem łkaniem, wydawała się tą Magdaleną pokutnicą, żałującą ciężkich przewinień, nie swoich, lecz całego rodu ludzkiego. Z drugiej strony, porucznik trzymając pióro w ręku, pisał coś na

dużym arkuszu papieru, rachował, podkreślał, mazał, i znowu wpisywał.

Czoło pomarszczone w ogromne fałdy, oczy zapadłe, policzki wklęśnięte, dowodziły, że smutek już dawno nurtując duszę, głębokie w niej zapuścił korzenie. Co chwila rękawem szaraczkowej węgierki ocierał łzy spadające na papier, spoglądał z ukosa na matkę, a gdy jej wzrok napotkał, zdawał się gniewać na siebie, że tyle jest słabym i nie potrafi pohamować boleści. Przed nimi, cały stolik założony był różnemi kosztownemi sprzętami: staroświecka cukiernica, tuziny łyżek, widelców i nożów srebrnych, broszki, kólczyki, spinki, perły ślubne matki, lichtarze, łańcuszki, nawet pas złotolity po dziadku moim, czepiec ślubny babki, pistolety kością słoniową wybite, zegarki i pudełko z krzyżem legji: wszystko to ułożone w kupki, było przedmiotem rozmyślań rodziców.

— No i cóż? — zapytala niespokojnie matka, śledząc każdy ruch pióra porucznika.

— Zaraz, zaraz — przemówił prędko i liczył dalej: — czterdzieści ośm a dziewięć, pięćdziesiąt siedm. — Znowu toż samo milczenie.

Chcialem już otworzyć drzwi, upaść im do nóg, płakać z niemi wspólnie, i poświęcić życie za jeden wesoły uśmiech na ich twarzach, lecz jak na złość, ani jedna lezka nie zaświeciła w oku; obłęd jakiś ogarnął cały umysł, nogi się zachwiały, i

zmuszony byłem usiąść na ziemi. Wkrótce jęk długi ojca wrócił mi przytomność; podniosłem więc ociężałą głowę, i postanowiłem wytrwać do końca tej okropnej sceny.

— Darmo, kochana Zosiu! darmo, tylko dwa tysiące się zbierze: czterech brakuje! — zawołał porucznik powstając, i załamując ręce z przeraźliwym trzaskiem.

Matka wybuchała jeszcze głośniejszym płaczem, a on schwyciwszy się oburącz za włosy, ze wzrokiem niemego wyrzutu wzniósł oczy do góry, wołając nie głosem, lecz prawie całą wewnętrzną mocą wszystkich organów:

— O Boże, Boże wielki! za cóż mię też tak srogo ukarałeś? Cóżem Ci Panie zawinił, że mnie lichego robaczka dotknąłeś palcem Twojego gniewu?

— Jędrusiu! mężu mój! nie urągaj Bogu, wstrzymaj się, nie bluźnij — zawołała matka chwytając go za ręce.

Lecz on odepchnął ją lekko od siebie, z wyrazem nieograniczonej rozpaczy, spojrzał na leżące przed nim sprzęty, i znowu począł wyrzekać:

— W tylu bataljach ochraniałeś mię Panie od zguby, odsuwałeś zabójcze kule od mego łona, pozwoliłeś zsiwieć się tej starej głowie, a dzisiaj zesłałeś cały ogrom Twej zapalczywości na to skołatane serce! Czyż Panie nie ma iskierki litości

dla mnie, czyż wyczerpnęła się miarka Twej łaski dla biednego stworzenia Twego?

— Jędrusiu, Jędrusiu! nie zapominaj się, błagam! wołała poczciwa matka, chwytając go w objęcia — wstydź się starcze schylony nad grobem, urągać Wszechwładcy twemu! Czyż On nie ocalił tylu mu wiernych na ziemi, czyż miłosierdzie Jego ma jakie granice? I takażto wiara twoja w Opatrzność, i takażto religia w sercu? Wierz mi, więcej cię ceniłam!

— Masz rację, droga Zosiu! Tak jest, bluźnię, nikczemnik jestem, daruj mi kochanie, ja nie wiem co mówię!

— Nie mnie błagaj, nieszczęśliwy, lecz tego Boga którego tak ciężko obraziłeś! Uspokój się, On nas nie opuści: sprzedawszy wszystko, podwoimy oszczędność, pracować będziemy od rana do zmierzchu nieustannie, a mam nadzieję, w rok uzupełni się kwota. Teraz pokaż mi rejestr.

Ojciec już troszkę spokojniejszy, podał swój rachunek i głośno wyliczał przedmioty, oznaczając ceny.

— Zamało liczyłeś — mówiła słuchając matka — spodziewam się, że więcej da się utargować. Jutro pojadę, a ty mój mężu nie rozpaczaj, bo widzisz i Stefcia już coś zaczyna się dorozumiewać; udawaj spokojność, zdobądź się na odwagę, do Jasia napisz jak zwykle: odjęcie mu pensji wytłumacz

nadzwyczajnemi wydatkami z powodu dorastania Julki. On poczciwy, on nas kocha bardzo, pewna jestem, o suchym kawałku chleba pracowałby lata, żeby znał powód tej oszczędności.

— A niech Bóg zachowa, żeby się miał kiedy dowiedzieć prawdy; wiesz, ja ojciec jego, ja, porucznik, dotąd niczem niesplamiony, musiałbym się wstydzić przed własnem dzieckiem, za moje nieostrożność!

— Bóg tak chciał — poszepnęła matka, — niech się dzieje wola Jego. Co się stało, nie odstanie: obojeśmy winni; trzeba było ulokować Stefci pieniądze wszystkie, a nie mielibyśmy dzisiaj powodów opłakiwać ich straty.

— Ach! żebym znalazł tego łajdaka, dziesięć razy bym go zabił, mosanie! — wykrzyknął wściekle porucznik.

— No, już daj pokój, nie wspominaj niegodziwca; ot lepiej idź spać, bo to jedenasta godzina.

— Gdzież tu mnie spać, moja kochana, gdzie tu dać pokój, jakby on usłuchał naszych chęci. Tobie tylko ziękuję, droga przyjaciółko, żeś uchroniła mię od hańby, radząc zachować tajemnicę. Bo słuchajno, czyby to uwierzył kto, że mi skradziono pieniądze? Powiedzieliby zaraz: schował sam, dowodów nie ma, i kwita. Ja teraz nawet nie mogę oczu podnieść na nikogo; zdaje mi się, że na każdej twarzy czytam szyderski uśmiech

powątpiewania o mojej uczciwości. Panie pułkowniku, święty mój patronie! ty jeden widzisz niewinność, ty jeden przebaczysz nieroztropność twojego przyjaciela; tyś to przeczuwał, tyś pisał w ostatnim liście: „chroń przedewszystkiem małej spuścizny Stefci, bo biedna, w cóż by się obróciła!“ Jam zdradził twą przyjaźń, jam nikczemnik, morderca, zabójca twojego dziecka! Jam zabił przyszłość mojego Jasia, bo cóż on teraz bez naszej pomocy przedsięweźmie? Pracując nad siły, przeklnie niegodnego ojca...

— Błogosławić będzie twej szlachetności i kochać cię jeszcze bardziej! — zawołałem wpadając do pokoju z rozognionem wzrokiem, rzucając się do nóg jego.

— Wszelki duch Pana Boga chwali! przebąknął żegnając się strwożony porucznik, i cofając się na kilka kroków:

— Co to jest? kto ty jesteś, czyś ty, mój synu? — mówił nieprzytomnie.

— Zkąd się ty wziąłeś u nas? — zawołała z pewnem niezadowoleniem matka, podnosząc mię z ziemi.

— Przebaczcie! darujcie, kochani rodzice i dobrodzieje moi, ja wszystko słyszałem.

— Coś słyszał? co? — krzyczał zaczerwieniony porucznik z wzrokiem, któryby przestraszył

najodważniejszą duszę, i potrząsając silnie mojemi ramiony.

— Wszystko kochany ojcze!

— I tyś śmiał być tyle podłym, człowieku? tyś śmiał podsłuchiwać pode drzwiami rodziców? To taki jest mój syn, cała nadzieja, całe szczęście nas obojga!

— Ojcze kochany, uniewinnij mię: zrobiłem źle, przyznaję, ukarz mię jak ci się podoba, lecz nie zabraniaj cierpieć razem z wami, nie dopuszczaj, abym mógł mniej was wielbić i kochać, znając tyle szlachetną i uczciwą stronę waszego postępku.

— Jakiego postępku — mówił spokojniej nieco porucznik, zakrywając serwetą rozłożone na stole przedmioty.

— Tego — rzekłem wskazując na stół.

— Ach! to okropność, to już nad siły moje! Zosiu! on wie o wszystkiem: darmo, hańbę moją własne dziecko odkryło! darmo, nic nie zostaje tylko w łeb...

— Przez Boga, mężu, nie kończ! — zawołała matka przystępując do niego, i zasłaniając mu usta ręką. — Wszakże on syn nasz, on pojmuje naszą boleść; Jędrusiu! ty krzywdzisz jego miłość rodziców!

— Matko droga! kochana! — mówiłem rzucając się w jej objęcia — tyś zrozumiała moją boleść, i dziękuję ci za to serdecznie. Zlitujcie się

drodzy moi dobroczyńcy, i przestańcie odsuwać mię od tajników dusz waszych! Już przecie człowiekiem jestem, synem waszym i wiecznym dłużnikiem; przecież godzi się i mnie choć w części podzielić wasze cierpienia, zapłakać nad wspólną naszą niedolą; moje życie i istnienie ściśle połączone z waszem życiem i ja jestem ogniwem tego łańcucha boleści, który obwija wasze serca! Słyszałem wszystko, nawet wiedziałem o tem po części w Warszawie, i mój dzisiejszy przyjazd jest skutkiem tych wiadomości.

— Więc ona ci doniosła, Jasiu? zapytał z uczuciem przygnębionej lecz spokojnej boleści ojciec.

— Tak — rzekłem — ona; lecz domyśla się tylko, nie wiedząc na pewno.

— Chwałaż tobie Boże! — mówił składając ręce i podnosząc oczy do góry — bo gdyby inaczej było, spaliłbym się od wstydu spojrzawszy na nią.

— Mój ojcze kochany — odezwałem się po chwili, nie ma co rozpaczać, to się już stało, i przecież da się naprawić. Wiem, że skradziono pieniądze Stefci, ale nie wiem ile; proszę was, powiedźcie mi otwarcie, a może da się zkąd pożyczyć? Mamy tylu przyjaciół, znajomych, niepodobna, by nie znalazła się między niemi ani jedna poczciwa dusza, któraby nie przyszła z pomocą.

— To prawda mój Jasiu — odrzekła matka — myśmy o tem myśleli; lecz zkąd oddać, kochanie?

— Tak, tak, zkąd oddać — powtórzył ojciec — myśmy już starzy oboje, zapracować nie potrafimy; ty sam jeszcze od nas potrzebujesz, a potrąciwszy wszystkie zapasy nasze i kosztowności, które sprzedamy, brakuje 4000 złotych. Tak, tak, bieda mój synu — mówił dalej westchnąwszy — nie chciałbym oszukiwać ludzi, pożyczając bez zamiaru oddania; z jednej ostateczności wpadłbym w drugą... nie, nie.

— Widzisz mój Jasiu, myśmy już obliczyli cały nasz zapas gotowizny, i te otó drobnostki, które jutro mam sprzedać w Krakowie; — więcej nawet zrobiliśmy: poświęciliśmy ciebie, bo nie będziemy posyłać ci zwykłej pensji. Pracuj mój synu jak możesz, w Warszawie tyle jest sposobności zarobkowania dla młodych ludzi, to i dla ciebie się coś dostanie; znieś dla nas tę ofiarę cierpliwie, pocieszaj się myślą, że wielu jest jeszcze biedniejszych od ciebie, co kawałka chleba do ust nie mają! Nie narzekaj na nas, to wola Opatrzności; podobało się Bogu dotknąć nas plagą, myśmy z pokorą winni przyjąć Jego wyroki!

— Ależ ja nic od was nie potrzebuję, kochani dobroczyńcy; jam nie donosił, a tu od miesiąca mam pensję, która zanadto wystarcza na moje

utrzymanie, co więcej, zamierzyłem połowę jej poświęcić dla was. Pożyczę teraz potrzebną kwotę, a później cząstkowo ją upłacę: tylko o jednę łaskę śmiem was upraszać...

— O jaką, jaką? — zapytał niespokojnie ojciec, myśląc zapewne, że o rękę Stefci.

— Oto, żebyście nie sprzedawali tych przedmiotów — rzekłem wskazując na stół — one dla was są bardzo drogą pamiątką: każdy sprzęcik jest okupiony krwawą łzą potu waszego! Ja pojmuję żal wasz i wielkość ofiary, jaką robicie z tych przedmiotów dla zadośćuczynienia powinności waszej, dla spokojności waszego sumienia, żeby nie powiedziano kiedyś, iż skrzywdziliście sierotę! Wszak dziś te pieniądze są jej niepotrzebne, można się wstrzymać czas niejaki, przecież w każdym czasie spieniężyć je łatwo; a może tymczasem Bóg litościwy, innym sposobem da zastąpić niedostatek. Czyż i córce waszej nie należy się jakaś cząsteczka spuścizny po rodzicach, dziadach i pradziadach?

Matka spojrzała na ojca z wyrazem pewnego tryumfu, jakby mu chciała powiedzieć? nie miałam słuszności? On zaś stał i milczał, przypatrując się rozłożonym na stole przedmiotom. Walka powinności z posiadaniem drogich pamiątek czynnie odbywała się w głowie nieszczęśliwego starca; zdawał się lubować i pieścić wzrokiem z temi

BIBLIOTHECA
VNIV. IAGELL.
CRACOVIENSIS



...Podniósł znowu pas złotolity dziadka, obejrzał, rozciągnął w obu rękach i westchnął głęboko... (Str. 35.)

drobnostkami, które przez całe życie nagromadził, i które kosztowały go tyle pracy, znojów, łez i dolegliwości. Wziął pudełko z krzyżem legji, obejrzał, obtarł z kurzu brzeżki pięciopromiennej gwiazdy, i położył na dawnem miejscu; podniósł znowu pas złotolity dziadka, obejrzał również, rozciągnął w obu rękach, złożył starannie, i westchnąwszy głęboko, spojrzał po nas żałośnie i badawczo, jakby chciał dowiedzieć się, czy my nie pojmujemy jego myśli. Widocznie, nie mógł przenieść spokojnie utraty tyle szacownych pamiątek. Staliśmy zamyśleni, śledząc z niespokojnością każdą okruszynkę jego myśli, tak wybitnie malujących się na twarzy.

— Nie, nie — przemówił wolno, potrząsając głową z przymuszonym uśmiechem — odwlekać sprzedaży nie wypada, przecież takie rzeczy zawsze kupić można! prawda Zosiu?

Matka nic nie odrzekła, tylko łza błyszcząca w jej oku mogła przekonać porucznika, że serce jej nie zgadza się na podobne twierdzenie. Umysł obojga widocznie się wahał w wyborze; uznałem za stosowne odezwać się znowu z prośbą o zwłokę, i tylem dokazał, że zgodzili się pozostawić rzeczone sprzęty do niejakiego czasu u siebie, a tymczasem starać się o potrzebny fundusz na założenie skradzionego ubytku.

Już dwunasta w nocy wybiła na domowym zegarze, wszystko spało snem spokoju i swobody, a my jeszcze, jak te rozbitki na ostatniej desce z okrętu, siedzieliśmy, upatrując najmniejszej iskierki nadziei ratunku. Miljony myśli, w najdziwniejszych barwach i kształtach, krzyżowały po tych trzech głowach, splecionych z sobą wspólnem nieszczęściem: wybuchy boleści, łzy, czasem wyrazy rozpaczy i ciężkie westchnienia, odbijały się ponuro od tych ścian milczących, w których przed niedawnym czasem rozlegało się tyle szczęścia, błogości, spokoju. W takim natłoku różnorodnych uczuć, nie można było znaleźć najmniejszego porządku; niezliczone projekta, jedne za drugiemi snuły się w myśli, i wychodziły nieśmiało z tych trzech serc bolejących, a każdy w swych skutkach był niewykonalnym, bo rozbijał się stanowczo o niedostatek materjalnych zasobów, których stworzyć niepodobna. Mój Boże, pomyślałem sobie, jaką to błahą drobnostką wydałby się podobny cios takim, co rzucają garściami złoto bez celu, potrzeby i przekonania; jakbyto przemknął się niepostrzeżenie przez umysł mało ceniącego prawość i szlachetność egoisty: pierwszy powiedziałby „zapłacę“, drugi „skradziono“ i rzecz skończona. A tu, widziałem dwoje ukochanych istot dręczonych nieograniczoną boleścią, i tak dotkliwie czujących stratę, która

bezpośrednio ich nie dotyczyła, i o którą niktby się pewno nie upominał. Stary porucznik uważał za zbrodnię, że pozwolił uszczuplić funduszu sierocie, którą mu z nieograniczoną ufnością powierzono; dusza jego zraniona w samym szczycie uczucia prawości i uczciwości, zezwoliła chętnie na pasmo poświęceń tego wszystkiego, co tylko ukochalo serce, co zgromadziły lata pracy, narażenia życia i honoru! I pomimo takich rezygnacyjnych ofiar, pomimo wyzucia się z posiadania najdroższych pamiątek, zabicia przyszłości jedynej córki, której nic zostawić nie mógł, widział dobrze, że nie potrafi wynagrodzić straty, pochodzącej jedynie z fatalności wypadków i małej z jego strony przezorności. Podobne udręczenia szlachetnego człowieka, czyż nie są godnemi największego współczucia naszego, i nie mogą mu zjednać już na tej ziemi korony męczeństwa? To też czuliśmy je z matką serdecznie, i musieli ocenić cierpienia porucznika. Ona znowu, kobieta kochająca, z całym szeregiem poświęceń, kobieta której życie przeszło jak dzień jeden pogody, w zaciszu domowych obowiązków żony, matki i gospodyni, widząc i podzielając podobne udręczenie małżonka, po raz pierwszy może skosztowała napoju z tego kielicha goryczy, jaki każdy człowiek wychylić musi do dna na tej ziemi. Znikły marzenia szczęścia dzieci, zaćmił się horyzont ich

niedalekiej przyszłości; widziała boleść męża, czuła jego rozpacz, targającą zuchwale wątek dotychczasowej swobody i szczęścia, a nie mogła w niczem mu dopomódz, nie mogła żadną ofiarą swoją przyczynić się do rzędu jego ofiar, chyba potokiem łez z akordami westchnień i żalów. A jednak pomimo tylu powodów do wyrzekań i urągań losowi, widziałem ją pełną rezygnacji, pełną wiary i otuchy w milosierdzie Boga; słyszałem, jak z serca odpuszczała przestępcy który przywiódł ich do ostateczności. Największą pomstą za to wszystko było hamowanie gniewu męża, gdy ten groźnie odzywał się o nim, i słowa: „niech mu Bóg tego nie pamięta!“

Jakże wielką była jej wiara, i szczytne pojęcie sprawiedliwości Wszechwładcy świata, który rozkazał miłować nieprzyjaciół! A ja miałżem obojętnem okiem spoglądać na tych ludzi z wygórowanem pojęciem prawości, uczciwości i wiary? Nie musiałżem czcić ich, kochać i płakać z nimi razem, poświęcając wszystko? Och! takie chwile nie często się zdarzają, o takie serca trudno na naszej ziemi, i warto przecierpieć tyle co przecierpiałem, bom poznał prawie ostatni kraniec duchowej wartości człowieka!

Nazajutrz, ledwie pierwsze brzaski zaczęły pokazywać się na niebie, przebudził mię głos dzwonka, wzywający pobożnych na modlitwę. Rodzice jesz-

cze spali, a srebrzyste dźwięki rozbudzając w duszy dziecinne uczucia swobody, coraz rzewniej wpadały w ucho, uderzając po kolei we wszystkie coraz drażliwsze struny wspomnienia. Pobiegłem więc żywo do kościołka, poprosić wspólnego Ojca o pociechę, i podziękować mu za przepędzone dotąd chwile życia. Świątynia napełniona ubogim ludem, gorące pienia z serc ich płynące do podnóżka Pana nad Pany, prostota i szczerość ich oblicza, a wreszcie niezwykły urok i powaga mszy świętej: wlały niejako otuchę w utrapioną duszę, i kazały zapomnieć o teraźniejszości. Nie wiem, czy każdego, czy tylko mnie wychowanego pod strzechą wiejskiej zagrody, widok skromnych ścian kościółka ubranych jaskrawem kwieciem, drewnianych ołtarzy z fantastycznemi przyborami świecideł, i prostego pędzla wizerunkami świętych, mimowolnie zachwyca i pociąga: duch mój, zda się więcej sympatyzować z podobną ubogą, a szczerą ofiarą rolników, niż z imponującej wielkości rozmiarów kościołami: te różno-dźwięczne pienia prostego ludu, większe na umyśle moim robią wrażenie, niż harmonijne chóry uczonych śpiewaków. Bo też trzeba słyszeć ten rozdzierająco błagalny śpiew-supłikacji: „Święty Boże, św. mocny! św. a nieśmiertelny!“ gdy on zabrzmi całą mocą w szczupłym kościołku wioski, gdy wszystkie usta pobożnych, z głęboką wiarą i prze-

nikającą prośbą podniosą swe modły do miłosierdzia dobrego Ojca! Oh pewny jestem, że On ich wysłucha, że spojrzy litości okiem na ten rój wiernych mu stworzeń, błagających Go z szczerością i prostotą serc swoich.

Nabożeństwo się skończyło, lud powoli opuszczał podwoje świątyni, spiesząc do zwykłej pracy, a jam rozrzewniony do żywego, bez cienia już wczorajszych udręczeń, postępował jak przed 10 laty ku plebanji, do staruszka dziekana, żeby mu powiedzieć dzień dobry, i zapytać o zdrowie.

Na tarasie wychodzącym na Wisłę, ujrzałem świątobliwego kapłana, siedzącego w krześle z różańcem w ręku. Zgrzybiały starzec, z garstką srebrzystych włosów na wysokiem czole, z słabym rumieńcem na policzkach, zdawał mi się owym patrjarchą w pierwotnych czasach chrześcjaństwa, co to już czeka z upragnieniem chwili, w której cnotliwa jego dusza ma uciec do rąk Stwórcy, z których wyszła.

— Dzień dobry księdzu kanonikowi! — przemówiłem głośno, stawając przed nim.

— Dzień dobry, dzień dobry — powtórzył machinalnie starowina, przymrużając oczy, i zasłaniając się ręką, aby mi się przypatrzyć.

— Czy ksiądz kanonik mię nie poznaje? — zapytałem przysuwając się bliżej.

— Glos znam — odrzekł drżąco — lecz nic nie widzę. — I przy tych słowach wziął mię za rękę przysuwając do siebie.

— To ja, Jaś, uczeń kochanego...

— A, a! zawołał radośnie, chcąc się poruszyć — to to ty kochanku z Warszawy! A jakież szczęście dla mnie, Jasieńku! a witajże mi, witaj! Oh mój Boże, że teżto nie mogę cię obaczyć: musiałeś urość — i zaczął mię macać po twarzy, piersiach i rękach!

— To mi niespodzianka, to mi radość, mój wychowańcze — mówił rozczulony, całując mię w głowę i przyciskając do piersi. — Że teżto Bóg mi pozwolił jeszcze cię oglądać i słyszeć. A mówżo kochanku jak się tam miewasz, jak ci tam idzie; a siadajże tu bliżej, bo widzisz nie dosłyszę już i nie dowidzę; darmo! podobało się Panu dotknąć mię tem nieszczęściem, cóż robić: więc ja się też nie martwię wcale, zdrów jestem, apetyt mam.....

Opowiedziałem mu pokrótce moje przybycie, otrzymanie posady, i widoki na przyszłość, zamilczając wszakże o kłopotach ojca; lecz starzec snać wiedział o jego utrapieniach, lub ich się domyślał, bo zapytał:

— No, a jakże też zastałeś rodziców? Prawda, smucą się biedaczyska?

Jam nic nie odrzekł a on tymczasem zwróciwszy ku mnie swe siwe zamglone oczy, zdawał się czekać odpowiedzi i badać, czy wiem lub nie wiem o powodach nieszczęścia.

— I cóż, nie mówili ci nic, nie uważałeś w nich zmiany: jakże cię przyjęli? Gadajże u Boga, bo ty wiesz o wszystkiem.

— Tak jest, wiem, — przebąknąłem nieśmiało — lecz na to nie ma ratunku, i ojciec zakazał mi o tem wspominać.

— Ha, więc zgadłem! — zawołał żywo proboszcz przysuwając się ku mnie — widzisz, ciągle się zapierał przedemną, udawał wesołego, wczoraj nawet chciał się mustrować jeszcze. No, no, jaki to majster; a brzydko dobrodzieju, a nieuczciwie tak mię zwodzić! On myślał, że jak ja nie dowidzę, to się i nic dorozumiewam; bajki prześwietny sądzie, bajki, ja to po głosie poznałem.

Wzruszony i rozgniewany staruszek, niejaki czas jeszcze żywo się poruszał, bawiąc się różańcem i mruczał: „To się nie należy, to brzydko, to niegodziwie“, nareszcie zwrócił się ku mnie. i uroczystym tonem przemówił:

— Jasiu! tyś poczciwy chłopiec, ty mię kochasz szczerze, i dobrze mi życzysz, więc powiedz otwarcie co to jest, bo powiadam ci. ja tego nie zniosę i nie przeżyję!

Zagrożony podobną mową, i widząc nadzwyczajne wzburzenie jego, musiałem rad nie rad opowiedzieć całe zdarzenie. Ledwo mógł dosłuchać stary, trzęsąc się z żalu.

— To, to, to, to ojciec twój dobrodzieju jest zdrajca i kat samego siebie; to, to, to.... nie mógł przyjść do mnie i powiedzieć, przecież to nie summy neapolitańskie, wielka rzecz 6.000 złotych! i tyle się gryźć, martwić, przez dwa tygodnie, i twoją poczciwą matkę ciągnąć za sobą! O, nie spodziewałem się tego, nie, nie — mówił coraz gwałtowniej poruszając głową.

— Proszę księdza kanonika, ojciec nie chciał pożyczać od nikogo, bo nie byłby w stanie oddać.

— Co to znaczy oddać? a któżby mu o tem gadał; czy nas to nie ma, hę? tobyśmy się złożyli, i zapłacili z kretesom....

Naraz umilkł, chwilkę podumawszy wzniósł
y do góry, jakby ztamtąd czekał natchnienia.
tchnął i głośno powiedział do siebie: „Niech
dzieje wola Boska; kościół kościołem będzie.
ı się biednemu dopomoże.“

- Kundziu, Kundusiu! — zawołał donośnie.
osząc się z ciężkością z krzesła.

'ybiegła przerażona gospodyni niezwykłom
niem, a stary nie dając jej nawet czasu
nówić, rozkazał natychmiast zaprzęgać.

— Co się stało takiego, mój Boże? — mówiła przelęknięta Kundusia, wodząc wzrokiem po nas. A to Jasio! pan Jasio! — wykrzyknęła radośnie poznawszy mię dopiero. — A zkądże się tu wziąłeś!

— Nie rozprawiajno moja panienko, o tem potem, każ zaprzęgać prędko — przerwał niechętnie pleban.

Zwróciła się poczciwa Kundusia wypełnić rozkaz, a on wsparłszy się na moim ręku, z nadludzką prawie siłą, dążył do swojej izdebki. Zaledwie próg przestąpiliśmy, starzec drzwi zamknął na haczyk, kazał sobie podać kluczyki będące pod poduszką, i poprowadził mię do drugiej stancyjki.

— Wysuń tę szkatułkę z pod szafy?

Wydobyłem skrzynkę dość sporą, żelazem mocno okutą; dziekan kazał ją otworzyć, i z podziwieniem, ujrzałem wielką ilość błyszczących dukatów.

— Bierz, pakuj gdzie możesz, i ile możesz!

— Kiedy niemam w co? — odrzekłem nieprzytomnie.

— Masz, syp tu! — zawołał żywo, zdejmując barania czapkę z głowy.

— Czy wszystko? — zapytał po chwili.

— Wszystko już — odrzekłem.

— Dobrze, to wystarczy; zamknij teraz szkatułkę, wsuń na swoje miejsce, i jedźmy, bo tu chwila dużo stanowi.



— Masz, syp tu! — zawołał żywo, zdejmując baranią czapkę z głowy. (Str. 44.)

Zaturkotała bryczka, starzec wsiadł zamyślony bez czapki nawet, gdyż mojej przyjąć nie chciał, i kazał ruszyć galopem ku naszemu domowi. Kundusia w trwożnej postawie stanęła w ganku, nie mogąc pojąć co się tu święci, a myśmy tymczasem zajechali już przed mieszkanie porucznika. Jeszcze siódmej godziny nie było, weszliśmy szybko do pokoju od nikogo niespostrzeżeni, bo rodzice znajdowali się w sypialni, a dziewczęta spłoszone tak ranną wizytą, schroniły się do kuchni.

Proboszcz z niezwykłą żywością i trzaskiem, otworzył drzwi do bawialnego pokoju, i z twarzą rozognioną, wzrokiem choć zamglonym, jednak pełnym wyrzutu i żalu, zbliżył się do ojca zdziwionego naszem przybyciem, i przemówił:

— Ah ty nic dobrego Jędrusiu! ty ty ty....— i nie mógł dokończyć z żalu, bo łzy rzęsiste potoczyły się z oczu, a usta ruszały się machinalnie, nie wydając żadnego dźwięku.

Ojciec snać zrozumiał wszystko, bo rzucił na mnie ognistym wzrokiem gniewu i chciał coś przemówić, lecz widząc takie współczucie staruszka, i łzy cieknące strumieniami po zarumienionych licach jego, rzucił mu się w objęcia, i milcząco uścisnął poczciwego przyjaciela.

— Masz, bierz co ci się podoba! —. zawołał rozczulony dziekan, podając mu czapkę do połowy napełnioną złotem.

— A to co mosanie! — krzyknął zdumiony ojciec.

— Dukaty, Jędrusiu — mówił już spokojniej uszczęśliwiony proboszcz — weź je, załataj sprawę..... i nie krzyw mi się — dodał żartobliwie.

— Zosiu, Zosiu! pójdźno moja kochana, słyszałaś ty!

— Matka przybiegła z kuchni na pół ubrana, jednym rzutem oka poznała zamiar i dobrodziejstwo proboszcza, bo wypogodziwszy twarz, z wdzięcznym uśmiechem rzekła do niego:

— Ksiądz dziekan zawstydza nas swoją szlachetnością i współczuciem, lecz podobnej ofiary na żaden sposób przyjąć nie możemy; my tak biedni jesteśmy, że zwrot podobnej sumy będzie dla nas zawsze niemożebnym.

— Tak, tak — dodał smutnie ojciec — nie będziemy nigdy w stanie oddać, myśmy już starzy, zapracować nie potrafimy, a darowizny....

— Nie marudźno mój stary, a któż ci tu mówi o oddaniu, lub darowiznie!, bierz kiedy daję, o więcej nie pytaj; trzeba ci jeszcze wiedzieć, że i to złoto nie moje.

— Tem bardziej — przemówiła matka, m[yśląc]
że dziekan od kogo pożyczył.

— Ale nie przerywajcie! — mówił niech[...]
starzec — wszystko byście chcieli odrazu doc[...]
wiedzieć, posłuchajcie mię wprzód, a potem bę[...]

cie sobie myśleć co wam się podoba. Od lat czterdziestu co miesiąc, chowałem dukata z tą myślą żeby uciułać sumkę, na wystawienie dzwonnicy, która gwałtem woła o nową sukienkę; nikomu o tem nie mówiłem, nawet tobie Jędrusiu, bo by mię posądzili o sknerstwo, a i tak wielkiemi oczami patrzą na nas, zebrałem tedy około dziesięciu tysięcy złotych.

— Kiedy tak — przerwał ojciec — ani się dotknę tych pieniędzy, jegomość chciałeś nam święte pieniądze dawać mosanie, i myślałeś że wezmę, co?

— Musisz! weźmiesz! — zawołał zniecierpliwiony dziekan — ciebie w gorącej wodzie kąpano dobrodzieju, nie da dokończyć i nie da.

— No, już słucham jak trusia:

— Otóż gdym się dowiedział, że wam się przytrafiło nieszczęście, i gdy honor wasz dotąd nieskalany, może ucierpieć na tem, pomyślałem sobie: dzwonnica pochwieje się jeszcze z jakie lat dziesięć, i stać będzie dobrze, a tu się zrobi uczynek chrześcjański, dopomoże biednemu, co pewno Bóg równie, a może lepiej przyjmie niż dzwonnicę.

— Więc jegomość chcesz ze mnie dzwonnicę zrobić? — krzyknął pół gniewnie porucznik.

— Dajże pokój, gorączko jakiś — mówił śmiejąc się starowina — na tobie nie może się utrzymać przez chwilkę dzwonek cierpliwości, a jakże-

bym zawiesił dzwony dla chwały Boga, w któreby wieki dzwoniły!

— Tak, prawda, jegomość zawsze mię zbijesz z tropu! słucham dalej — wyrzekł prostując się, z widocznem zamiarem nieprzyjęcia pieniędzy, a tylko chcąc słuchać jego mowy przez grzeczność.

— Ponieważ pieniądze te mają już przeznaczenie właściwe, więc choć je dziś ofiaruję, jednak potrzeba, aby mi zwróconemi zostały.

— Dobrze, dobrze — przerwał znowu nieco ironicznie ojciec — cóż dalej?

— To dalej, że choć mi ich ty nie oddasz, będą tacy, co za ciebie zwrócą takowe.

— A ja nie potrzebuję takich dobroczyńców mosanie, rozumiesz! — zawołał gwałtownie porucznik, nachylając się do twarzy dziekana, i wyciągając ręce za siebie.

— Odda mi taki — mówił starzec, nie zważając na wybuchy ojca — który jest twoim dłużnikiem.

— Ja nie mam żadnych dłużników!

— Mój Jędrusiu umiarkuj się — prosiła matka ciągnąc go za rękę — pozwól skończyć!

Dziekan uśmiechnąwszy się tylko spojrzał na mnie wzrokiem wyzywającym. W tem spojrzeniu, dostrzegłem jego myśl, i zaraz wystąpiłem do ojca:

— To ja jestem dłużnikiem, o którym ojciec przez swoją dobroć zapomniał, ja oddam wszystko

co do szeląga! — krzyknąłem w zapale klękając przed dziekanem.

Porucznik się zdumiał; spoglądając kolejno to na proboszcza, to na mnie, nie wiedział któremu z nas dziękować; matka uszczęśliwiona podobnym zwrotem interesu, który zapewne przeczuła, z wypogodzoną twarzą uśmiechem wdzięczności i rozrzewnienia, również patrzyła na nas nie mogąc słowa przemówić, a starzec tymczasem, opromieniony urokiem wewnętrznej radości z tak szlachetnego czynu, uśmiechał się zwycięzko i zacierał ręce.

— Cóż, nie mówiłem, że weźmiesz, hę?

— A niech cię Bóg sekunduje dobrodzieju, jak ty umiesz kierować sercami — zawołał wesoło porucznik, tylko — mówił poważnym tonem, ciągnąc mię za rękę — tylko mi chłopcze przyrzeknij uroczyście, że póty spokojnie nie zaśniesz, póki ani jeden grosz, nie będzie ciężył na twojem sumieniu!

— Przyrzekam, przysięgam nawet! — wołałem uradowany — to najpierwszy mój obowiązek, i da Bóg wypełnić go tak, jak mi synowska miłość i wdzięczność dla was rozkazują.

— Już ja ręczę za niego — dodała matka.

— I ja, i ja — dorzucił dziekan.

— No, teraz uściskajmy się wszyscy, podziękujmy Bogu i dziekanowi, że tak szczęśliwie za-

kończyliśmy sprawę, która mię tyle umartwień kosztowała; bo to nie bagatela od trzech tygodni nie mieć ani jednej chwili spokojnej w głowie!

— Co tam wspominać podobne rzeczy — przemówił dziekan całując ojca — co było, a nie jest, nie pisze się w rejestr, dobrodzieju, pieniądze schowaj, i pamiętaj na drugi raz być więcej otwartym dla przyjaciół; bo gdyby nie ten młodzieniec, Bóg wie do czego by cię to doprowadziło.

— Prawda, prawda, dziekanie, on mądrzejszy od nas, widać taki już świat teraz, mój jegomość. A komuż to winienem jeżeli nie tobie mój kanoniku? tyś go wychował prawie, a nie ja, tyś go nauczył kochać Boga i ludzi, tobie więc należy się chwała, i tobie nasza wdzięczność do śmierci.

Jedna chwila zmieniła wszystko w domu: wesołość i szczęście, zawitały znowu pod ubogą strzechę naszego mieszkania. Porucznik tak był uradowany, tak zadowolniony, że zaraz po odejściu dziekana, zapakowawszy skarb do szkatułki, przyszrubował ją coś ze trzy razy do podłogi, opieczętował najmniej w dziesięciu miejscach i zapaliwszy ulubioną lulkę, porozpakowywał sprzęty, które miały iść na sprzedaż; każden po szczególe czyścił, całował, witając się z niemi serdecznie; krzyż legji znowu zawiesił na ścianie, pistolety również ustawił w szafce, chodził koło nich, lubował się niemi, cackał i rozmawiał: „a mosanie:

złapał was dziekan z Jasiem, chciałybyście się wysunąć kochanki, napróżno, nic z tego, musicie siedzieć.“ Potem spojrzawszy na swoją cebulę, która także była zaliczona na stracenie, nagle coś przypomniał, bo porzuciwszy fajkę, jak strzała pobiegł do pierwszego pokoju mrucząc przez drogę: a żebyś ty miljon furbeczek, bataljonów okrętów zjadł, dam ja ci dopiero!

Przerażeni tak nagłą zmianą, zdążaliśmy za nim on zaś przystawiwszy stół, na nim stołek, a na nim jeszcze stołeczek, wstąpił żwawo na tak urządzone rusztowanie, porwał z zaiskrzonym wzrokiem ów stary zegar, i z całej siły uderzył nim o ziemię: „masz hultaju, masz przyczyno moich utrapień, niech cię już djabli biorą!“ I potrącał z pogardą rozrzucone kółka, i deptał z gniewem drewniane cząstki, rozkoszując się ich trzaskiem: potem kazał wynieść Małgosi, wyrzucić precz do do śmietnika, bojąc się zapewne, aby nie wzięła go chętka zebrać je znowu, i rozpocząć reperację.

Matka po takich cierpieniach i tylu ciosach, odżywszy na nowo, nacieszyć się nie mogła moją obecnością; zwołała panienki, które widząc szczerą radość na jej licach, i słysząc wesołe wykrzykniki porucznika, wypogodziły swe niewinne twarzyczki i oddały się niezmyślonym uciechom i dziecinnym prawie pieszczotom. Kochana matka z uczuciem tkliwej i macierzyńskiej miłości, całowała ich główki,

tuliła mnie do łona, z pełnym tajemniczości uśmiechem, lecz ani wspomniała o naszem połączeniu. Naturalnie, że i ja, po takiem okropnem przejściu, dopiero pomyślałem o Stefci, choć kochałem ją z większą jeszcze mocą niż przedtem. Zawsze jedna pomyślność, ciągnie za sobą żądanie drugiej, ta znowu trzeciej i tak następnie wzmagałyby się one bez końca i granic aż do grobowej deski, gdyby nieszczęścia i utrapienia nie spychały nas nieustannie, z tych wyższych szczebli drabiny życia na najniższe, i nie przymuszały na nowo drapać się do jej szczytu. Szczęśliwy pewno, kto posiada tyle energji i mocy ducha, że na nowo z większą jeszcze pracą weźmie się do dzieła, i wejdzie wyżej niż przedtem, bo spadając znowu, dążyć potem będzie, przynajmniej do tego samego szczebla, na którym stopa jego już raz spoczęła.

Z trzpiotowatej i wesołej dzieweczki, jaką zostawiłem Stefcię, zrobiła się teraz dziewica i kobieta, w całem znaczeniu tego wyrazu. Myśl poważna, zajęła miejsce dziecinnej fantazji, szczera a skromna wesołość i swoboda, dowodziły czystości jej serca i niewinności duszy. Świat dla niej był jeszcze tem błyszczącem cackiem, do którego wzdycha każde dziecko, i drży z radości na samą myśl posiadania go. Umysł tylko, wykształcony poprzednio nauką, zastosowując teraźniejsze życie do zasad dawniej nierozumianych, nabył pewnej gięt-

kości i delikatności w rozpoznawaniu otaczających ją cudów natury; uczucie piękna, szlachetności i prawości, a z niemi uwielbienie bez granic, gościły w jej duszy naprzemiany, poetyzując każde zajęcie, umilając każdą chwilkę i chroniąc od zmazy. Rozumie się, że i miłość jej dla mnie. przy tak sprzyjającem rozwinięciu się ducha i uczuć, przybrała rozleglejsze i więcej trwalsze rozmiary; wzrok jej, twarz cała, każden ruch, każden uśmiech lub spojrzenie, świadczyły wymownie o wielkości tego boskiego ognia, który gorzał w niewinnej jej piersi. Radość moja z powodu tej zmiany, podsycana jeszcze szczęśliwem usunięciem cierpień kochanym rodzicom, podobno nie miała granic. Nie mogliśmy nacieszyć się, rozpowiadając wzajemne tęsknoty z powodu tak długiej rozłąki; w jej pięknej duszy, odkrywałem co chwila nowe skarby, na które dawniej gruba zasłona dzieciństwa spokojnie patrzeć nie dozwalała. Nigdy nie zapomnę tego tkliwego, a pełnego wyrzutu spojrzenia, którem obdarzyła mię dowiedziawszy się powodu utrapień rodziców.

— Mój Boże — mówiła z westchnieniem, i błyszczącą kropelką przeczystej łzy w oku — jaka to bieda, że człowiek jedno ma tylko serce, oddałam go wam całe z nieograniczoną ufnością i wiarą, a czuję że mało ofiarowałam, że tym da-

rem nie mogłam jeszcze zjednać sobie prawa do waszego współczucia!

— Droga Stefciu — rzekłem przerywając jej to narzekanie — złą stronę widzisz tylko w postępku naszych rodziców. Oni chcieli oszczędzić ci zmartwienia, na które nie zasłużyłaś; za cóż miała by cierpieć twoja niewinna dusza, i tak wcześnie wplatać ostry cierń w koronę męczeństwa, która nie powinna nigdy dotknąć twojego czoła?

— Wszystko to dobrze — odpowiedziała rozczulona — dziękuję wam serdecznie, za tę dobroć dla mnie, uwielbiam szlachetność i prawość kochanego ojca, lecz zawsze mam żal do niego. Czy myślisz, że ja mniej cierpiałam niż on, że niepewność nie więcej mię dręczyła, niż jego utrata moich pieniędzy, które najmniejszej wagi nie mają dla mnie, i które z radością poświęciłabym, dla złagodzenia jego umartwień.

— Przez Boga, nie mówże tego! — zawołałem przestraszony — właśnie też, ojciec najwięcej się lękał, abyś mu nie zechciała ofiarować kwoty, którą postanowił koniecznie sam zwrócić, choćby podobny zamiar życiem przyszło mu opłacić; widać nie znasz go zupełnie: to zagorzały purytanin prawości i honoru; zaręczam, podobna propozycja więcej by go zmartwiła, niż utrata wszystkiego co posiada.

Dziewczę się zamyśliło, rozbierając dopiero słyszaną moją uwagę, bo chwilę milczała knując nowy zapewne projekt przyjścia z pomocą, a wreszcie odezwała się poważnie:

— Już ja wiem co zrobię, tylko mi skrzydełka podrosną; tajemnica za tajemnicę — tyś skrywał przedemną istotny powód nieszczęścia, i ja również mój zamiar dla siebie zatrzymam.

— Dobrze — odrzekłem i zwróciliśmy rozmowę na inny przedmiot.

Porucznik zadowolniony zupełnie, jak ów cyrulik króla Midasa, co to w dołek zakopał tajemnicę oślich uszu, wyjawił swoją radość, ma się rozumieć pod sekretem, panu sekretarzowi, ten z urzędu swego, powierzył ją burmistrzowej, a w pół dnia, całe miasteczko i okolica, zachowując wspólną tajemniczość, wiedziały o wypadku porucznika. Już mu ukradziono 40.000, już się chciał zastrzelić, już cały dom zrujnował i kanonika na klęczkach prosił o pomoc, a nawet dodawano, że panna pułkownikówna wyjechała od niego, i podobno proces ma mu wytoczyć. Żałowano poczciwego kapitana, litowano się nad nim, ruszano ramionami z uśmiechem ironji i powątpiewania, gdy kto w obronie jego wystąpił; a w końcu, obsypano nas odwiedzinami, starając się wybadać prawdę: aby ploteczka z większą pewnością, mogła rość sobie do nieskończoności.

Trzpiotowaty pan poczthalter, myśląc tylko o śliwowicy i przysmaczkach, na których mu bardzo często zbywało, skoro się dowiedział o szczęśliwym obrocie sprawy, przybiegł zadyszany do nas i w szczerych uściskach, od których porucznik poczerwieniał jak burak, oświadczył niezwykłą radość i szczęście, obdarzył tysiącem wymówek, że jego przyjacielskie chęci zniszczył dziekan, bo by on również z pomocą przyszedł. Ojciec rozczulony podobnie szczeremi dowodami przyjaźni, dziękował za życzliwe wywnętrzenia, częstował śliwowicą.

— Bo to mosterdzieju, niezwykła uroczystość panie kapitanie, wartałoby ją czemś uświęcić!

— Tak, tak — przerwał ojciec — dam też na nabożeństwo, pójdziemy wszyscy do kościoła mosanie, a spodziewam się, że i pan nam nie odmówisz swojego towarzystwa.

— Ma się rozumieć mosterdzieju — mówił krzywiąc się poczthalter że nie zrozumiano jego myśli — tak, tak, pójdziemy, a po nabożeństwie zabawimy się wesoło, nieprawda?

— I owszem, i owszem — dorzucił ojciec — proszę, proszę, czem chata bogata, tem rada...

— Ale bo ja żartowałem — zawołał śmiejąc się rubasznie pan poczthalter.

— Co to znaczy; ja sam już myślałem o tem — mówił porucznik — takie fatum mosanie, powinno się okupić.



...Ojciec rozczulony dziękował i częstował śliwowicą. (Str. 56.)

Matka słuchając tej rozmowy w drugim pokoju, uśmiechała się wesoło, i wyszedłszy do nich, usilnie zapraszała na jutro, wymawiając zwłokę potrzebą stosownych przygotowań.

Po odbytych modłach dziękczynnych, gdy z wielkiem mojem zmartwieniem zebrała się wesoła drużyna znajomych, przyjechał i dziekan z Kundusią, ubraną w czepek z różowemi już wstążkami, która uśmiechem pełnym tajemniczości przywitała mnie ze Stefcią, Wolicki również uroczyście przybrany, z białą chustką na szyi i z wstążeczką legji, zabawiał towarzystwo pociesznemi dykteryjkami, i kiedy niekiedy przysuwał się do matki, szepcząc z nią i rozkładając rękoma jakby na ambonie. Dziekan z panią burmistrzową rozprawiali szeroko o Francuzach z 12go roku, ojciec, jako uprzejmy gospodarz krzątał się na wszystkie strony, nalewał kieliszki coraz hojniej, a pan pocztmalter nie mogąc się dchwalić węgrzyna zacierał ręce, czekając niecierpliwie obiadu. Przeczuwałem, że knują jakąś niespodziankę, lecz domyślić się nie mogłem jej celu; tymczasem obiad przeciągnął się aż do wieczora: ja nie mogąc się zbliżyć do Stefci, każdą minutę rozłąki okupiłbym nie wiedzieć czem, aby skrócić tę ucztę. Zaczęły się zdrowia, biesiadnikom rumieniły się policzki, kurzyły czupryny, języki plątały; porucznik pokręcając wąsa wnosił coraz nowe wiwaty za zdrowie dam, za

pomyślność, za zdrowie dziekana, i nawet pana prezydenta z familją. Kiedy już miano wstawać od stołu, i gdy wszystkich oczy lśniły się bladawo, jak gwiazdy w noc chmurną: wniesiono tackę przykrytą białą serwetką, i postawiono przed majorem. Mnie zapukało mocniej serce, bo przeczuwałem rozwiązanie tych szeptów z matką i niezwykłej wesołości dziekana.

— Lej tu, Jędrusiu! — zawołał Wolicki, podstawiając potężny puhar staroświeckiej roboty — teraz wypijemy najgodniejsze zdrowie!

Ojciec z pośpiechem napełnił kielich, wszyscy powstali, czekając tego najgodniejszego zdrowia, a Wolicki tymczasem podnosząc się również z siedzenia, odchrząknął głośno i z miną niezwykłej powagi przemówił

— Kiedy nam tak szczęśliwie przychodzi kończyć kłopoty szanownego kolegi, a naszego komendanta; kiedy łaskawa skrzętność przytomnej tu gospodyni i wspaniałość nieocenionego kanonika i proboszcza naszego, dodaje animuszu sercom: potrzeba...

I uciął nagle, dobywając chustki z kieszeni dla obtarcia spoconego czoła; a słuchacze z rozwartemi ustami, i natężonym wzrokiem czekali końca tej przemowy:

— Potrzeba, mówię, ten dzień uświęcić jeszcze godniej, obchodząc zaręczyny tej oto pary, która



— A ja nie pozwalam! — wrzasnął ojciec, uderzając pięścią o stół... (Str. 59.)

kochając się tkliwie przez lat trzy, a to nie żarty przez lat trzy, mówię, zasłużyła na podobne szczęście, jakie ich spotyka: tą zaś parą jest obecny syn naszego komendanta i wielce miłościwa panna pułkownikówna Bukowska. Wiwat niech żyją narzeczeni!

— Wiwat! wiwat! — powtórzyli gromadnie obecni, zbliżając się do nas szumno, z trzaskiem, stukiem, brzękiem i suwaniem.

Przez kilka minut nie mogłem zebrać przytomności, i pojąć co się to dzieje: gwar nie do opisania wzrastal co chwila, tak, że niepodobna było ani mówić, ani kroku postąpić dalej. Najpierwsze słowa, które boleśnie wstrząsnęły moją duszą i wróciły mi opamiętanie, były gwałtowne wykrzyki ojca: — Veto mosanie! nie pozwalam! atande! kto się odważył! co robicie! — Lecz każdy wyraz jego zagłuszał hałas przytomnych, i brzęki kieliszków.

— Co to veto! żadne veto! — krzyknął najgłośniej Wolicki — Jędrusiu! nic nie znaczysz! my rządzimy i kwita!

— A ja nie pozwalam! — wrzasnął jeszcze mocniej ojciec, uderzając pięścią w stół, aż szyby w oknach zabrzękły.

— Musisz, musisz! — górował głos majora — ja przydany opiekun Stefci, ja pozwalam i lepiej niż ty pobłogosławię!

— Wszyscy pobłogosławimy — wtórowała podchmielona drużyna!

— Słuchajno gorączko — mówił dziekan biorąc ojca za rękę, — nie sprzeciwiaj się, powiadam ci, bo oni warci siebie: to Boskie zrządzenie.

— Co ma być Boskie: to wasze, to bunt mosanie przeciw ojcowskiej władzy — wołał rozogniony porucznik, wyrywając się z rąk starca i miotając konwulsyjnie na wszystkie strony — ja nie pozwolę i nie, choćbyście mię na drobne kawałki poszarpali!

Lecz Wolicki nie zważając na takie dictum acerbum, pochwycił stojącą przed nim tackę, zrzucił serwetkę, i przybliżając się z dwoma pierścionkami do dziekana, prosił z miną uroczystą, aby jako najstarszy wiekiem, i jako mój pierwszy nauczyciel, zastąpił ojca dopełniając obrzędu.

— A żebyście miljon fur beczek kartaczów bomb zjedli! — krzyczał nieprzytomnie porucznik, przedzierając się do tacki, i chcąc schwycić pierścionki — czyście poszaleli moje kochani, czy co? To już skaranie Boskie! to zanadto ubliżać mi podobnie we własnym domu!

— Któż ci ubliża? Jędrusiu — przemówił łagodnie dziekan — powiedz, co masz przeciwko nim? Przysięgam na wszystko, że jeśli znajdziosz coś takiego, sam pierwszy odstąpię od nalegań.

— A nie bądźże tyranem własnych dzieci — dorzuciła matka zbliżając się do niego ze łzą w oku, i prawie rozpaczającą postawą zranionej miłości macierzyńskiej.

— No, mów, mów, co masz? — powtarzał drząc od gniewu dziekan.

— Mów! gadaj! — powstały zewsząd głosy przytomnych, otaczając porucznika.

Zaskoczony podobną napaścią ojciec, stanął milczący; pocierał czupryne, targał wąsa, krzywił się nieznośnie, gdy tymczasem ja ze Stefcią z pierścionkami na palcach staliśmy pomieszani ze spuszczonym wzrokiem i pałającemi twarzami. Ojciec widocznie szukał w pamięci jakiego wypadku, którýby mu posłużył za wymówkę; lecz tą razą żywość jego wcale nie przychodziła w pomoc.

— A gadajże na Boga! — zawołał zniecierpliwiony bardzo dziekan!

Porucznik marszczył czoło jeszcze gęściej, chciał koniecznie okazać gniew, gdy on dalekim był od serca, szeptał dość głośno do siebie, przebiegając myślą całe moje życie: „Utrzymanie ma, porządnie się prowadzi, wyratował mię z biedy; ale, ale.... ona pułkownikówna! Nie, nie, to być nie może!

— Słuchajno Jędrusiu! — zawołał żywo Wolicki przysuwając się prawie pod sam nos porucznika — gadaj co masz, lub się nie sprzeczaj,

bo jakem major i jak honor kocham, choćby po trupie, to ich zaprowadzę do ołtarza.

— A żeby was...... Bóg błogosławił! — dokończył ojciec, ciśniony ze wszystkich stron; machnął ręką i porwał nas w swoje objęcia, tuląc do szlachetnej piersi. — Stało się, kiedy tak zapisano dla was, to się już żeńcie!

— Wiwat, wiwat, niech żyją młodzi! zlało się razem z gorącemi całusami poczciwych dobrodziejów, i radośnem łkaniem obecnych kobiet.

— Widzisz dobrodzieju, nasze na wierzchu! — mówił śmiejąco dziekan, klaskając w ręce.

— Ale bo i ja tak myślałem, i tak sobie ułożyłem mosanie — powtarzał ojciec, szarpany na wszystkie strony przez gości z kielichem w ręku — tylko to mnie zgniewało, że tak ni ztąd ni zowąd, bez mojej wiedzy wszystko pokleili, pomatali, jakbym ja nie był jego ojcem.

— Chcieliśmy ci zrobić niespodziankę, mój mężu — zawołała matka, ściskając jego rękę.

— Już to wy wszędzie musicie wsadzić swoje trzy grosze! Jak się baby uwezmą: djabła przegadają, młyn przekrzyczą, świat zrujnują, aby na swojem postawić. A nie mogłaś to imość przyjść do mnie, i powiedzieć otwarcie tak a tak, toby się bez podobnych korowodów obeszło; zawsze po swojemu.

— Dobrze, dobrze Jędrusiu, gderaj sobie zdrów — odrzekła matka uszczęśliwiona — już się stało, nie ma co przypominać.

— Jeszcze zdrowie gospodarstwa! — wołał poczthalter trzymając się ledwo na nogach.

— Z trzewika, zdrowie dam! krzyknął Wolicki.

Matka czmychnęła do kuchni, a oni tymczasem pochwycili Stefcię, posadzili na stole i gwałtem ściągnęli trzewiki; biedaczka musiała im jeszcze podziękować za zdrowie i wypić mały kieliszek. Kundusia mniej zważając na czepek, który według systematu Kopernika zmienił swoje położenie, cackała się ze Stefcią, dając jej stosowne nauki, jako przyszłej gospodyni, i składając w darze przy tak wielkiej uroczystosci ogromną księgę sekretów gospodarskich, którą lat 40 własną ręką spisywała. Nie wiem czy dziesiąty wyraz słyszała Stefcia, bo co do mnie, tak odurzony byłem niespodziewaną radością, tak miałem rozstrojony umysł, że dużo upłynęło czasu nim zdobyłem się na podziękowanie szanownym protektorom, którzy korzystając z mojej nieprzytomnosci, kazali spełnić coś ze trzy duże i kilka małych kieliszków wina, a te zaciemniwszy do reszty przytomność, wcale niepoetyczne zostawiły po sobie wspomnienie.

Przed pięciu laty a w rok po opisanych wypadkach, zmartwiwszy się niesłychanie mojemi klęskami gospodarstwa, czego nam wieśniakom, sowicie los udziela; wziąłem skrypt do ręki, i chciałem w wspomnieniach czerpać nową pociechę dla serca. Myśli żalu za minioną chwilą szczęścia owiały pióro, i gorzkie słowa narzekań strumieniem polały się na papier. Gdym doszedł już samego zenitu onych, wsunęła się nieznacznie Stefcia, żona moja, i przeczytawszy zapewne takowe, trąciła mię lekko po ramieniu, mówiąc z pewnym wyrzutem:

— A ty niewdzięczniku jakiś, jak możesz narzekać podobnie, gdy doświadczyłeś tyle szczególnych łask Pana Boga?

Porwałem się zawstydzony, chowając skrzętnie rękopism, lecz ona zatrzymała moją rękę i groźnie zawołała:

— Przekreśl to zaraz, i przeczytaj za karę całe opowiadanie, bo pierwszy raz w życiu pogniewam się na ciebie!

— Cóż miałem robić! musiałem podrzeć kilka ćwiartek, i z miną winowajcy, od deski do deski przeczytać całą powiastkę.

— I na tem koniec? zawołała zdziwiona gdym przestał.

— A na tem, moja Stefcin: cóż tu więcej pisać?

— Gdzie opis wesela, gdzie ślub, gdzie mowa dziekana?

— Eh! to niepotrzebne, moja duszko, ktoby to czytał! Nie wieszto, jak się teraz podobne rzeczy wydają?

— Nie wiem, nie rozumiem cię mój Jasiu.

— Oto widzisz, jak czytelnicy domyślą się rozwiązania intrygi, rzucają książkę z pewną niechęcią, że autor nic nowego nie napisał; tu moja droga, trzeba coś oryginalnego, niezwykłego. Publiczność jest to piękna kokietka, która w jednej sukni chodzić nie może: jej trzeba nowości, a przyznam się niebardzoby mi pochlebiało, gdyby ktoś powiedział, żem skończył jak zwykle na weselu: więc ja też zaręczynami zamykam opowiadanie.

— Chyba że tak, lecz mógłbyś co dodać o twoim podarunku dla starych żołnierzy, o Wolickim i Julci....

— Dobrze, dobrze: kiedy tego żądasz napiszę, ale i o oddaniu przez ciebie owych sześciu tysięcy na wybudowanie dzwonnicy nie przepom....

— Przestań złośniku! — zawołała prędko zamykając mi usta rączką — już nic nie pisz, to najlepiej będzie. Ach! — dodała po chwili — Rygorskiego poczciwego opuściłeś! Przecież należałoby coś opowiedzieć o nim, zwłaszcza że tyle....

Tą razą znowu powtórzyłem podobną scenę, zamykając jej usta.

— Jak widzę, wy dotąd jeszcze nieodrodne córki Ewy: chciałybyście naraz wszystko wygadać, i wszystkiego się dowiedzieć; poczekaj kochanie, i o nim będzie: przecież to nie koniec kłopotów komendanta. Znajdzie się i pan ex-kontroler, i jego żona, i Wolicki; odrazu tak nie można: trzeba obejrzeć się na przyszłość, napisać gdy gratka się zdarza jakie 15 tomów, bo teraz wiek spekulacji i przemysłu! Nie wieszto, co Dumas napisał Muszkieterów? — w dwadzieścia lat, w dziesięć, w pięć....

— Kiedy tak, to co innego: rób jak chcesz mój drogi, tylko pisz prawdę!

Nie lękajcie się szanowni czytelnicy! Jam żartował tylko, mówiąc żonie o piętnastu tomach: zkądżebym czerpał tyle materjałów? Porucznik przecież kiedyś umrze, a zresztą na to potrzeba niepospolitych zdolności lub zasługi w piśmiennictwie, żebyście raczyli taki ogrom przeczytać! Niedługo was już ponudzi komendant, bo przyjdzie zima, wieczory będą dłuższe, balów pełno, to znużywszy się tańcem, lub inną towarzyską zabawą, zaśniecie i bez czytania. Wszelako pod jesień dostarczę wam jeszcze kłopotów komendanta, bo i cóżbym robił, sprzątnąwszy pszenicę? A chwała

Bogu, pamiętam doskonale trafne wyrażenie Adama Pługa, że: lepiej zostać jakimbądź bazgraczem, niż lwem, bałagułą, lub w podobnym rodzaju czworonożnym.

W Warszawie, dnia 2. maja 1854.

BIBLI
VNIV.
CRACOVIENSIS



...W pokoju sypialnym siedział porucznik na kufrze kobierczykiem nakrytym... (Str. 69.)

PAN MARSZAŁKOWICZ.

OPOWIADANIE.

I.

Była to może czwarta godzina po południu; słońce listopadowe chować się zaczynało za góry sterczące za Wisłą, jakaś ponura cisza owiała całą naturę, jakby przeczuciem zbliżającej się zimy. W pokoju sypialnym porucznikowstwa, siedział gospodarz pod piecem, na ogromnym kufrze kobierczykiem nakrytym, założył nogę na nogę, oparłszy rękę na kolanach i ćmił sobie powoli z ulubionej fajeczki. Cała jego postawa zgarbiona: głowa pól łysa, z zaczesanemi na wierzch kosmykami siwych włosów; nos wyciągnięty ku brodzie i siatka marszczek narzucona po twarzy, wskazywały już kilka lat więcej w jego życiu, od czasu jakeśmy go ostatni raz widzieli. Cera twarzy, nie była jeszcze tej pargaminowej zgrzybialości starca oznaką; owszem miała kolor brunatno-rumiany, kolor zdrowia w całej sile i czerstwości. Pod oknem

prawie wprost niego, siedziała kochana jego Zosieńka, również naznaczona czasem, który nie zważając na gniewy i dąsania się ludzi, idzie sobie zawsze jednakowo, zawsze ryje sobie ślady przechodu, tak na twarzy bogacza, jak i nędzarza. W pobladłych już oczach porucznikowej, błyszczał jeszcze przelotny ogień; włos choć dobrze przerzedzony i szpakowaty, gładko jakoś i lśniąco osłaniał poszczerbiony owal twarzy, a skromnie zarzucony perkalowy biały czepeczek, zręcznie ukrywał łysinę przebijającą się nad środkiem czoła.

Postawy obojga choć znacznie zmienione, jednakże nie przedstawiały odrażających skutków kaprysów losu, nie miały w sobie nic niemiłego lub odpychającego; owszem starość ta była im nawet do twarzy, bo nadawała rysom pewną powagę nakazującą szacunek, jak oblicza świętych przedstawianych w obrazach, gdzie rozlana słodycz, łagodność i spokojność, pociągają ku sobie; a wzrok zdaje się ścigać nas, w którąbądź zwrócimy się stronę, nie daje się wymazać z duszy, i przenikać do dna najskrytsze tajniki serca. Wzrok ten taką ma władzę, że myśląc źle, lękamy się jego świadectwa, i nie śmiemy obejrzeć się za siebie, by nie spotkać srogiego jego wyrzutu.

Oboje siedzieli milcząco, porucznik tylko pukając ustami przy każdem wypuszczeniu dymu, przerywał tę ciszę, a ona poprawiając kiedy niekiedy

szyjącą się suknię, zaszeleściła krochmalnym muślinkiem. Nareszcie widać zniecierpliwiony, poprawiając się na kufrze, przemówił dość kwaśno:

— A mogłabyś też już skończyć to szycie, ciemno w pokoju, szkoda oczu!

— Zaraz mej kochany, tylko dokończę falbanki.

— Zawsze te falbanki! a coto potem?

— Przecież musze dokończyć jak się należy: wiesz, że jutro jedziemy.

— Oh! wiem, aż nadto dobrze wiem!—przemówił westchnąwszy — wy zawsze jednakie: ciekawym, czyby to się nie mogło obejść bez tych djabełków?! naszywane wasze gałganki jak dach chiński: szeroko, bufiasto, spiczasto, strzępiasto!...

— Mój kochany, ty się nie znasz na tem a gderasz! dla czego ja się do twojej węgierki nie wtrącam, ani do mundurów?!

— Jeszcze czego, do munduru?! A boto imość nie wiesz, że jak świat światem, mundur mundurem jeden, a wasze suknie z powiewem wiatru się zmieniają.

— Bo są lekkie — odpowiedziała lakonicznie.

— Ot w temto i bieda moja imość, że u was wszystko lekkie: i rozum, i serce, i głowa, i suknia, wszystko to niucha tabaki nie warte!

— Mój kochany palże sobie spokojnie a mnie daj pokój, bo ściemni się a nie skończę; po co się to mieszać do tego, czego nie rozumiesz!

— Jakto nie rozumiesz? — zawołał porucznik podnosząc głowę i widocznie hamując uniesienie. Cóżto sobie myślisz że ja zawsze przy piecu siadywał i fajkę palił, hę? Oho, nie tak bardzo moja pani! bywało się i tu, i widziało się więcej, niż imości śnić się o tem mogło!

— Tem bardziej, bo mogłeś się przekonać, że nie my pierwsze tak postępujemy.

— A nie zaprzeczam, nie, broń Boże. Wy sobie takie kopje od stworzenia świata, że istotnie djabeł wie kiedy, i gdzie był oryginał. Wszystko małpować tylko: dobre niedobre, złe niezłe, dziwaczne niedziwaczne, tak groch z kapustą: bo proszę ja np. po co u licha te wiewające rękawy? Żebyto jeszcze za lejki służyły, pół biedy: ale tylko zamiatacie niemi stoły, mieszacie zupy i nic więcej! Niech sobie tamte panie co nic nie robią chodzą i bez rękawów, i bez staników, lecz wy mosanie do pracy stworzone, powinnyście ubierać się uczciwie, byle czysto, schludnie....

Porucznikowa zajęta robotą, nie zważała wcale na podobne dowodzenia, krzywiła tylko ustami, gdy przyszło mocniej nacisnąć igłę do przeszycia twardszego ściegu, a porucznik nie mając przeciwnego zdania do dalszej sprzeczki, pomruczał trochę, pokiwał głową, i znowu wpadł w zadumkę.

Upłynęło kilka minut: porucznikowa skończyła szycie, podniosła się z krzesła, strzepnęła uszytą

suknię, a oglądając ją z pewnem zadowoleniem, i trzymając igłę w ustach, zabierała się do wyjścia.

— Nie chodźno Zosiu, szara godzina, pagawędzimy trochę!...

— Dobrze — odpowiedziała kładąc na łóżko robotę, i przysunęła się do kufra, siadając około męża.

— Cóż mi dziś tak nudny jesteś, mój Jędrusiu? — mówiła patrząc mu w oczy.

— Eh tak sobie; jakieś mię przykre myśli opanowały, że im się nie mogę opędzić.

— Cóż znowu takiego? — zapytała z uczuciem.

— Tak, nic; myślę sobie o biedzie.

— Nie majacz też mój drogi, nie przypuszczaj sobie do głowy podobnych myśli, cóż ci to złego?

— Oh dużo! dużo! — odrzekł westchnąwszy, stawiając fajkę przy piecu. Jak człowiek zacznie dumać i dumać o różnych rzeczach, jak sobie przypomni swoje położenie, zajrzy w siebie, pomyśli o przyszłości, to jakoś tęskno się zrobi na sercu, boleść pewna owionie duszę i zlęknie się samego siebie; wiesz imość, żebyto można nie myśleć!?

— Mój kochany Jędrusiu — przemówiła porucznikowa biorąc go za szyję, i patrząc na niego z współczuciem — cóż ci takiego dokucza?

— Ot widzisz, przebiegałem myślą całe życie, wspomniałem wszystkie utrapienia, trudy, pracę,

łzy, niedolę, i doszedłem do takiego rezultatu, że pomimo to, biedny jestem i kwita!

— A cóżeś ty chciał majątku, co?

— Choćby i tak!

— Bredzisz mój drogi! a cóżto nędzarzem jesteś? Czyto nie masz dostatniego bytu, nie masz zdrowia, nie masz kochających i dobrych dzieci...?

— A właśnie o te dzieci mi idzie.

— Cóż im brakuje? — Jaś już na swojem gospodarstwie, prowadzi się dobrze; Julka tak dobra, poczciwa dziewczyna, nigdy swojem postępowaniem przykrości nam nie robi, i cóż chcesz więcej?

— Ale biedna! — dorzucił żywo porucznik.

— To bagatela mój kochany, ma ona większy skarb niż wszystkie skarby świata: ma cnotę.

— To mało, moja imość.

— Mój kochany, zkąd ci podobne myśli wyroiły się w głowie, nic podobnego nie słyszałam nigdy?

— Bo widzisz, pomyślałem sobie, żeśmy już starzy, nie długo nam tu popasać, a sierota bez pieniędzy, bez posagu....

— Ma brata i bratowę; nie bój się, nie zapomną o niej przecie, znajdą jakiś kącik dla siostry — mówiła porucznikowa ze łzą w oku i widocznem wzruszeniem.

— Otóż że w tem bieda moja Zosiu! skwaśnieje przy nich, zestarzeje się, i nikt tego nie weźmie;

i właśnie dla tego mi żal. że poczciwa dzieweczka, a musi zmarnować życie jak ten zagraniczny kwiatek w piwnicy, co i owocu nie wyda, i oka nie popieści a zwiędnie bez słońca i ciepła na zawsze!

— Tak źle nie będzie Jędrusiu! Bóg opiekuje się biednemi, prędzej czy później, nagrodzi ubóstwo lepiej, niż my przewidzieć to możemy.

— Wszystko dobrze, pięknie, ale... ale dziewczyna 18 lat kończy. a tu o zamężciu ani słychu.

— Eh! kłopoczosz się na próżno mój kochany, i nabijasz głowę zmartwieniem przedwczesnem! A cóżto, kobieta stara w 18 roku?

— Wprawdzie nie, lecz blisko tego....

— Myślisz jak drudzy Jędrusiu, lecz to błędna maksyma: przeciwnie ja utrzymuję, że kobieta w 18 roku życia, dziecko jeszcze. Bo ileż to czasu mogła żyć prawdziwie na świecie? najwięcej dwa lata, i gdzie jeszcze? w domu rodziców, pod opieką matki i ojca, pod kierunkiem ich myśli i woli. Gdzież ona miała czas rozpoznać to życie, pojąć obowiązki swoje jako człowieka, jako kobiety, jako żony, jako matki!? Wierzaj mi, to na prawdę i 6 lat zamało?

— A nie wieszto imość — przerwał śmiejąc się porucznik — że kobiety wcześnie dojrzewają, że czego nie nauczą się, to przeczują trafnie;

ot perorujesz mi imość jak filozofka: Cóżto, każda taką być ma? czy to nie potrafi sobie później wyrobić swego zdania, swojej woli, hę?

— Może być, przyznaję — odrzekła porucznikowa — lecz widzisz mój kochany, to zawisło od wielu a wielu okoliczności. Często, zwłaszcza u biedniejszych, młoda mężatka odrazu wprzęga się w jarzmo pracy, że nie ma nawet czasu zastanowić się nad tem; często, przekona się za późno, gdy skutków cofnąć nie podobna; często znowu, zepsuta pobłażliwością, lub niewiadomością oddanego jej męża, nabierze pewnej zarozumiałości o swoim rozumie. A tu nikt nie sprostuje krzywej drogi, bo matka daleko lub w grobie, bo każden boi się napominać mężatkę choćby ona 19 lat miała. Mężatka u nas to kobieta skończona, doskonała, która chce uczyć drugich, a nie ta którą uczyć potrzeba....

— No, już skończyłaś? — przemówił oddychając śmiejąco się porucznik — dalibóg, ksiądz dziekan niech się schowa ze swoją nauką; a to ja ani przypuścić mogłem, żeby moja imość tak sobie nabiła głowę podobnemi maksymami.

— Fe, nie żartuj Jędrusiu, to co ci mówię, wysnuwam z duszy jak pająk z swych wnętrzności pajęczynę; w tych słowach mieści się trzydziestoletnia mozolna walka braku z pracą, a ty....

BIBLIOTHECA
UNIV. IAGELL.
CRACOVIENSIS.



...Chłop złapał w swoim ogrodzie cygana kradnącego jabłka... (Str. 77.)

— Wiesz co, Zosiu — przerwał żartobliwie — jak patrzę na ciebie teraz, i słyszę cię perorującą z takim zapałem, zaraz sobie przypominam ową dykteryjkę o chłopku ruskim i o cyganie....

— Jakażto dykteryjka?

— Ot widzisz: chop złapał w swoim ogrodzie cygana kradnącego jabłka; w pierwszym zapędzie, chciał go zmierzyć potężną lagą, gdy przelękniony cygan jak go zacznie błagać, prosić, aby robił z nim co mu się żywnie podoba, ubił, zabił, byle za płot nie przerzucił: bo mówi, cyganie wypędziliby go ze swojej bandy. Chłopek kij opuścił, podumał trochę i porwawszy w pół winowajcę, śmignął go mosanie za płot krzycząc: „czort tebe bery“!. Tego też trzeba było cyganowi, rozśmiał mu się przed nosem i poszedł sobie z Bogiem.

— To jakież to podobieństwo z mojem dowodzeniem?

— Hę, więc imość jeszcześ nie zrozumiała?

— Doprawdy że nie.

— Eh, otóż acani jesteś tym cyganem, a ludzie i ja i Julka, tym chłopkiem; nieprawda?

— Jakim sposobem? — zapytała oburzona porucznikowa.

— Kiedy mię już tak ciągniesz za język, moja pani, to ci powiem, że gadasz aby gadać, ot tak sobie z książek i kwita; a jakby się dziś zdarzył

jaki uczciwy człowiek, jutrobyś pojechała do Krakowa po wyprawę, rozumiesz, hę.

— A to pięknie mój mężulku, to komplemencik dla żony; no, nie wiedziałam!

— Daj pokój imościnko, ty swoje, ja swoje; jak się trafi jaki, wydam mosanie! Cóżto ja wieczny, czy co? wolę jak bądź, tak bądź zabezpieczyć przyszłość, niż żeby się potem moje grzeszne prochy wstrząsały jej lamentem. Ale o tem potem; a teraz daj pani kolację, bo mi się porządnie jeść chce.

Milcząc, trochę i zagniewana, wyszła porucznikowa do kuchni, a on tymczasem powstał z kuferka, fajkę wytrząsnął, postawił w kącie, i przeciągając się jakby po znużeniu mówił do siebie: „prawda jest, nie ma nad czem głowy łamać; co ma być to i będzie; dziewczyna gładka, trochę trzpiot, lecz się to ustatkuje mosanie, i ja taki byłem za młodu, a przeciem nie żaden raptus.“

Nie można zaprzeczyć, że pora jesienna, lub też smutek jednych osób, wywierają zwykle podobne usposobienie na drugich; a nawet serce młode, pełne różowych snów przyszłości, do których życie jeszcze uśmiecha się czarodziejsko, których niewinną myśl nie zakłóca żadna dotykalna troska, wszelako nie mogą się oprzeć jakiejś niewypowiedzianej tęsknocie, za czemś nieznanem, nieprze

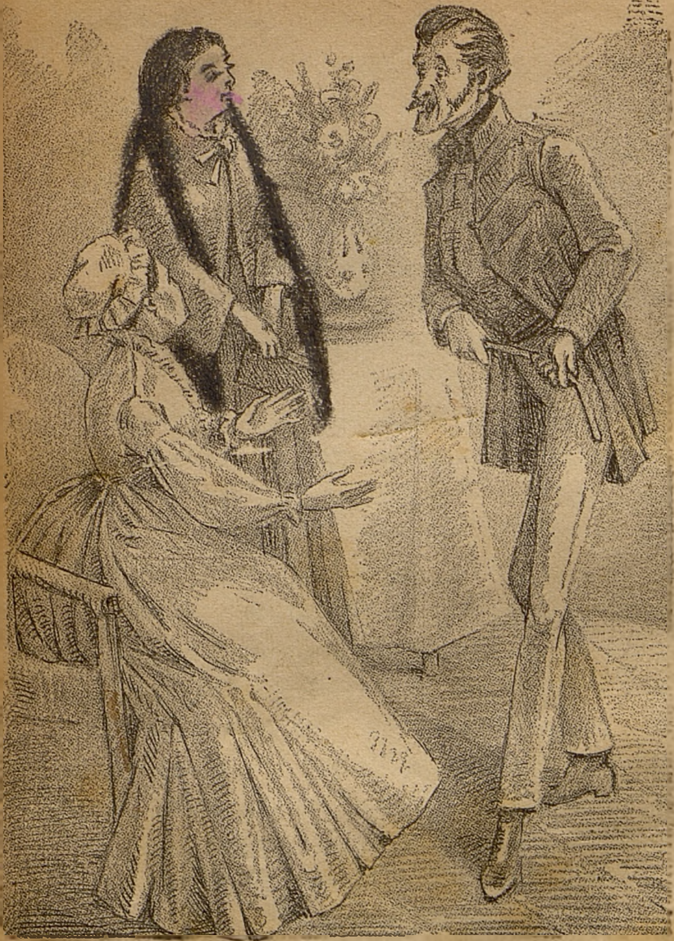
czułem nawet. Ni ztąd ni z owąd, wymknie się ciemny obłoczek z zakątka duszy; przybliżając się rośnie coraz bardziej, olbrzymieje a w końcu zamgli swobodny umysł tak, że przez niego nie można się dopatrzeć przed chwilą jaśniejącej swobody. Bardzo często się zdarza, iż człowieka z najweselszem usposobieniem, nawet wśród grona bawiących się przyjaciół, jedno słowo, jedna myśl nadspodziewanie zrodzona, zmienia do niepoznania; jakiś niesmak owionie całą jego istotę, wysnuje z siebie myśl więcej poważną, rzewliwą, żałośną; przykre wspomnienie przeszłości, lub przykrzejsze jeszcze niewiadomej przyszłości, uporczywie przylgnie do serca, i z niem spoi się tak szczelnie, iż żadna moc wtedy, nie zdoła ich rozerwać.

Otóż i tego wieczora, podobnie melancholiczne usposobienie udzieliło się wszystkim osobom, składającym rodzinę porucznika. On sam, choć przymuszał się do wesołości, choć przy kolacji prawił pocieszne anegdotki, jednakże widocznem było, że myśl jego czem innem zaprzątnięta. Żona znowu, już nie mogła, a może i nie chciała pozbyć się przykrych wrażeń, wywołanych poprzednią rozmową; siedziała milcząco, chociaż porucznik napomykał o zabawie u państwa Lińskich dać się mającej, a na którą wszyscy zostali zaproszeni; chociaż i panna Julja nie mogła się nachwalić

pięknie uszytej sukni, i starała się ile możności rozbrajać kwaśny humor mateczki.

Ta panna Julja, którąśmy przed kilką laty małą Julką widzieli, dziś już była dorosłą i wcale przystojną panienką. Zupełnie podobna do matki: smagła, zwinna, fertyczna, z czarnym włosem, i czarnem, powłoczystem okiem, z twarzą przejrzystej białości, okraszoną lekkim rumieńcem, z figlarnem spojrzeniem i wiecznie uśmiechniętą twarzyczką, przypominała porucznikowi młodość ukochanej Zosieńki. To go tylko martwiło, że nie miała takich niebieskich oczu, jak niegdyś panna pułkownikówna Stefcia, „żebyto mosanie oko inne, oko! byłaby jak raz pułkownikówna“ mawiał; wszelako kochał ją bardzo, i kto wie czy nie na równi z Stefcią, która chociaż dziś była jego synową, choć mieszkała o kilka mil z swym mężem, jeszcze nic a nic nie straciła w jego sercu z dawnej miłości i uszanowania. Zawsze witał ją żołnierskim sposobem, zawsze była mu pułkownikówną, i trzeba było widzieć, z jakąto gracją stary całował ją w rękę, jakto wycierał wąsy, gdy mu przyszło złożyć ojcowski całusek na czole, z jaką to nieśmiałością przepraszał za pokłucie delikatnej twarzy ostrosterczącym włosem swej brody. Zresztą stary porucznik jeszcze wynalazł jednę między niemi różnicę: synowa była szczupłą, giętką jak trzcina; gdy tymczasem Julka, miała pulchną, pięknie

BIBLIOTHECA UNIV. IAGELL. CRACOVIENSIS



...I dobywał skórzanego paska i ściskał się tak mocno, że twarz mu siniała, a żona musiała prosić, żeby przestał. (Str. 81.)

zatoczoną, lecz nie tak zgrabną figurę. Codziennie męczył matkę i córkę czemuto nie starają się przerobić ten, jak mówił, niezgrabny wałek, na coś powabniejszego: „bo to mosanie nic się nie starają! ot tak aby było; chlast, włoży suknię Bóg wie po jakiemu; a dlaczegoto tamta prościutka jak struna, wcięta jak osa, a moja acanna jak, jak... dalibóg że już nie powiem.

— Proszę cię, mój Jędrusiu, dziwaczne masz żądania; trudno, już taką ją Pan Bóg stworzył! — inną nie będzie.

— Coto, nie będzie, musi być! Asani pleciesz sobie koszałki opałki: a nie wieszto jak robią w wojsku, hę? nie wiesz? Z draba mosanie wystrużą lalkę chłopaka; a nie przypominasz sobie naszych oficerów, jakto się ściągało, fjokowało? ale co tu daleko szukać, ja naprzykład....

— O, już to ty byłeś szczupły! przerywała porucznikowa, miałeś półtora łokcia obwodu.

— Pół łokcia chciałaś powiedzieć?

— Hm zapewne!?

— No jeżeli mi imość nie wierzysz, to spróbujmy jeszcze teraz; a zobaczysz, żem szczuplejszy, niżeli wy obiedwie razem!

I rozpinał węgierkę, dobywał skórzanego paska, ściskał się tak mocno, że twarz mu siniała, a żona musiała prosić żeby przestał.

— Dajże pokój! — mówiła żartobliwie — popuść przez litość, bo się przetniesz!

Lecz on nie zważając na to, zapinał sprzączkę, naznaczał miejsce, a odpiąwszy, mierzył do figury córki, ściskając ją tak dalece, iż nieraz ledwo można było odpiąć.

— To jeszcze nie tak jak u Stefci; tamtej to figura mosanie, tamtej ha! — mówił znacząco, dając swym palcom głośnego smakowitego całuska.

Z tych może powodów, panna Julja nie miała tej śmiałości do ojca, z jaką okazywała się dla matki. Stary porucznik idąc za dawnym trybem wychowywania, kochał ją bardzo, i byłby niewiedzieć co zrobił dla niej w razie potrzeby, lecz nie przypuszczał nigdy do zbytniej z sobą poufałości: „dzieci, mosanie, powinny znać mores; wszelkie cackania psują ich tylko! Proszę ja, co mi to za ojciec, którego córka lub syn w twarz całują? — a zasię od tego moja panno, w rękę pozwalam i to w dowód szczególnej łaski; hm, co im się zachciewa? jakby to ojciec był z przeproszeniem jaki smarkacz, jak pierwszy lepszy koleżka; ja się tak chowałem a dobrze!“

I panna Julja nasłuchawszy się podobnych rozpraw, miała dla niego najwyższe uszanowanie, cześć prawie nadludzką i miłość najgoretszą; każde jego słowo było dla niej wyrokiem, każde życzenie rozkazem, a każdy rozkaz świętym, niewzruszonym....

Matkę zaś kochała inaczej, bo kochała ją raz jako matkę, drugi raz jako przyjaciółkę, jako ochmistrzynię i lekarkę która zna wszystkie tajniki jej serca, czuje z nią razem, i potrafi wlać w jej młodocianą duszę, piękne, szlachetne i pełne miłości uczucia; w której, na każde zmartwienie znajdzie skuteczną pociechę i lekarstwo, a w nieszczęściu — wielką bezprzykładną pokorę i rezygnację.

Jednakże pomimo tyle zniewalającej miłości dla matki, gdy nastąpiła jakaś sprzeczka między rodzicami, ona stanowczo była za ojcem; porucznik zawsze zdawał jej się więcej pewnym siebie, więcej imponującym, bo dowodził żywo, stanowczo, gdy tymczasem matka, znając dobrze jego porywczość, powoli tylko i systematycznie musiała go przekonywać. Mimowolnie więc energja mężczyzny, dawała jej więcej zaufania.

Co do porucznikowej, ta starała się ile możności utrzymywać ją w dotychczasowem przekonaniu o ojcu; każdy błąd jego umiała zręcznie wytłumaczyć, pokrywając płaszczykiem przypadku, konieczności, temperamentu; każde zaś dziwactwo uczynić nic nieznaczącem. Przeciwnie najmniejszą zaletę, tak podnosiła, tyle nadawała jej ważności, uroku, szlachetności, dobroci, iż panna Julja nie widziała nic złego w swym ojcu, a tem samem

zapał uwielbienia dla niego, nietylko nie ostygał, ale więcej się wzmagał.

Dotąd życie jej zbiegło jak jeden dzień wiosenny, pośród róż i bławatków splecionych miłością dwóch serc dla niej bijących; czasem tylko, delikatny kolec zadrasnął niewinną myśl dziewczęcia, lecz że ból jego był tak mały, trwał tak krótko, więc znikał bezpowrotnie, jak fale szybko płynącej wody. Jednakże w miarę rozwijających się władz umysłowych, w miarę coraz jaśniejszego zapatrywania się na świat i ludzi, myśl więcej poważna zakołatała do duszy, zażądała dokładniejszego wyjaśnienia, i więcej pewnych wyobrażeń. Modlitwa, miłość rodziców, spokój domowy, już nie wystarczały budzącemu się sercu, które chciało przedrzeć się z tajemniczej obsłonki teraźniejszości, wylać się dalej poza obręb zwyczajnych wypadków patryarchalnego prawie żywota. Dlatego rozmowy jej z matką bywały coraz dłuższe, bardziej wymagające, więcej tęskne. I tego dnia właśnie, gdy po kolacji oddaliły się z matką do swojej sypialni, jej tęsknota może podsycana smutkiem rodziców, przybrała większe rozmiary. Porucznikowa nie przemówiwszy ani słowa, zabierała się do spoczynku, gdy Julka usiadłszy na owym kufrze przy piecu, z okiem utkwionem w jedno miejsce, zatopiła się w niezwyklem dumaniu.

— Co ci jest moja Julciu? — przemówiła rzewliwo matka, całując ją w głowę — czego tak się zamyślasz, kochanie, bądź spokojna, smutek nasz jest małoznaczącym, urojonym.

— Moja mamo droga! — zawołała ze łzami w oczach, chwytając porucznikową za szyję — moja kochana! serdeczna mamo, ja sama nie wiem co się ze mną dzieje. Tak mi coś tęskno na sercu, tak smutno w duszy, tak chciałabym się wypłakać a nie wiem z czego i dlaczego.

— Uspokój się moje dziecię, to minie; rozrzewniłaś się patrząc na nas, otrzyj łzy kochanie, niepotrzebnie się martwisz.

— Ależ moja mamo, to ciągle tak mię dręczy ten smutek, modlę się, pracuję, odpędzam go, wszelako nie chce mię opuścić. Powiedz mi proszę cię kochana mamo, co to być może? Czy doświadczałaś tego kiedy, może ty wiesz co to jest? może to choroba jaka?

— Nie, moja Julciu, to nie choroba, ale przebudzenie się duszy; to zbytek czucia, któremu ciasno tutaj, to początek życia.

— Więc nasze życie tyle jest smutnem? — przerwała naiwnie córka.

— Smutnem, nie smutnem, drogie dziecię, bo to należy od sposobu zapatrywania się na niego, do wpojonego w siebie przekonania, że tak być powinno a nie inaczej, i od zrozumienia warunków

celu istotnego tej doczesnej na ziemi pielgrzymki. Inaczej na nie spoglądać będzie chłopek, inaczej ty, inaczej bogacze: to czem pierwszy się kontentuje, tobie wyda się małem, majętnemu drobnostką. Żądze ludzi są tak różne, tak sprzeczne, tak dziwaczne, jak różne są ich twarze, różne uczucia, różne potrzeby.

— Więc, moja mamo, nigdzie nie ma szczęścia na ziemi?

— Tak, nigdzie!

Dziewczę opuściło smutnie swą główkę, łza znowu zabłysła pod powieką, a żal potrząsł zranionem sercem.

— To i pocóż żyć na świecie? — zapytała po chwili z goryczą. Ja tyle sobie marzyłam szczęścia, tak piękne układałam projekta, tak cudnie patrzałam w przyszłość, a ty kochana mamo zniszczyłaś jednem słowem wszystko to, com ja lata skwapliwie budowała. Oh to zanadto przykro!

— Poczekajno moje dziecię, nie przesadzaj tylko, wszystko to da się pogodzić, tylko nie marzenia. Myśl sobie, bujaj, bo to władza ducha, lecz nie przywiązuj nigdy żadnej wagi do tych marzeń, nie łącz ich z rzeczywistością, gdyż srogo zawieść się możesz. Widzisz moja córko, obiecując sobie mniej, nie stracisz na tem, jeżeli otrzymasz więcej, bo to właśnie stanowi szczęście: lecz gdy twe nieziemskie marzenia wiatr pierwszy rozwieje, a rzeczywistość sucha, naga, zimna, sta-

nie ci przed oczyma, uczujesz wtedy zawód, niejaki żal, a ztąd i troska cię otoczy. Po cóż więc samochcąc przyczyniać sobie umartwień, gdy same okoliczności ich nie skąpią? Całe życie powinnaś sobie wmawiać, że nie ma nic stałego, nic szczęśliwego na tej ziemi, bo i tak jest rzeczywiście; ale gdy chwilowo uczujesz się zadowolnioną, to radość podobną czuć będziesz dokładniej, gdyż jej się nie spodziewałaś, gdyż jej nie znałaś wprzódy, nawet w myśli twojej. Zresztą powiem ci prawdę, że szczęście pojedynczego człowieka, nie jest jeszcze istotnem szczęściem. My wszyscy jesteśmy jednem tchnieniem Boga, jedną też duszą być powinniśmy; więc myśl podobna o własnem szczęściu, byłaby egoistyczną, cieszyć się wtenczas gdy inni cierpią, nie jest to uczuciem wypływającem z miłości chrześciańskiej. Inne jest nasze przeznaczenie, inna dążność, które zasadzają się tem, aby drugim szczęścia przyczynić. Ty, moja córko, w swem życiu napotkasz wielu a wielu przeciwnych temu, lecz nie zrażaj się ich zaprzeczaniem, nie zapatruj się na ludzi jakiemi są, a wyobrażaj sobie takiemi, jacy być powinni!

Teraz idź spać kochanie, pomódl się szczerze, a modlitwa cię pokrzepi: odrzuć próżne marzenia, zajmij się pracą, to i tęsknota minie. Najcięższa pierwsza chwila; jak tę się przebrnie szczęśliwie, reszta już nie tyle straszną. Oto jutro pojedziemy

do państwa Lińskich, tam się rozerwiesz trochę.

— Wie mama, że teraz zupełnie nie mam ochoty do zabaw.

— Dla czego?

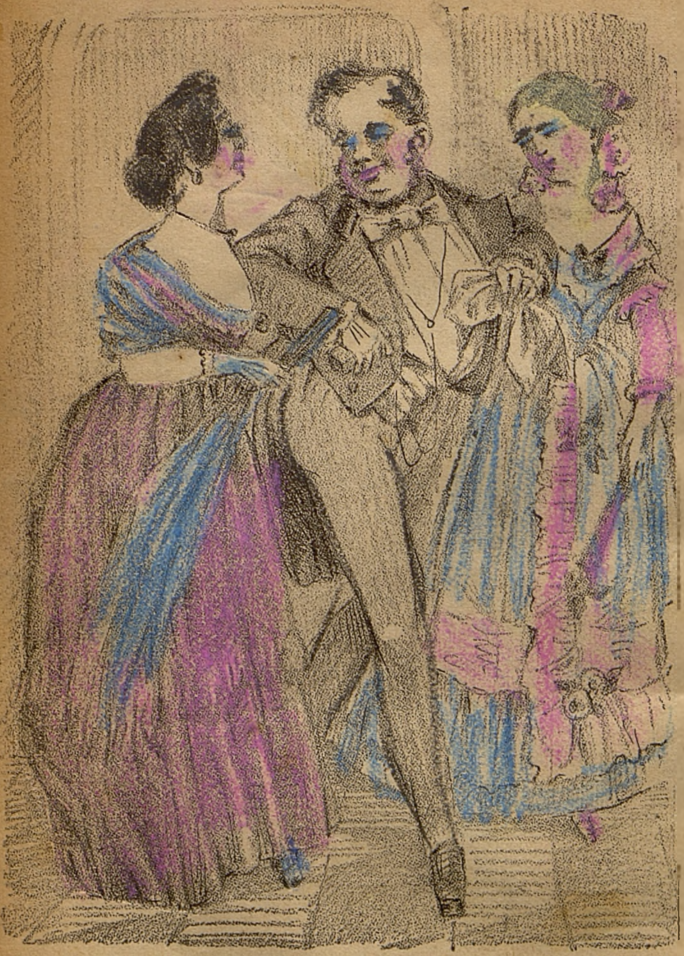
— Bo raz, że mnie nudzi tamtejsze towarzystwo.

— A! fe, jak można tak mówić?

— Tak jest, kochana mamo: ci państwo Lińscy tyle są ceremonjalni; panny jakieś dziwaczne, wyobrażeń zupełnie innych, że wcale mi się nie podobają, i żeby to od mojej woli zależało, nigdybym do nich nie pojechała.

— No patrzajże moja Julciu, zaraz pokazuje się, że tylko myślisz o swojej własnej przyjemności. Chciałabyś żeby ciebie bawiono, a nie chcesz z siebie nic a nic poświęcić dla drugich. Darmo, kochana córko! darmo, tak być nie może na świecie; jedni dla drugich żyjemy, jaki bądź jest dom państwa Lińskich, kiedy są ludzie uczciwi, i kiedy proszą, trzeba im zrobić podobną usługę; a jeżeli ci to jakąś przykrość sprawia, niech ci się zdaje, że robisz dla nich ofiarę z swych przyjemności, a to już hojnie wynagrodzi ci wszystko!

BIBLIOTHECA
VNIV. IAGELL.
CRACOVIENSIS



...Pan Ludwik Liński już podstarzały, dobrego wzrostu i tuszy mężczyzna, ochoczo wprowadza kobiety... (Str. 89.)

II.

W miasteczku powiatowem, o dwie mile tylko od mieszkania porucznika odległem, przebywają obecnie państwo Lińscy. Dziś właśnie imieniny samej pani domu, więc salon ich przepełniony gośćmi płci obojej, różnego wieku, stopnia i majątku. Gospodarstwo bowiem koniecznie chcą uchodzić za popularnych; przyjmują wszystkich bez różnicy, pomimo widocznej niechęci córek, a mniej widocznej innych gości, mających się za coś lepszego od pospolitej miastowej gawiedzi.

We drzwiach samych, pan Ludwik Liński już podstarzały, dobrego wzrostu i tuszy mężczyzna, dziwnie różowego koloru twarzy, z włosem szpakowatym na dużej nieco pochylonej głowie, we fraku nie ostatniej mody, i nie pierwszej świeżości, ochoczo wprowadza kobiety, zdejmuje płaszcze, ośmiela młodzież, starych częstuje tabaką, którą wiecznie nosi w jednej ręce, a w drugiej czerwoną fularową chustkę. Chustka ta nazywa się na c z y s t o i przy gościach wyłącznie pełni swój

obowiązek, albowiem pan Ludwik ma inną brulionem nazwaną, którą zwyczajnie gdzieś w bocznej kieszeni fraka umieszcza.

Pani Ludwikowa, kobieta może pięćdziesięcioletnia, szczupła, piękna tą pięknością starszej już osoby, którą wybornie można przyrównać do kawałka zszarzałej materji, kiedyś kiedyś bardzo pięknej i kosztownej, a teraz przekonywającej tylko o tej świetnej niegdyś przeszłości. Na ustach jej, osiadł wieczny uśmiech, ale to uśmiech pochodzący już z układu twarzy, dla tego osoby pierwszy raz ją widzące, nie mogą się wydziwić tak wesołemu usposobieniu pani Ludwikowej, która choć płacze, to z uśmiechem na ustach. W całej na pozór imponującej postawie, widać pewien przymusowy układ, jakąś sztywność, grzeczny chłód i prawdziwie naśladowany ton arystokratów. Z ujmującą grzecznością wita kobiety, usadza w miarę na kanapie, fotelach, sofach, kozetkach; mężczyznom dość zręcznie podaje rękę do pocałowania, lecz we wszystkich tych zabiegach i prośbach, czuć można tylko ceremonję, ale serdeczności ani za szeląg.

Dwie bardzo przystojne nawet panienki, uwijają się w innym znowu pokoju, zajęte przyrządami do herbaty. Starsza, może 18-letnia blondynka, z małemi niebieskiemi oczkami, w których przebija się utajona filuterja, z małym również noskiem, nad-

zwyczaj delikatną cerą twarzy i pięknym regularnie zatoczonym stanikiem, podobna zupełnie do ojca, tylko rozróżnia ją dziś wiek i delikatność kobieca. Ruchy ma żywe, wejrzenie śmiałe i pewne, uśmiech na pogotowiu, koniec końcem, panna Helena jest wcale ładną i mogącą się podobać dziewczyną. Druga nieco młodsza, a poważniejsza brunetka, podobna znowu do matki, jest to panna Emilja Lińska. Uważając na powierzchowne wdzięki, ta jest daleko piękniejszą od starszej siostry: śliczny owal twarzy osłaniają dwa sploty ciemnych włosów, zaczesanych w duże nioby; nosek zgrabniutki; oczy duże, czarne przenikające, ociemnione długą rzęsą: usta małe, zęby jak kość słoniowa; wzrost więcej niż średni, a figurę, zda się można dłonią objąć. Obie w białych zgrabniutkich sukienkach, przepasane niebieską szarfą, wyglądały bardzo korzystnie i wzbudzały powszechną adorację, tak mężczyzn jak i kobiet. Ubrania tylko na głowach trochę za wielkie i niezbyt gustowne; rączki i nóżki nie tak bardzo małe, jak się wymaga od pięknej kobiety, mogłyby spowodować przyganę jakiego z wielkiego świata wykwintnisia, lecz że na tym wieczorze żadnego nie było, to panny Lińskie niezaprzeczenie królowały.

Obejrzmy teraz umeblowanie salonu, które już w części nosi na sobie piętno charakteru gospo-

darstwa. Pokój obszerny, jak rynek małego miasteczka, niekształtny, bo z dwóch pokojów mniejszych przez wyjęcie środkowej ściany utworzony, mieścił w sobie wszystko to, co tylko miał dom państwa Lińskich. Spojrzawszy na wielką ilość obrazów, zegarów, mebli, kwiatów, i innych bez liku drobnostek, i do tego poustawianych bez najmniejszej symetrji, zdawało się, że to jest magazyn rozmaitości, a nie pokój mieszkalny. Każdy sprzęcik tam umieszczony ma wielką wartość i znaczenie w przekonaniu gospodarstwa, i niechnoby kto zapytał o co pana Ludwika, niechnoby pochwalił siatkowe domowej roboty firanki, lub jednę z poduszek na kanapie, już nie łatwo mógł się wydobyć ze szponów jego gadatliwości. Szanowny gospodarz, z całym zasobem krasomówstwa i rozwlekłości, opowiadał dzieje każdego przedmiotu, zkąd go wziął, gdzie on dawniej był, co kosztuje, ile lat służy, a na dobitkę wszystkiego, zdejmował ze ścian, wydobywał z szuflad lub serwantek, pokazywał, kazał dotykać i przekonywać się o prawdziwości jego dowodzeń. We framugach okien, drzwi, za piecem, po ścianach, wszędzie wisiało mnóstwo pooprawianych rycin, obrazów olejnych i krzyżową robotą; medali gipsowych i metalowych; na stołach znowu, komodach, szafkach i tam gdzie można było coś postawić, poumieszczano figurki z gliny nie gliny, z papieru nie papieru, fajansu, por-

celany, kwiatów. Na stole nawet prezydjalnym, przed główną kanapą, porozrzucano obdarte książki, jakieś albumy, rękopisma, ryciny, pomiędzy niemi kilka starych romansów francuzkich, bo tak pani sama widziała u państwa tych a tych i tak powinno być w salonie. Wszelako mimo takiej obfitości przedmiotów, wskazującej na oko zamożność państwa Lińskich, rozpatrzywszy się dobrze, można było dostrzedz największe skąpstwo, połączone z chęcią błyszczenia. Wszystko, począwszy od krzeseł, aż do piórka od zębów, leżącego poważnie na ogromnej marmurowej paterze, było zbieraniną różnego kalibru i czasu, było po części swojskim wyrobem ładnych rączek pani samej i córek, po części zaś nabyte za półdarmo, po licytacjach, lub darem od znajomych, o co tak pięknie a nieśmiało cała familja umiała się przymawiać.

Na głównej kanapie wprost drzwi wchodowych, siedziało kilka poważnych matron, najczystszej miastowej arystokracji; z jednej i drugiej strony sznurkiem mieściły się dziewice skostniałe od zimna, gdyż pan Ludwik licząc na zmęczenie się tańcem, nie kazał ogrzać salonu. Dalej ku oknom, bliżej znajomi, dlatego mniej traktowani, zabawiali się jak mogli, gwarząc to o tem, to o owem: starszyzna zasiadła do preferansa, przy dwóch stolikach ustawionych za piecem. Proszę się tylko nie śmiać, że mówię za piecem, bo jak wyżej nad-

mieniłem, salon był zrobiony z dwóch mniejszych pokojów, więc ogromny piec kaflowy, pozostawszy w miejscu, dobrze wystawał od środkowej ściany, a tem samem tworzył prawie oddzielny pokoik. Całe towarzystwo wówczas tam znajdujące się, podobnie jak przedmioty salonu, było najrozmaitszą mozajkowaną zbieraniną; albowiem państwo Lińscy, przyjmując zwykle osoby, od których niezawodnie czegoś potrzebowali, lub zamierzali potrzebować, nie mieli stałych gości, a zwłaszcza tańczących. Więc jak wypadła potrzeba, sprowadzali na ten raz kogobądź, aby tylko zapełnić pokoje, i aby potem mówiono iż 60 lub 90 osób u nich było na wieczorze.

Panny Lińskie, chociaż ubierały się w długie sukienki, wszelako w przekonaniu rodziców uchodziły za dzieci, i ciągle pobierały nauki, mające podnieść ich umysłową a raczej światową wartość. Cała ich edukacja wypływała z dobrowolnych składek ludzi młodych, zhołdowanych przez ojca. Spotkał gdzieś rozsądnego i trochę lepiej ukształconego chłopczynę, już przylepił się do niego jak smoła, ściskał jak równego, zapraszał do siebie na herbatę i po kilku takich wizytach, powoli, niechcący, projektował uczenie d z i e c i a c z k ó w. Naturalnie, że młody człowiek ujęty taką szczerością sentymentów, nie śmiejąc odmówić przystawał na wszystko, raz że pan Ludwik obiecywał

każdemu niesłychaną protekcję, powtóre, że tak pięknie uśmiechały się dziewczęta i mama, więc zakołatało serce biedaka, i nolens volens wykładał kurs literatury lub innego przedmiotu, z jakie pół roku lub dłużej, w miarę energiczniejszego lub słabszego charakteru improwizowanego profesora. Sama pani, była nadzwyczaj muzykalną, tylko na nieszczęście nie była obdarzona pedagogiczną cierpliwością, bo nic a nic nie mogła córkom udzielić z tej trudnej nauki. Ale mężulko za to był nie w ciemię bity: jak tylko zasłyszał gdzie o jakim nauczycielu muzyki, pisał do niego zachęcając do osiedlenia się w tem mieście, sprowadził go, karmił, poił u siebie, starał się o lekcje dla niego, rekomendował, oprowadzał, dość że ten za tyle starań i zabiegów, poczuwając się do wdzięczności nie chciał przyjąć żadnego wynagrodzenia, i znowu czas niejaki musiał odpokutować swoje powodzenie. Najmniejsze zniechęcenie lub zaniedbanie ze strony ułowionego profesora, sprowadzały groźną burzę na biedną głowę; najprzód sypały się niesmaczne przyjęcia, potem lekkie wyrzuty niewdzięczności, a w końcu niezmordowane zabiegi szkodzenia mu, tak dalece, że biedak porzuciwszy wszelkie okoliczności, widoki i względy, musiał drapnąć zkąd przyszedł.

Zjawia się w mieście artysta z chęcią dania koncertu, już pan Ludwik rekomenduje mu się

w zajeździe, wylicza swoje dobrodziejstwa, które innym artystom wyświadczył, ofiaruje tak życzliwie swe usługi, że zniewolony tem przejeżdżający, przyjmuje opiekę i daje mu się powodować. Nasz niezmordowany dobrodziej wynajmuje salę, robi bilety, sprzedaje takowe, pożycza fortepianu, wynajduje akompaniamenta, zaniedbuje swoje obowiązki, jedynie dlatego, żeby jego dzieciny i żona mogły bezpłatnie bywać na koncertach, żeby coś skorzystały z gry jego, bo ma się rozumieć zaprasza go jeszcze do siebie na herbatkę, każe grać do upadłego, a potem szczyci się tem, że u niego bywa ten a ten artysta, że on go protegował i pomógł mu do zyskania takiego stanowiska, jakie później zajął w świecie artystycznym.

Choćby to był drugi Paganini, Liszt, Szubert, choćby jego sławę cały świat głosił, jeżeli tylko odrzucił protekcję państwa Ludwikowstwa, już zagniewani nie pójdą na koncert, tylko spacerują niby koło okien sali, gdy koncert się odbywa, ganią na zabój grę, kompozycję i zarozumiałość dumnego artysty.

Państwo Liúscy chociaż nie zbyt dawno przebywali w tem mieście, dokąd ich urzędowanie samego pana przyciągnęło, jednakże prawie wszyscy dawniejsi mieszkańcy znali ich wybornie, i po roku zabrakło gości w salonie naszych dobrodziejów. Lecz pana Ludwika nie ustraszała podobna

niechęć; on zawsze wynalazł coś nowego z przejeżdżających lub interesantów biurowych, których podejmował chojnie, aby potem gdy przyszedł obrachunek kosztów, nie odważyli się targować z tak uprzejmym gospodarzem. Każdy którego stopa raz tylko postała w ich domu, zaciągał względem nich nieprzeliczone obowiązki wdzięczności i jakimbądź sposobem musiał się z nich wywiązać, gdyż pan Ludwik wcale nie przebierał. I tak, zdarzy się posłaniec z listem, pan Liński częstuje go wódką, raczy śniadaniem, rozmawia po przyjacielsku, każe czekać kilka dni na odpis, a przez ten czas żeby się człowiekowi nie nudziło, dostarcza siekiery, wytacza dwa lub trzy potężne kloce drzewa, i ten biedak pocąc się od rana do zmierzchu, musi rąbać ani pisnąwszy, bo zaraz obsypie gradem dobrodziejstw, których wartość potroi wyświadczoną usługę.

Sama pani, kobieta wielkiego świata, zawsze uśmiechnięta, zawsze znudzona i małomówna, wtedy tylko się ożywia, gdy kto jej nieznacznie pochlebi adorując córeczki, lub wspomni o jej familji. Natenczas małomowność znika, oko się rozpromieni, dowcip nawet się pokaże; i tylko proszę słuchać z jaką to nieukrytą radością zacznie rozpowiadać o owej madam, u której była na pensji w Krakowie, jakto ona była u hrabiostwa P., jak ta madam miała dwa łokcie prawdziwie braban-

ckiej koronki, jak to hucznie żyli jej rodzice, jak wujeczny dziadek był biskupem i t. p. Mało, i to uprzywilejowanych osób arystokratycznego pochodzenia, posiadają jej bezinteresowne względy, innych przyjmuje grzecznie, lecz chłodno, jest im życzliwą, o ile coś z nich spodziewa się skorzystać.

Biorąc miarę z podobnego usposobienia obojga małżonków, którzy dziwnie z sobą harwonizują pod względem świadczenia dobrodziejstw, tudzież zważając na składkową edukację córek, o tych ostatnich moralnej wartości nie wiele zostaje do powiedzenia. Starsza, coto już po kilka miesięcy bawiła u ciotek, wujów, stryjów i tym podobnych kuzynów, otrzaskała się nieco ze światem i manierami nieco eleganckiemi. Umie prowadzić dość gładko, choć rozwlekle salonową rozmowę, byle nie zbyt często z jedną osobą, gdyż prędko wyczerpuje cały zasób przedmiotów i musi zacząć powtarzanie. Pierwszy raz widząc jaką osobę, już staje się jej dobrze znajomą, życzliwą, uprzedzającą, przyjacielską, lecz na tem koniec; dalej, niepodobna postąpić w jej względach.

Z całego jej postępowania wiał taki chłód, czczość, brak czucia i serca, że pomimo widocznych narzucań się, pomimo nadobnej powierzchowności, już po trzeciej wizycie każden z młodych ludzi odchodził widocznie zawiedziony w swych mnie-

maniach lub zamiarach, przy pierwszem spotkaniu powziętych.

Młodsza, Emilja, zupełnie jak to mówią surowa, umiała się tylko śmiać, tańczyć, stroić, haftować, i nic więcej. W rozmowie ani rusz; prócz t a k lub n i e trudno było wydobyć więcej z jej ślicznej maseczki. Helenka przynajmniej zajmowała się całem gospodarstwem domowem, robiła za wszystkich, pamiętała o wszystkiem, snać wrodziła się w ojca, a młodsza, ulubienica mamy, chciała podobnie jak i ona, korzystać tylko z cudzych zabiegów i pracy. Ztąd wyradzały się między obydwiema siostrami ciągle niesnaski, jakieś dąsy, a czasem i żywsze wymówki; mama zwykle ujmowała się za młodszą, łajała Helenkę, a ojciec znowu bronił jej o tyle, o ile mógł się uzbroić w cywilną odwagę, aby sprzeciwić się ukochanej żoneczce. Później, gdy już panna Helena poznała, że kłótnie wcale nie przystoją dobrze wychowanej panience, i gdy przekonała się, iż panowie nigdy się nie gniewają, tyle potrafiła skryć się w sobie samej, iż z niezwykłą i prawie niewolniczą pokorą znosiła wszelkie wyrzuty matki lub siostry, i z uśmiechem na ustach a łzą w sercu, dogadzala wszystkim zachceniom i kaprysom samowładnych despotek familijnych. To może jeszcze bardziej uczyniło ją skrytą, niedowierzającą, obludną i wywołało w późniejszem życiu następstwa o których się dowiemy. Cała

familja kochała się jak gołąbki z jednego gołębnika: wszyscy płakali, gdy jedno zapłakało, wszyscy chorowali, gdy ktoś zachorował, wszyscy się cieszyli, gdy którego z nich szczęście spotkało, słowem pojmowali się tak doskonale, tak wybornie odgrywali komedję czułości między sobą, że nigdy żadnemu z nich ani przez myśl nie przeszło, sprawdzić tę miłość, lub zwątpić o szczerości uczuć drugiego.

Teraz, znając po trochu całą familję, wróćmy do salonu.

Tańce już się rozpoczęły, lecz jakoś nie idą ochoczo; gromadka młodych ludzi stoi przy drzwiach milcząco, wszyscy pierwszy raz znajdują się w tem towarzystwie, więc nie mają co z sobą do pomówienia, zresztą większą połowę składają dopiero ze szkół wyszli młodzieniaszkowie, prawie ubodzy, nieoswojeni z formułkami salonu, czerwieniący się na każdą zaczepkę kobiet, tańczący niezbyt wprawnie, więc szczęśliwi bardzo, iż stać sobie mogą swobodnie. Jest tam i kilku śmielszych, lecz i im jakoś dowcipu zabrakło: jedni śmieją się z ich wysilonych konceptów, drudzy się krzywią, zwyczajnie jak między osobami, których się nie zna nie tylko z charakterów ale i z osób. Panny wysoko o sobie trzymające, widocznie nie chcą tańczyć z mniej porządnie ubranym młodzieńcem, zdaje im się, że podobna łaska, mogłaby ubliżyć

jej godnościom; a zatem zabawa idzie leniwo, pomimo gorących zachęcań gospodarza, który nieustannie wywija z panienkami i starszemi już mężatkami, rozmawia, ośmiela i stara się ożywić swą wesołością. Pomiędzy tańczącymi jeden szczególniej młody, ale nie bardzo przystojny mężczyzna, pracuje za wszystkich; najczęściej wybiera córki gospodarstwa, a tańczy doskonale; pan Ludwik przyklaskuje mu co chwila, i cieszy się niewymownie, iż jego dzieciny coś korzystają od niego, gdyż to jest metr tańców, którego jedynie dla nauki zaproszono.

Pomiędzy grającymi w preferansa zobaczymy dawniej nam znajomego majora Wolickiego, który tu zjeżdża zawsze na większe uroczystości; nie zważa wcale na interesowność gospodarstwa, bo on przywykł bawić się wszędzie gdzie tylko dają jeść i pić dobrze, a o resztę nie dba. Tą razą jednak wyświadczył niemałą przysługę gospodarstwu, przywożąc z sobą nową i wcale nieznaną osobę.

Jest to majętny bardzo kawaler, podobno marszałkowicz, który przed miesiącem może, nabył majątek w tych stronach, a mając listy rekomendacyjne od jakiegoś pułkownika z Ukrainy, zapoznał się z Wolickim. Nasz major nie omieszkał zaznajomić go z sąsiedztwem, i dziś właśnie zaprezentował go w domu państwa Lińskich.

Spojrzyjmy więc na tego ukraińskiego marszałkowicza, który właśnie prowadzi rozmowę z panią Ludwikową. Jestto może czterdziestoletni mężczyzna, wysoki, szczupły, dość jeszcze przystojny, a sztywny jakby laskę połknął; włos szpakowaty, krótko przystrzyżony, pokrywa dużą z odstającemi uszami głowę; wąsów nie nosi wcale, tylko jak dwa płatki szaraczkowego sukna przylepione po obu stronach twarzy, rysują się faworyty. Ubiór jego twarzy, od *a* do *z* paryzki; mowa wolna, napuszona, uśmiech głupowato ironiczny, oczy zmrużone, ruchy wyrachowane, na pierwszy rzut oka zdradzają wielkiego pana i zdaleka już wraz z paczulowym zapachem odstręczają każdego otwartość lubiącego człowieka.

Jednakże pani Ludwikowej nadzwyczaj się podobał: z podwójnym już uśmiechem słucha opowiadań jego o Francji, i długoletnim w Paryżu pobycie; każde słowo zdaje się pochłaniać, każdy wypadek przyswajać.

— Bo proszę zważyć, łaskawa pani, stajemy w Wersalu do kontredansa, królowa nie ma pary, ja siedzę sobie swobodnie pod oknem, aż tu przybiega adjutant, że Jej Królewska Mość prosi mię do kontredansa.

— Jak to! pan marszałkowicz tańczyłeś z królową?

— Tak pani, jak z nią obecnie mam honor rozmawiać.

— Ależ to szczególniejsza łaska!

— Zapewne pani, lecz ja znanym już byłem Jej Królewskiej Mości z salonów księżnej D., gdzie miałem to szczęście być jej przedstawionym.

— Ach jakże zazdroszczę panu tej przyjemności — przemówiła z niezmyślonym żalem pani Ludwikowa: — ja wprawdzie nie byłam tak daleko, lecz u wód w Karlsbad miałam sposobność poznać ten wielki świat paryski.

— A w którym roku raczyłaś pani podróżować? — zapytał żywo pan marszałkowicz.

— W 1827 — odrzekła zaraz gospodyni, gdyż tak dla niej ważną datę pamiętała wybornie.

— Byłam z moją ciotką, która należała kiedyś do dworu Imci królowej saskiej, jako najulubieńsza jej frejlina. Wystaw sobie panie marszałku...

— Marszałkowicz, do usług pani.

— Ależ to wszystko jedno, zawsze ojciec pana był marszałkiem, i pan zapewne nim będziesz....

— Gdybym się nie przeniósł w te strony, to nie zaręczam czyby mię podobny zaszczyt nie spotkał; lecz słucham pani.

— Otóż ta ciotka, potem bardzo źle wyszła. Na dworze przyzwyczaiła się do pańskości, więc poszedłszy za mąż za hrabiego M. żyła prawdziwie po królewsku. Pamiętam co tam była za wy-

stawność, co to tam gości przewinęło się każdodziennie, jakie to zaprzęgi, konie; służba, wszystko proszę pana marszałka od złota. W parę lat mąż umarł, majątek zostawił odłużony i biedna kobieta w szale zapomnienia, poszła za jakiegoś ex guwernera, ex księdza, ex doktora, czy ex urzędnika, bo już doprawdy nie pamiętam, lecz wiem że miał coś z ośm exów. Proszę pana ja wówczas już byłam za moim mężem, i jak się dowiedziałam o tym skandalicznym związku, tak się rozżaliłam, że kilka razy zemdlałam i trzy tygodnie odchorowałam wstyd familijny...

— Ah, żal mi serdecznie pani, zaraz znać kobietę i kobietę z sercem....

— Tak, panie marszałku; to nieszczęśliwa nasza natura; i córki moje także....

— Ah, przepraszam panią, lecz muszę jej powinszować tak pięknych córek.

— Zbyt pan marszałek łaskaw na nie, to dzieciaczki nieśmiałe....

— Daruj pani, lecz o ile mogłem sądzić z rozmowy panny Heleny, najpierwsze salony warszawskie mogłyby się nią poszczycić.

— Żartuje sobie pan marszałek z moich parafjanek.

— Słowo honoru daję pani, że znalazłem je kompletnie dobrze; potrzeba tylko oswojenia się z wyborowem towarzystwem, trochę śpiewu, tro-

chę znajomości krajów... a zaręczam pani, wyrównają paryżankom.

Pani Ludwikowa spłonęła z radości potężnym rumieńcem jak panna piętnastoletnia, gdy ją zobaczą pierwszy raz w długiej sukience; już chciała coś serdecznego odpowiedzieć, gdy przerwała jej Helenka, donosząc o przybyciu porucznikowstwa. Przeprosiła więc uprzejmie marszałkowicza, i niechętnie podniosła się z krzesła powitać nowo przybyłych.

— A! szanownego pułkownika — zawołał pan Ludwik, spostrzegłszy wchodzącego porucznika w mundurowym fraku z zakręconym wąsem i dziarską miną: objął go serdecznie rękoma, ucałował po kilkakroć, potem przywitał porucznikową, mlasnął w czoło zachmurzoną Julkę i porwał ją ex abrupto do tańca.

— Jak też państwo na nas niełaskawi, tak późno przybyli — przemówiła niby z wyrzutem gospodyni.

— Ah to pani dobrodziejko — odrzekł całując ją gracjonalnie w rękę porucznik — Bóg widzi, spieszyłem jak mogłem, szkapy zgrzały się jak nieboskie stworzenia, tylko imość z córką tak się fjokowały, stroiły, że ledwie o ósmej mogliśmy wyruszyć.

— Siadajcież państwo, bardzo proszę; może herbaty?

— Jeżeli łaska to proszę pani dobrodziejki, zmarzłem jak kość słoniowa mosanie....

— Jak się masz Wolisiu! — krzyknął komendant spostrzegłszy grającego majora — a czy cię tu licho przyniosło, czy co?

— A ciszej przecie, Jędrusiu, nie zapominaj się! — szepnęła żona.

— Co to, ciszej; czy to nie w przyjacielskiem kółku, mosanie, a pójdźno majorze niech cię uściskam!

— A cóżto za krzykliwy oficer? — zapytał Kozłowicz pani Ludwikowej, gdy ta usiadła znowu na dawnem miejscu.

— To stary komendant weteranów z sąsiedniego miasteczka — odrzekła krzywiąc się gospodyni — zwyczajnie jak parafjanin; ale cóż robić, trzeba znosić wszystko dla miłej spokojności; nie przyjąć go, to okrzyczą arystokratami, dumnemi....

— Prawda i to — odrzekł ścigając wzrokiem Julkę — a ta przystojna brunetka, zapewne to córka?

— Tak jest, córka jego, konfidencjonalnie naiwna i trzpiotowata do niegrzeczności; a sama pani, ta w brunatnej sukni staruszka, nieznośna pedantka i nauczycielka dziwacznej moralności.

— Żałuję bardzo panią, że żyć musisz w takiem towarzystwie, jednakże racz mię im przedstawić, nie wypada bowiem pozostać tu dłużej

obcym; trudno, trzeba znieść wszystko, ofiarując na chwałę Bożą.

— Panie kapitanie! przedstawiam panu marszałka Antoniego Kozłowicz; a to, pan kapitan R. nasz przyjaciel!

— Bardzo mi przyjemnie — wymówił pan Kozłowicz podając rękę.

— Przecież też poznałem pana dobrodzieja — odezwał się wesoło porucznik ściskając dłoń jego — ten djabeł Wolicki, tyle mi nagadał o panu różnych przeróżnych rzeczy, że dalibóg gdyby nied zisiejsze spotkanie, sambym pojechał do niego.

— Nieskończenie zobowiązany za taką życzliwość, nieskończenie...

— Tylko bez tych ceregeli, panie marszałku dobrodzieju; ot tak sobie pogadajmy po ludzku: ja mosanie, prosty sobie człowiek nie ociosany, jakim mię Bóg ctworzył, lubię otwartość z kopyta. Pawiedział mi Wolicki, iż wasp... a przepraszam, pan marszałek, jesteś człowiek uczciwy i nabożny, więc tedy myślę sobie, wartałoby poznać, poprosić do siebie i kwita; hę, nie prawda?

Porucznik mówił to najszczerzej, gdyż był w istocie nadzwyczaj lgnący do ludzi. Skoro mu kto ze znajomych powiedział, iż ten a ten człowiek jest porządny, uczciwy, pobożny, już odrazu chciał mu się wylać cały, chciał mieć w nim nie znajomego ale przyjaciela; i jak raz powziął o kim korzy-

stne przekonanie, nie prędko dał się rozczarować. Tak też się stało i z panem marszałkowiczem: zaraz go usadził przy sobie, bawił, wypytywał, niezważając na widoczne marszczenia się tegoż, gdy porucznik machając rękoma, ośmielił się dotknąć jego wykwintnego ubioru, który nasz elegant zaraz otrzepywał chustką prostując zagięcia. Przedstawił mu żonę, córkę, dodając tej ostatniej przydomek trzpiota.

— Bo to mosanie swojskiego chowu dziewczyna, żywa jak ogień, a śmieszka jaka? dwa dniby się chichotała, gdyby miała kompanję. Potem rozpoczął z nim religijną dysputę, przedstawiając ulubioną sobie kwestję: „czy dzicy ludzie nieznający wiary Chrystusa, mogą być zbawieni“? Marszałkowicz choć udawał religjanta, nie wdawał się jednak w podobnego rodzaju dysputy; zbywał więc porucznika potakiwaniem, a ten mając wolne pole przed sobą, rozwodził się szeroko i głęboko nad tą kwestją. Naraz jednak, jakby sobie coś przypomniał, zapytuje pana Kozłowicza.

— Proszę cię, mój kochany panie, dla czego spadłeś tu do nas w Krakowskie jak z nieba? Bywałem ci ja na Ukrainie po rejmonty, ziemia tam jak w drugim raju, pieniędzy wprawdzie niewiele, lecz chleba huk; i u nas prawda go nie brakuje, ale to nie Ukraina mosanie!

Zaczerwienił się po uszy nasz marszałkowicz, milczał przez chwilę szukając zapewne jakiego wykrętu w swej głowie, nareszcie jąkając się odpowiedział:

— Prawdą to panie majorze, lecz widzisz lud tam bez żadnej pobożności; dręczyły mię ciągle podobne bezprawia, więc zagniewany, przeniosłem się aż do was.

— O, co miałeś rację szanowny panie, to miałeś: u nas mosanie, to ludzie jak aniołowie, a żebyś znał jeszcze naszego dziekana, jużbyś nie wychodził od niego; święty to człowiek mosanie, z duszą, ciałem, z kościami, dopierobyście dysputowali oba!

W tem miejscu przerwała zniecierpliwiona gospodyni rozprawy religijne, i rozłączyła obu; snać ten pan marszałkowicz zanadto ugrzązł jej w głowie i już zagięła parol na niego.

Porucznik tymczasem wmięszał się między tańczących: swoją naturalną wesołością ożywiał towarzystwo, ośmielał bojaźliwą młodzież, dyrygował, ustawiał, dość że zabawa przybrała inny kierunek. Pan Kozłowicz przechadzając się sztywno po sali ciągle jakoś obserwował Julję, której niezwykła wesołość, przytem ładna twarzyczka i ogniste spojrzenia zhołdowały go widocznie. Kilka razy chciał olśnić ją swym ciężkim dowcipem, elegancją, pańskością; lecz na nieszczęście ona tak

mało uważała na niego, tak trafnie zbijała go z tropu zaczętej rozmowy, że biedak złościł się niesłychanie, przygryzał wargi, a wszelako nie mógł pozbyć się wrażenia zbyt natarczywie wciskającego się do duszy.

Pani Ludwikowa, najprzód dostrzegła to jego zajęcie się córką porucznika; więc wszelkiemi sposobami starała się go zabawiać, zwracać ku córkom, szczególniej ku Helence, której co minuta wydawała stosowne instrukcje. W godzinę po kolacji, przy której cała familja gospodarstwa jemu tylko usługiwała, zawsze jeszcze obrażony, pożegnał towarzystwo i odjechał, nie zważając na usilne prośby gospodyni, śliczne uśmiechy panien, i głośne uściski pana Ludwika. Za nim jakoś i inni zaczęli się rozchodzić, a zabawa skończyła się o drugiej, chociaż w programie gospodarstwa ósma godzina nazajutrz miała być na to przeznaczoną.

My zostawmy na chwilę innych gości odpoczywających po tak hucznej zabawie, a udajmy się za panem marszałkowiczem. Przyjechawszy do domu, znudzony, zagniewany, przez długi czas nie mógł odzyskać swego zwykłego humoru: ani słowa nie odrzekł na zaczepki ulubionego kamerdynera, zaniedbał zwykłej porcji koronek, pacierzy i modlitw, lecz milczący, skwaszony udał się na spoczynek.

Widzieliśmy go już w towarzystwie, znamy jego powierzchowność, słyszeliśmy go mówiącego, a teraz zapoznajmy się nieco z charakterem tego szczególnego w swoim rodzaju człowieka.

Pomimo szumnego tytułu marszałkowicza, pomimo półmiljonowego majątku, i pomimo tańczenia z królową kontredansa, pan Kozłowicz nie był arystokratą. Był to sobie tylko oszczędny aż do skąpstwa, wymuszony aż do śmieszności, pobożny aż do bigoterji czterdziesto - letni samolub. Bez wyższego ukształcenia, bez iskierki uczucia w sercu, przebiegły spekulant, wszystkie swe czyny, myśli i słowa, redukował do liczb. Dniem i nocą pracował w swej nowo nabytej wiosce, pilnował, przemyśliwał, lecz jakoś nie szło mu tak, jak sobie życzył, albowiem posiadał dwa dopiero warunki zrobienia majątku: pracę i skąpstwo, a brakło mu najważniejszego: — rozumu.

Od lat dwudziestu kandydat do stanu małżeńskiego, zjeździł całą Ukrainę, Podole i Wołyń, a nie mógł wynaleźć takiej, któraby chciała połączyć z nim swoje doczesne życie. Warunki z jego strony nie były wprawdzie zbyt uciążliwe, bo on wymagał tylko pieniędzy, i która z panien posiadała ten talizman, w jego umyśle już była piękną, edukowaną, cnotliwą, a nawet bogobojną. Próbował wszędzie i wszędzie mu odmawiano, gdyż tak bezczelnie objawiał swoje zamiary, tak

prędko dał poznać cały zasób spekulacyjnych usposobień i miernoty umysłowej, iż nawet najbardziej interesowane domy, wahały się powierzyć mu swoje kapitały wraz z córką. Jednakże niezrażony podobnemi odmowami, dotąd miał się za pretendenta do żeniaczki. Formalista drobiazgowy, już dawniej ułożył sobie kompletną ustawę postępowania: rozmawiał w towarzystwie li tylko z najdystygowańszemi osobami, i tak stopniowo, że ze służącym wtedy. kiedy we dwóch się znajdowali; inaczej nie słuchał niczyich próśb, a na pytania wcale nie odpowiadał. Do kościoła jeździł regularnie trzy razy w tydzień, dawał na mszę z wyraźnem zastrzeżeniem, aby dla niego jedynie odprawioną była. Biedny, nie mógł w żaden sposób pojąć istnienia prośby powszechnej! On miał inne potrzeby, żądania, nadzieje, a chłopstwo wcale inne; gdzież więc jemu razem się modlić z tą zgrają obszarpańców!? Religja jego zasadzała się na wiernem i skrupulatnem wypełnianiu form zewnętrznych: myśl nie chciała, a może i niepotrafiła przestąpić progu zmysłowości: po całych dniach klepał pacierze, posty najregularniej zachowywał, do spowiedzi co trzy tygodnie uczęszczał, w kościele całe godziny krzyżem leżał, przed Wielkanocą jeździł do Reformatów na rekolekcje, i był pewny wiekuistego zbawienia; lecz jak przyszło tę religję wprowadzić w czyn, choćby

z najmniejszym uszczerbkiem swej kieszeni, to już innego trzymał się systemu. Obrażony, długo pamiętał wyrządzoną krzywdę, i nie opuścił żadnej sposobności wywdzęczenia się swemu nieprzyjacielowi. Zemsta taka była powolna, drobiazgowa, pokryta maską przyzwoitości, lecz niemiłosiernie gryząca.

Mając rozłożony czas zatrudnień całodziennych, godzinę przed spoczynkiem poświęcał rozmyślaniom, których najulubieńszym przedmiotem było małżeństwo. Zwykle siadał w fotelu, zakładał nogę na nogę i zaczynał z sobą głośną rozmowę.

„Wiesz co, panie Antoni, trzeba żebyś się ożenił! Będziesz miał śliczną, bogatą żonkę; przyszedłszy do domu znajdziesz kogoś co cię oczekiwać będzie; z kim porozmawiasz, pośmiejesz się, a czasem dla strawności pokłócisz; otoczy cię grono dziatek, które tak milutko wołać będą: tato! tatko! tateczko! Życie twoje opromieni gwiazda obowiązku, słowem odżyjesz!... No, ożeń się tedy panie Antoni!“ I po tym monologu uśmiechał się szczęśliwy, zacierał ręce i czas niejaki tonął w marzeniach o bogatej i pięknej żonie. Lecz po chwili, jakby duch temu przeciwny, jakby drugi pan Antoni odzywał się do niego.

„A co ci potem, panie Antoni! nie szalej stary!? a naco ci to brać taki ciężar na głowę? Za żoną idą wydatki, idzie niewola; za dziećmi

idą hałasy, których nienawidzisz. Ty masz obraźliwe usposobienia, powie ci co żona, ty się zgniewasz, zgryziosz, a zdrowie masz słabe, jeszcze zachorujesz. Żona nasprowadza ci gości, musisz ich karmić; zjedzie się familja, będzie ci kotłować nad uszami; nastaną płacze, obraza Boga i całe życie zejdzie na niczem; nie żeń się panie Antoni, mówię ci, nie żeń się!“

I znowu podumawszy chwilkę lecz wcale z inną miną, nasz bohater mówi już cicho do siebie; liczy, waży, odmierza, potrząsa głową, przymruża okiem, i wstaje nagle z fotelu powtarzając, głośno: „ha! to się wstrzymaj jeszcze!“

I z tym wyrokiem udaje się na spoczynek. Nazajutrz powtarza to samo i powtarza już od lat sześciu, to jest od czasu jak zaniechał widocznych starań o małżonkę.

Tą razą więc wróciwszy z owego wieczoru, gdy już uspokoił się nieco, siadł na zwykłem miejscu i słowo w słowo odbył wyżej opisaną dysputę. Lecz przy końcu, gdy wymówił; „to się i nie żeń panie Antoni“, jakoś nie kwapił się z wstawaniem, lecz siedział dumając i bił się z myślami. Właśnie przyszła mu na pamięć zachwycająca i trzpiotowata porucznikówna; wzrok jej ognisty ścigał go, usta koralowe tak śmiały się naiwnie, pierś tak namiętnie falewała, dowcip naturalny tyle mu dokuczał, że mimowolnie rozko-

szował się podobnym obrazem i w miarę owych imaginacyjnych pieszczot z nadobną Julką, poprzednio ułożony wyrok, coraz bardziej tracił na swej mocy obowiązującej.

— Wiesz co, panie Antoni, choćbyś ty.... i zamilkł wstydząc się wygłosić to, czego rozum nie pozwalał; biedna, daliby ci ją z ochotą....

— Ot i to że biedna! odpowiedział po chwili.

— No, ale ty masz majątek.

— Tak, prawda że mam i za wiele mam, wszelako.... to córka porucznika! Fe, do czego to podobne panie Antoni, familja ciebie by się wyrzekła, daj pokój!

— Ale jaka ładna, jaka ponętna! Co tam będziesz zważał na ludzkie gadania; czy ty potrzebujesz co od kogo, a skoro ci się podoba to dosyć.... I znowu czas niejaki siedział bezwładnie w krześle marząc o przyszłości. Nareszcie zerwał się prędko, westchnął głęboko i wyrzekł; daj pokój stary, nie szalej, porzuć te głupie myśli!.... Potem rozebrał się szybko, głowę poduszką przyłożył, oczy zamknął chcąc przemocą prawie odpędzić natarczywe myśli, cisnące się gwałtem do serca; mylę się, nie do serca lecz do wzburzonej i zmysłowością tchnącej imaginacji. Jednakże nie pomogla ciemność, nie pomogły poduszki, bo obraz wesołej dzieweczki, jakby czarodziejską mocą wyrastał przed oczami marszał-

kowicza, nęcił, dokuczał, igrał z myślą i głową że długo, długo nie pozwolił mu usnąć; a potem we śnie jeszcze nie opuścił, bo nazajutrz zdawało się panu Antoniemu, że czuje serdeczny uścisk przedmiotu swych marzeń, a z pod ręki, tylko tylko co wysunął się zgrabniutki a uroczy stanik świeżutkiej dziewczki.

Nic tu nie pomogły wieczorne monologi, kończące się jak zwykle wyrazami: „to się i wstrzymaj panie Antoni!“ nie pomagała uciążliwa praca, nie ulżyło czytanie, bo z każdej stronnicy patrzały duże czarne oczy Julki, bo każda piątka lub siódemka w regestrach, rysowała nadobną postać dziewczęcia. Pan marszałkowicz jak mógł kłamał przed samym sobą tłumacząc owe dziwne uczucie, rosnące w jego duszy; przymuszał się do zapomnienia, lecz cała energja rozbiła się stanowczo, na samo wspomnienie porucznikówny.

Trzeciego dnia zaraz po owym balu u państwa Lińskich, wybrał się z odwiedzinami do Wolickiego, i przed nim tak obojętnie niby, wygadał się o oczkach porucznikówny, że mu się podobały bardzo; nawet ów krzykliwy kapitan zrobił się już uczciwym człowiekiem, a sędziwa kapitanowa, wcale rozsądną i czcigodną matroną. Wolicki frant co się zowie, prędko jakoś odgadł co się w tem święci; a że był jednym z najszczerszych i najlepiej życzących przyjaciół ko-

mendanta, więc poszedł do głowy po rozum, i w jednej chwili, powziął zamiar skojarzyć małżeństwo. Znając pana Antoniego li tylko powierzchownie, i polegając na rekomendacji dawnego kolegi pułkownika, przytem wiedząc że jest bogatym, myślał, iż wielką przysługę odda porucznikowi sposobiąc mu takiego zięcia. Przeczuwał on wprawdzie niechęć matki, lecz znał jej dobrą stronę, był pewnym, że rozpoznawszy wszystkie korzyści podobnego związku, da się łatwo poprowadzić. O pannie ani pomyślał: to dziecko poczciwe, potulne, co rodzice każą wypełni akuratnie.

Więc nie przestawał namawiać pana Antoniego, do odwiedzenia porucznikowstwa; jemu tego też tylko brakowało; zaraz przystał z największą ochotą, a nie zwlekając, wsiedli do powozu i ruszyli ku miastu.

Tymczasem, pan komendant ani pomyślał o wizycie świeżo poznanego panicza. — Ho ho! — mówił na drugi dzień do żony — harda to jakaś sztuczka; bogaty wprawdzie, nie głupi, religjant, lecz za nizkie nasze progi na jego nogi, mosanie.

— Wiesz co Jędrusiu, ten człowiek mi się zupełnie nie podoba.

— Bo djabełby imości kiedy się podobał! jeszcze się ten nie urodził, coby babom dogodził: odpowiedział prędko porucznik.

— No, widzę przylepiłeś się do niego, ty zawsze po swojemu.

— Bo jest do czego, moja imość; człek poczciwy, honorowy, Wolickiego przyjaciel, to dla mnie dosyć; zresztą już i ja sam wybornie znam się na ludziach: raz spojrzę, jedno słowo posłyszę — już go mam!

— Tak, tak — odrzekła śmiejąc się żona — jak i owego wędrownego zegarmistrza — pamiętasz.?

— Ależ nulla regula sine exceptione — raz się omyliłem, bo człek zawsze człowiekiem, moja pani.

— I mnie się nie podoba — wtrąciła Julka — taki nadęty, sztywny....

— Ho ho! a kto się acanny pyta czy jej się podoba? jeszcze czego, jeszcze czego! Pięknie by rodzice wyszli spuszczając się na gust córek! Acanna nie masz tu zdania; co rodzice powiedzą, to świętem być powinno!

— Ja też się nie upieram, proszę ojca, tylko tak sobie mówię; mama może radzić, bo jej wolno, a skoro mama to samo w nim widzi....

— Matka nic nie widzi i kwita! — zawołał zakładając ręce — upór babski i nic więcej; pierwszy raz człowieka widzą, gadały z nim dwa słowa, a już im taki, owaki; zwyczajnie aby pleść

bez sensu. I skończył rozmowę, wyszedłszy do drugiego pokoju.

Właśnie pod ten czas, gdy para siwoszów wiozła w ładnym koczyku naszych gości do miasteczka, komendant wziął się do ulubionej od niejakiego czasu roboty. Niezmordowana jego czynność, wynajdywała co dzień nowe zajęcia, i teraz właśnie przyrządzał lampę przed obraz Bogarodzicy, wiszący nad jego łóżkiem.

Z wielkim trudem a niezwykłą cierpliwością, zrobił już z drutu łańcuszek, ten rozdzieliwszy na trzy równe części przymocował do okrągłej blaszki, i urządzoną tym sposobem podstawę jak owe lampy kościelne, zawiesił u powały wprost przed obrazem. Chodziło tylko o samo naczynie w którem miał się palić olej, a które potrzeba było osadzić na tej blaszanej podstawie. W tym celu wybrał najlepszą szklankę, nalał w nią oleju, oprawił knot w pływającej na koreczkach blaszce, zapalił i stojąc zdaleka, oczekiwał skutku swej pracy. Ale jak na złość, lampa coś nie dobre dawała światło, więc zdjął znowu węgierkę i zabrał się do reperacji. Dziesięć razy poprawiał, dziesięć razy zapalał lub gasił, a zawsze źle się paliło; cierpliwość szanownego mechanika już już wisiała na włosku; zaczął furbeczkować, mantyczeć, przywoływać żonę i córkę do narady, pytał się ich, a nie słuchał wcale, tylko po swojemu majstrował.

— Dobądźno Julka tego knotka ze szklanki, masz mniejsze palce, to ci będzie łatwiej.

— Kiedy, proszę ojca, powalam się.

— Widzisz ją, jaka mi grafini, boi się powalać, a ojciec mosanie starszy, i może się babrać od godziny; dostań zaraz!

W tem zastukalo przed sienią, rozległ się głośny trzask bicza, i naraz wtacza się do pokoju uśmiechnięty Wolisio, a za nim sztywny, wyfraczony pan Kozłowicz.

Porucznik otoczony radcami płci żeńskiej, i trzymając z daleka ręce powalane olejem, tak sobie rozneglżowany, nie wie co z sobą zrobić.

— A czy ich tu djabli teraz przynieśli, czy co? — mruczał ocierając wąsy kułakiem. Zosiu! Małgosiu! sprzątnij co duchu te preparaty.... A dajno niech się obetrę.... czego uciekacie do miljon furbeczek!.... węgierkę moją.... mundur.... i nie mogąc się doczekać ręcznika chwycił uciekającą Julkę za fartuszek, obtarł gwałtownie ręce, gdy obaj nowo przybyli czekali z powitaniem.

— Nie rób sobie subjekcji panie majorze — przebąknął marszałkowicz przykładając do nosa pachnącą rękawiczkę, i krzywiąc się po pańsku — nie przeszkadzamy, bynajmniej.

— Daj mu pokój — odezwał się wesolo Wolicki — czy chcesz by nas uszlachcił olejem, to majster.

— Przepraszam szanownych panów, przepraszam najmocniej — mówił całując obu serdecznie — ot dłubałem sobie jak to z nudów w partykularzu; siadajcie, proszę; a czemuż mam przypisać te odwiedziny kochanych sąsiadów?

— Chciałem złożyć uszanowanie jako sąsiadowi — odrzekł pretensjonalnie pan Antoni oglądając pokój, do którego wprowadził ich porucznik.

— Za wiele łaski mosanie na moją ubogą chatkę, za wiele! — powtarzał ucieszony szczerze komendant, sprzątając co chwila różne przybory majsterki porozstawiane wszędzie, i kłopocząc się tem, iż nie zdjęto pokrowców z mebli na przyjęcie tak znakomitego gościa. Niebawem pokazała się i gospodyni z córką, usadowiono się przy okrągłym stoliku w bawialnym pokoju, i poczęła się ceremonjalna rozmowa najprzód o pogodzie, potem o sąsiedztwie, potem o wieczorze u państwa Lińskich, a porucznik przywdziawszy tymczasem swój mundur, z jaśniejącem okiem i niezwykłą wesołością, przyłączył się do ogólnej gawędy.

Pan Antoni coraz bardziej pochłaniał wzrokiem nadobną Julkę, coraz to więcej odkrywał w niej przymiotów na korzyść jej powierzchowności, a rozmowa do tyla go zajmowała, iż co chwila winszował porucznikowstwu tak pięknie wykształconej córeczki.

— Ale co tam, ale gdzie tam? — odpowiadał śmiejąc się gospodarz, — zawiele tych pochwał panie marszałku dobrodzieju! Co ona tam umie, co zna? Zwyczajnie swojskiego chowu dzieweczka, bo gdyby to człowiek był w stanie, inaczejby było! Ot i na fortepianie by zabrząkała; ale....

— Rozumiem kochanego pana — przerwał pan Antoni — w takiem ustroniu i fortepianu kupić nie ma gdzie, a z Warszawy....

— Nie o to tu idzie mosanie; gdyby pieniądze były, instrumentby się znalazł; póki pułkownikówna zamąż nie poszła, to grała na jej fortepianie, a od czterech lat chyba gdzie u łaskawych sąsiadów do tańca, jaką starzyznę wybębni.

— A na cóż jej to mój Jędrusiu — odezwała się porucznikowa — ona nie stworzona na panią, bo jakkolwiek muzyka potrzebną jest dla kobiety, jednakże kogo nie stać na to....

— A gdybyście szanowni państwo nie odmówili mej prośbie — odezwał się nieśmiało pan Antoni, to ja mam niepotrzebny fortepjan i mógłbym....

— Wszakże ja go nie widziałem u ciebie — przerwał Wolicki.

— Mam, mam, tylko opakowany jeszcze — odpowiedział czerwieniąc się pan Antoni, bo nie miał wcale fortepianu, a tylko postanowił kupić umyślnie, żeby się przysłużyć pannie Julji.

Porucznik uradowany chciał już przyjąć, gdy żona dziękując najuprzejmiej, stanowczo odmówiła. Podano kawę i domowej fabryki ciasteczka; pan Antoni i tu znalazł pole do rozwodzenia się z pochwałami, a jednak można było dostrzedz pewien przymus przy każdem niesieniu do ust filiżanki. Zwyczajnie jak pan chwalił z przywyknienia. Dalsza rozmowa szła jakoś tępo i nieśmiało; sam porucznik tak żywy, naturalny, tą razą nie pojmując siebie, dobierał wyszukańszych wyrażeń, wymawiał niby delikatniej, i jąkał się tylko; rozpoczynał to o tem, to o owem, tarł czuprynę, kręcił się niecierpliwie na krzesełku, i skrępowany widocznie sztywnem obejściem się i ceremonjalną grzecznością gościa, nie mógł ożywić rozmowy. Dopieroż gdy obaj z Wolickim wysunęli się do drugiego pokoju, gdy mu zaczął pokazywać swoje biórko świeżo odpoliturowane i opowiadać wszelkie szczegóły tej pracy, rozruszał się nieznacznie, i z lepszym humorem powrócił do gości. O czemto tu nie mówiono!? i o polityce, i o zajęciach i o naukach; bo porucznikowa chcąc bawić pana Antoniego, co chwila zaczynała z innej beczki, a po kilku słowach urywał się wątek, gdyż on najczęściej potakiwał jej zdaniu, lub jeżeli zaprzeczał, to tak imponująco i stanowczo, iż biedna kobieta nie śmiała mu się opierać. Wolicki co chwila ziewał straszliwie, to się przechadzał po pokoju,

snać gniewała go podobna etykietalność sąsiada, który pomimo to ani myślał o odjeździe. Julka za to, nic tracąc nic a nic ze zwykłej sobie żywości i swobody, dość trafnie zbijała każdy czuły frazes pana Antoniego; śmiała się serdecznie gdy potrafiła zakłopotać nadętego galanta, a tem samem dała mu poznać, że i tu są ludzie, o których naukowej i światowej wartości, nie można zbyt lekko sądzić.

— I nie nudzi też panią ta jednostajność? — mówił marszałek, gdy Wolicki z matką się zagadał.

— Przyznam się panu, ja nie widzę żadnej jednostajności: z każdą chwilą płyną dla mnie nowe zajęcia, nowe myśli, nowe uczucia...

— Och! podobno te uczucia tylko mogą rozerwać — przerwał śmiejąc się znacząco pan Antoni.

— Może, alem ja dotąd nie zważała na nic.

— Pokazuje się więc, że wszystkie kobiety sobie podobne; wzbudzać uczucia im łatwo, a widzieć je....

— Och! ja aż nadto je widzę, bo przedmiotów moich uczuć mam tak wiele, a dowodów ich czułości jeszcze więcej, że prawdziwie byłabym niewdzięczną, gdybym o nich miała zapominać.

— To winszuję pani tego rozdziału uczuć i bardzo radbym wiedzieć jak też te przedmioty jej uczuć wyglądają: czy pod postacią brunetów, czy blondynów?

— Nie zgadłeś pan—mówiła poruszając figlarnie główką — ja mam szczególniejszy gust, wszystko lubię biało, siwe, a najwięcej kasztanowate!

— Czy tak? — zapytał głaszcząc rudą perukę pan Antoni — przyznam się, dobry masz pani gust; widać, rozsądek i powaga więcej u niej znaczą, niż trzpiotowata wesołość.

— Przeciwnie, panie, moje przedmioty uczuć muszą być żywe, pieszczotliwe, a nie poważne; wszystko sensowate a poważne, odpycha mię od siebie.

— Istotnie, nie pojmuję tej sprzeczności, i dlatego mogęż panią zapytać jak daleko mieszkają te przedmioty, bo choć niedawno jestem w tych stronach, wszelako znam okoliczną młodzież....

— Ha ha ha! więc pan to do młodzieży stosował?

— Naturalnie.

— Otóż muszę panu oznajmić, iż jestem zbyt wielką egoistką i niepozwalam moim ulubieńcom się oddalać: jednego mam u siebie w pokoiku, a drugich w kuchni i innych w ogrodzie.

— I cóż to być może?

— Pan się nie domyśla?

— Tą razą zupełnie nie.

— Trudno, więc muszę się wydać, iż podeszły, szpakowaty artysta: milutki kanarek, jest jednym.

— Wolne żarty pani.

— Doprawdy, ja nie żartuję — mówiła śmiejąc się Julka — trzy kasztanowate czubajki są w kuchni; a duży brytan Marengo w ogrodzie na łańcuchu.

— Niepodobna! — zawołał trochę obrażony kawaler — żeby do tego czasu nie zapukało serduszko mocniej na widok....

— Och co to — przerwała mu Julka — bardzo często mi się przytrafia; jak tylko się zmęczę, lub ile razy zacznie mdleć nasza prezydentowa, tak się przelęknę, iż oddechu mi zabraknie, a serce bije jak młotem.

Uśmiechnął się ironicznie pan Antoni i mruknął sobie pod nosem: — albo frant dziewczyna, albo kompletnie głupia — i skierował rozmowę do swojej osoby. Zaczął od podróży: przez Niemcy, Szwajcarją, Włochy, napomknął dwójznacznie o różnych miłosnych awanturach, wyjechał do Paryża, przetańczył kontredansa w Wersalu; potem nieznacznie skręcił do ubioru swego, koni, szkatułki, ludzi, gustów, humoru, pobożności, a w końcu westchnął gwałtownie, że podotąd nieznalazł jeszcze osoby, którаby zechciała podzielić z nim wszystko, czem Bóg w swej szczodrobliwości raczył obdarzyć mizernego sługę swego.

— Widać pan marszałek nie chciał szukać, lub źle szukał — odezwała się porucznikowa.

— Ba — wtrącił porucznik — niby to tak łatwo znaleźć żonę, którąby nas zrozumiała bez grymasów. Teraz mosanie świat bardzo zepsuty; fochów w głowie więcej niżeli czego; aby się ubrać, trwonić, hulać, ot i wszystko!

— Zgadłeś panie kapitanie — odpowiedział pan Antoni — szukam już od lat dziesięciu, a wszelako kawalerem jestem do usług państwa.

— Otóż my tu ożenimy kochanego sąsiada — mówi Wolicki — i spojrzał nieznacznie na Julkę.

— A gdzież panie majorze znajdziesz w naszej okolicy stosowną partję dla pana marszałka? — zagadnęła gospodyni.

— Nie będzie wybredny, zaręczam niech tylko znajdzie uczciwą, pobożną....

— Tra la la, tra la la, niby to dosyć, Wolisiu; a to? — zawołał porucznik uderzywszy się po kieszeniach.

— Pan sąsiad dość sam już bogaty.

— Od przybytku, panie, głowa nie boli; nie.

I tak rozmawiając od tego do owego zeszli jakoś do wojen Napoleońskich; porucznikowi w to graj! Zaraz wystąpił z opowiadaniem różnych, przeróżnych zdarzeń: prowadził za sobą słuchających po całych Niemczech, Hiszpanji i Włoszech; bił, mordował, siekał, aż włosy na głowie stawały. Tu kule jak grad się sypały, tam jazda rąbała nielitościwie, piechota szpikowała na bagnety;

gdzieindziej znowu zdobycz brzęcząca i lśniąca, w postaci dukatów i kosztownych drobiazgów, upychała w kieszeniach i tornistrze.

— W Hiszpanji, mosanie, przy zdobyciu Saragosy — mówił w największym zapale porucznik — stałem przy jednej kamienicy przylepiwszy się do ściany, bo to wychudłe tałałajstwo waliło z okien, skoro się który z naszych pokazał w ulicy. Stoję tedy z Karpińskim, aż tu wysuwa się z bocznej bramy jakaś gromada i chyłkiem, chyłkiem mosanie do ogrodu: „Wiesz Karpiński, mówię do towarzysza, pójdźmy za nimi!“ A pójdźmy, odpowie; i trop w trop skradamy się przez mur do ogrodu. Pistolety w ręku, mina dobra, krew młoda mosanie, to się na nic nie zważało. Czajemy się więc koło muru i za nimi; aż tu po kwadransie owego pochodu, gromada staje dobywa rydli i kopią. „Wiesz Stachu, mówię po cichu, niezawodnie kogo chować będą“? „Ech! powiada Karpiński, to pieniądze chyba; ale sza, bo spostrzegą.“ Więc czekamy i czekamy, a ci kopią; nareszcie zapalili latarki i przy blasku światła, ujrzeliśmy potężny kufer, okuty mocno żelazem, który trzech ludzi zaledwie wpakowało do dołu; potem zasypali, darniną przykryli, drewek nałożyli, a zapaliwszy, poszli sobie z Panem Bogiem.

„Zobaczmyno, mówi Karpiński.“ „Daj pokój, teraz może pilnują, jeszcze będzie czas, uważajmy

tylko miejsce, a trafimy przecie jutro"; bo zresztą kto tam dbał wtedy o pieniądze!

— A, marnotrawstwo mój panie — przerwał pan Antoni — jakby się to teraz zdały!

— Prawda, prawda — mruknął porucznik — tak się to mówi teraz, ale wtedy inna rzecz. Tu człowiekowi śmierć nad karkiem stoi; zmęczony jak nieboskie stworzenie, ledwie nogami powłóczy, i gdzie mu tam gadać o pieniądzach; plunie mosanie i na brylanty. Kawałek chleba więcej znaczy, niż kufry złota!

— I cóż dalej? — pyta zainteresowany pan Antoni.

— To, proszę kochanego pana, że na drugi dzień biliśmy się od świtu do zmierzchu, wyparowali z tej części miasta Hiszpanów.

— A kufer?

— Zaraz, zaraz, muszę porządkiem opowiadać: otóż na trzeci dzień to samo; mnie kulka prześwidrowała nogę i to szczęście że przeszła przez ciało tylko. Karpiński, bo to sztuka gorąca, przychodzi do mnie tedy wieczorem i mówi: „a kufer, Jędrzeju, w ogrodzie; pamiętasz?"

— A niech go tam miljon furbeczek weźmie, odpowiem; lecz on koniecznie nalega: „pójdź, pójdź, schowamy gdzieindziej, możeto co dużo tego, szkoda zaniedbywać"; dość, że dałem się namówić i wziąwszy rydle saperskie pod pachy, marsz do

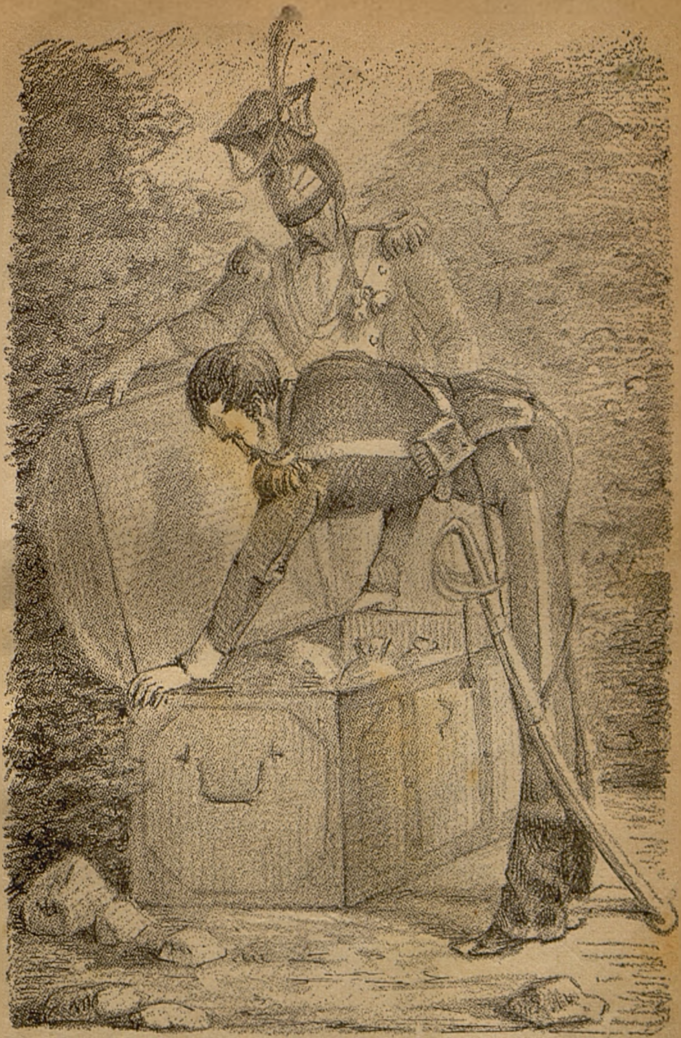
ogrodu. Nie długo znaleźliśmy ognisko, odkopaliśmy kufer, a że dom był zupełnie już zrujnowany i nasze placówki co chwila się odzywały, więc nieobawiając się niczego, dalejże odbijać. Po godzinnej morderczej pracy, otworzyliśmy zamek, i wystawcie sobie państwo: od góry do dołu pełno złota, brylantów i innych kosztowności, choć kąp się w nich to wystarczą! Myślemy sobie, brać to ani sposób....

— Jakto, nie wzięliście panowie? — zawołał z iskrzącem okiem pan Antoni.

— Powoli, proszę mojego pana, dojdziemy do tego. Brać mówię ani sposób, ciężar wielki; więc Karpiński po konie i munsztuczki, przywiązujemy między niemi kuferek, rydle na ramiona, i marsz za miasto w góry. Obraliśmy miejsce, kopiemy dół w zaroślach, ładujemy kieszenie, a resztę sakum pakum i zasypujemy. Potem zwalamy kupę kamieni, aby trafić, znaczymy miejsce i do obozu.

— To musiałeś, panie poruczniku, zabrać tego z kwartę? — zapytał marszałkowicz.

— Ale, z garniec mój panie! bo pamiętam jadąc napowrót, djabelnie ciężyly mi w kieszeniach; lecz że wtedy drogość była niesłychana, bo za kieliszek wódki płaciło się po dwa i po trzy dukaty....



...Po godzinnej morderczej pracy, otworzyliśmy zamek, i wystawcie sobie państwo: od góry do dołu pełno złota... (Str. 130, t. II.)

BIBLIOTHECA UNIV. IAGELL. CRACOVIENSIS

— Nie może być?—przerwał znowu rozogniony kawaler — a to ja, co spodziewam się wypalić ze 6.000 garncy okowity, miljony bym zebrał.

— Ma się rozumieć, ma się rozumieć. Nasze wiwandierki potem wsie kupowały, jeżeli kulka je oszczędziła. Jednę, pamiętam pod Możajskiem jak gwiznął granat w same piersi, to i strzępków z baby nie zostało; rozniosło to precz, a dukaty jak grad sypały się na wszystkie strony. Druga znowu....

— Dokończże panie kapitanie o tym kufrze, cóż się z nim zrobiło?

— Co się zrobiło? a spoczywa sobie zapewne do tego czasu w ziemi, bo wątpię czyby go kto znalazł!

— Więceście go nie wydobyli panowie?

— Ma się rozumieć że nie; bo gdybym go dziś miał, cały powiat mosanie zakupiłbym z kretesem. Ale jak to na wojnie: zawołali „marsz“! i człowiek wziąwszy karabin na ramię, poszedł w świat, a mój kuferek doczeka się pewno dnia sądnego.

— A czemużeś pan nie pojechał po wojnie? — zapytał pan Antoni.

— Czemu? — odrzekł śmiejąc się porucznik — bo dobrze że człowiek ma za co kupić kawałek chleba, a na podróż do Hiszpanji tysięcy potrzeba mosanie.

— Alebyś trafił w to miejsce?

— Jak w tym pokoju, mój łaskawco; i zaręczam, że sobie jeszcze spoczywa, gdyż miejsce to było niedostępne, skaliste, krzakami porosłe....

— Hm, szkoda, mój kochany poruczniku, szkoda — mruczał zamyślony marszałkowicz — skoroby się trafiło.... i powiadasz panie, że to kufer żelazny?

— Nie, lecz mocno okuty, a miał w sobie ze dwa korce!

— No no, co się to na świecie zdarza; a szkoda, kto to wie... zobaczymy!

— Panie sąsiedzie, komu w drogę to i czas! zawołał zrywając się z krzesła Wolicki, który historję o skarbach słyszał już z dziesięć razy, i prawie umiał na pamięć. — Jedźmy!

Więc chociaż niechętnie, i pan Antoni się podniósł, ucałował serdecznie kapitana, ukłonił się zdaleka gospodyni, a pannę pożegnał słodkiem spojrzeniem i dość napuszonym komplementem. Porucznik odprowadził ich ze świecą aż przed sień, i gdy wsiedli do powozu, pan Antoni jeszcze wychylił głowę i zapytał:

— A z tym Karpińskim co się stało?

— Z jakim? — odparł gospodarz.

— Z tym, z tym w Saragossie.

— Aaa, z tym; umarł już dawno biedaczysko.

— No, to do widzenia panie kapitanie, polecam się jego pamięci.

— Do widzenia — powtórzył porucznik, a gdy powóz ruszył, powrócił do pokoju.

— No i jakże Zosiu? — zapytał wesoło żony zacierając ręce — nie tęgi, nie grzeczny, hę?

— Sknera jakiś i chciwy; boję się go.

— Masz tobie więc, już strachy mosanie — cóż on to rarog jaki, czy co?

— Powoli tylko, mój kochany, powoli; nie zapalaj się, a lepiej mu się przypatrz. Czy nie uważałeś jak się zajął skarbami, jak pochłaniał każde słowo twoje, jak się wypytywał?

— Ha, ha, ha moja imość, co ci się widzi znowu; gadałem porządnie, i słuchał z uwagą.

— Dobrze, dobrze, myśl sobie po swojemu, ja po swojemu.

— A z tobą o czem mówił, Julka? Prawda że tęga głowa mosanie; umie pomówić i o tem i owem: podróżował wiele, czytał wiele, zna świat jak na dłoni; — to mi praktykant dopiero! Niech się schowają wszyscy tutejsi panicze, co to trzech zliczyć nie umieją, tylko o hulankach, o psach i polowaniu pełno wyrazów...

— Zanadto śmiały jak na pierwszy raz, proszę ojca.

— Wy, to tam zaraz znajdziecie skazę i na politurze. Cóżto acanna chciałabyś żeby ci rok

stękał, nimby słowa przemówił, co? lub żeby dwie godziny gadał o ekspedycjach jak nasz sekretarz? Człowiek światowy, bywalec, to tak jak wojskowy: raz, dwa, trask; i rzecz skończona! A jaki grzeczny, widzisz, chciał ci fortepianu pożyczyć!

— Już to bez tego możemy się obejść swobodnie — dorzuciła żona — cudzych łask nie potrzebujemy, bo wywdzięczyć się nie potrafimy, zwłaszcza takiemu panu.

— I to prawda mosanie, ale szkoda nauki; bo choć to pan, Zosieńko, lecz bardzo uczciwy i grzeczny.

— Jak każdy pan.

— Nie jak każdy, przepraszam asanią dobrodziejkę; bo znałem ci ja tak dumnych, co i spojrzeć na człowieka nie chcieli, a ten sam przyjechał...

— Pewno nie bez interesu.

— Ale co znowu — mówił śmiejąc się porucznik — na cóż ja mu się przydać mogę?

— No, no, zobaczymy, tylko proszę cię ostrożnie z nimi, to nie zawadzi.

— Eh! co mi tam imość pleciesz; cóż ja taki już ograniczony, żebym się dał złapać? Przyjechał to i ja pojadę, a tymczasem przyjmować go serdecznie; jeżeli chcecie, żebym wam nie furbeczkował.

Lecz porucznikowę bynajmniej nie przestraszały podobne groźby. Ona wyuczona doświadczeniem,

przywykła zastanawiać się nad każdym postępkiem ludzi i lubiła dociekać najskrytsze onego powody. Tak gwałtowna chęć zaznajomienia się Antoniego z ich domem, szczególniej zwróciła jej uwagę. On, pan jakiś, niby marszałkowicz, wykwintniś, który w Wersalu tańczył kontredansa z królową, miałby znajdować przyjemność w ich towarzystwie, tak prostem, a nawet niewykształconem, pomyślała sobie udawszy się na spoczynek, to niepodobna; w tem musi być coś innego, co go tu sprowadza. Ma przecież i u nas świat wielki, czemuż się do niego nie uda? przyjęliby go z otwartemi rękami. Jego znajomość dla nas, nietylko nie sprawia nam żadnej przyjemności, lecz owszem przyczynia kłopotów w przyjęciu, uczy pewnego przymusu, bez którego obejść się możemy. Zupełnie innych wyobrażeń, innego sposobu zapatrywania się na rzeczy; nudzi tylko swą obecnością, poniża pańskością, każe się adorować nie wiem za co i po co? Muszę ja go tu odstraszyć tak powoli tylko, bo przeczuwam jakieś nieszczęście. Jędruś poczciwy wprawdzie; dobre człeczysko, jak nikt może w świecie, i dla tego czasem głupstwa robi; widzę, że się przylepił do niego, bo się z nim nie spiera w dysputach religijnych, bo go całuje w oba policzki, i że mu Wolicki powiedział, iż jest człowiek porządny. Lecz to jeszcze nie dosyć: gdyż z całej

jego rozmowy, widzę tylko próżnię w głowie, przytem łakomstwo, zarozumiałość i żądzę holdów: religja jego to bigoterja dla zamydlenia oczu! niepokoi mię ta znajomość i muszę powiedzieć Wolickiemu, aby go tu więcej nie przywoził.

Co do panny Julji, ta ani pomyślała o marszałkowiczu: dla niej był on zupełnie obojętną osobą, o której się nie myśli wcale. Mówiła z nim jak z każdym innym mężczyzną, ubiór nie zwracał jej uwagi, wymuszoność nawet nie zrażała widocznie, bo nie umiała jeszcze stosować się do cudzych myśli. Każdy przedmiot rozmowy był dla niej zajmującym; wynurzała swe zdanie bez żadnych krępowań, ot tak sobie prosto lub żartobliwie, stosownie do humoru. Marszałkowicz bawił ją swą pretensjonalnością, to też odpłacała mu naiwną niewiadomością, z której nie prędko mógł się coś dowiedzieć; a jego uprzejma grzeczność i nadskakiwanie, zdawały się zbyt udanemi, aby jaką bądź wiarę do nich przywiązywać mogła.

Zostawmy więc na chwilę w podobnych usposobieniach familję porucznika, a podążmy za naszym marszałkowiczem, który przez całą drogę ciesząc się najlepszym humorem, dziękował Wolickiemu za tak przyjacielską usługę zaznajomienia go z domem porucznikowstwa. W samej rzeczy, myśl o skarbach hiszpańskich górowała tu

przedewszystkiem. Dotąd zamysł żenienia się z porucznikówną, rozbijał się stanowczo o jej ubóstwo i wstyd przed familją, którąby mu nigdy tego nie darowała, jak mógł się splamić wprowadzając do domu jakieś tam żołnierskie pacholę. Teraz wcale co innego: on bogaty, może jechać do Hiszpanji, odszukają skarby, i temi zatka usta wszystkim marszałkom i marszałkównom wołyńskim. Wprawdzie wybieg ten był za zbyt błahym, oddalonym i zanadto niepraktycznym, lecz wybornie posłużył do usprawiedliwienia przed samym sobą innych dążeń i zamysłów, rozbudzonych niepokonaną namiętnością. Teraz więc uczepił się całą siłą tej myśli, nie wchodząc w jej prawdopodobieństwo; bo to już jest słabością każdego wahającego się charakteru, że stara się wynaleźć jakibądź pozór tłumaczący niby jego zamiary, który przyjmuje za pewnik, i na nim buduje cały gmach przyszłości.

Jedyny powiernik jego sekretów, stary lokaj, lis, jakich mało, nie mógł się wydziwić zmianie nastąpionej w skutek ostatnich odwiedzin. Różowy humor pana Antoniego, niezwykła gadatliwość i zaniedbanie wieczornych djalogów, kazały się domyślać czegoś nadzwyczajnego. Mało się już zajmował gospodarstwem, coraz to sprowadzał nowe drobnostki, mające upiększyć jego wiejskie mieszkanko; często wysyłał bileciki do porucznii-

ka, załączał książki, nowalje z ogrodu, kwiaty i t. p. drobnostki, któremi się pospolicie zjednywa względy ludzkie. Wolicki stał się teraz najulubieńszym gościem w jego domu, porucznik najbardziej pożądanym. Państwu Lińskim oddał ceremonjalną wizytę i nie szczędząc pochwał córeczkom, zjednywał sobie coraz większą ich życzliwość, a samej pani dał wiele do myślenia. Taki zięć jak pan Antoni, w jej mniemaniu, przedstawiał wszystkie warunki, odpowiadające górnym wyobrażeniom pani Ludwikowej. Ona już sobie ułożyła cały plan postępowania, i stosownie do tego kierowała mężem, córkami, a nawet i okolicznościami, mogącemi urzeczywistnić powzięte zamiary.

Dlatego też przenieśmy się znowu do ich mieszkania i przypatrzmy się nieco trybowi ich zwyczajnego życia.

III.

Godzina czwarta po południu: pan Ludwik zmęczony całodziennem próżnowaniem, odpoczywa sobie leżąc na sofce w jasnym kropkowanym szlafroku, a przy nim siedzi starsza córka Helenka czytając głośno gazetę. Pani Ludwikowa w drugim pokoju z uśmiechniętą twarzą, w ogromnym fotelu, czerwonym safianem wybitym, robi pończochę dość prędko i milczy; bo to już takie ma przyzwyczajenie, że przy robocie nigdy nic nie mówi, a że robi zawsze, więc trzebaby nadzwyczajnego wypadku, lub dystyngowanego gościa, któryby poruszył ją z krzesla, lub zmusił do rozwiązania śmiejących się usteczek. Obok niej młodsza córka, z podobnemże usposobieniem, również zajęta jest jakąś robótką. Godziny tak przesiedzą nie przemówiwszy słowa do siebie jakby ich życie umysłowe tak dalece wpoiło się, a raczej przekształciło w ruchy mechaniczne, iż prócz gry na fortepianie, i robótek kobiecych nie znają innych zajęć, nie mają innych potrzeb. Je-

żeli czytają, to każde dla siebie i to córki; bo mama zbyt drażliwych nerwów, nie może znieść głośnego czytania. Ona myśli tylko, ale co myśli i jak myśli, trudno odgadnąć. Patrząc na ich ubiór, tyle różny od wykwintnych sukienek balowych, dopiero można pojąć nadzwyczajną oszczędność, podejmowaną dla chwilowego również nadzwyczajnego błyszczenia. Wszystko to stare, wytarte, ordynaryjne, ciasne; meble i zwierciadła ponakrywane, wszelkie kosztowniejsze sprzęty, jakby czarodziejską siłą gdzieś przepadły, a miejsce ich zajęły zwyczajne połamane, nadtłuczone, lub zniszczone użyciem. Wszedłszy tam, ogarniało cię przykre uczucie opuszczenia, jakby nikt tu nie mieszkał, a tylko istniała monumentalna pamiątka, szanowana ręką troskliwych dozorców.

Panna Helena dość płynnie czyta ojcu onegdajszą gazetę, bo tatka zwykle zajęty, odkłada lekturę na później; a że chce wszystko znać i wiedzieć, nie daruje żadnego numeru, i spodziewa się kiedyś go dokończyć. Nieprzezwyciężony ma pociąg do robienia tego wszystkiego, co go nie obowiązuje. Całe życie jego jest tylko ciągłą przekorą, nieustanną walką z powinnościami, których ile możności unika. W biórze przychodzi interes jakiś pilny, który trzeba natychmiast odrobić, on podwaja w swoim umyśle jego ogrom, zraża się nim, zniechęca i odkłada na bok. Ktoś ma nad-

zwyczajną prośbę do niego, on wysłucha i zamiast decyzji, opowiada najrozwleklej swoje zdarzenia, żadnego związku z tem nie mające; częstuje tabaką, prosi siedzieć, gdy interesant jak na szpilkach przebiera nogami z niecierpliwości, a nie może się wydobyć z tak drażliwego położenia. Tu żona chora, a pan Ludwik śpiewa z amatorami próbę mszy wykonać się mającej w kościele. Nut wcale nie zna, ryczy prawie a nie śpiewa, wszelako drze się tam koniecznie, gdzie właśnie szczęśliwiby byli bez niego. Przytem jeszcze pretensję ma do dowcipu: stare kalendarzowe dykteryjki, lub żywcem brane z Momusa, odgrzewa, przyprawia za swoje, i nudzi niemi całe godziny ofiary, które potrzeba lub wypadek napędza w jego serdeczne sieci. Proszę go zobaczyć w towarzystwie męzkiem w handlu naprzykład, gdzie jest zwykle uczestnikiem ale tylko do jedzenia i picia, a nie do płacenia, jak on to stara się bawić swych kolegów, jakto głaska chłopców usługujących, jak opowiada zdarzenia swoje z osobami, których zna tylko nazwiska; nawet wiersze wiwatowe układa, tak coś: łyku, łyku, panie Ludwiku! i t. p. Wszystko wie, wszystkich zna, wszystko umie: o muzyce, śpiewie, literaturze, gospodarstwie i Bóg wie o czem rozprawia do upadłego; samochwał jakich mało, zawsze nibyto skromnie wtrąci słówko, które pod-

nosi jego wartość w oczach nieznajomych. Kobietom nadskakuje do zmordowania, starszych nie wie gdzie posadzić, równych adoruje, a z niższymi za panie brat.......

I teraz co zacznie mu córka czytać, usypia; ta słysząc chrapanie ojca, przestaje i chce odejść, lecz on niedokołysany dźwiękiem budzi się zaraz i prosi:

— Moje życie! czytajno jeszcze!

Ta zaczyna w dalszym ciągu, ale ojciec natychmiast przerywa mówiąc:

— Nie słyszałem poprzedniego, moja dziecino, zacznijże z początku.

Więc posłuszna córka czyta znowu początek gazety, on słucha, każe sobie powtarzać, i w minutę, usypia. Ta chce odejść; on się budzi, i podobna lektura trwa ze dwie godziny, poczem ktoś przyjdzie, lub nadejdzie czas wyjścia z domu, a oni przeczytali 15 wierszy z początku.

— Schowajże moja Helenko ten numer — mówi do niej — bardzo jest zajmujący, później skończymy.

Tymczasem redakcje jak na złość co dzień przysyłają nowy numer, stos ich się powiększa, pan Ludwik marszczy się że tyle ma do czytania, i postanawia już na serjo wziąść się do nich, lecz na nieszczęście usypia znowu, i tym sposobem

w ciągłej walce z zaległościami upływają dnie, miesiące i lata.

Żona znając dobrze jego charakter, gdy chce skłonić go do jakiego zamiaru swego, a mianowicie dostać pieniędzy, musi długo czekać, nim pan Ludwik się zdecyduje. Zawsze odwleka, zawsze jeszcze się nie namyślił, zawsze zajęty, dość, że zamiar się rozchwieje. Często używa jakiego podstępu, a mianowicie choroby. Wówczas pan Ludwik obliczając koszta doktora, apteki i inne, i wiedząc, iż one niezawodnie przeniosą ilość żądanej kwoty, decyduje się prędzej i przychyla się do jej prośby. Często znowu, przedstawiając mu dalekie a znaczne korzyści, zdoła wreszcie go ukołysać, iż zezwoli na wydatek, który ma się rozumieć potraja się potem.

Otóż po kilku wizytach pana marszałkowicza, gdy pani Ludwikowa ułożyla sobie ożenić go z jedną z swych córek, starała się ile możności poznać usposobienie, humor i żądania nowego konkurenta. W tem celu, niby polegając na jego znajomości świata, radziła go się o dalsze ukształcenie córek, potakiwała jego zdaniu, a tem samem wyrozumiała jego żądania względem przyszłej swej małżonki. Po takich egzaminach, zadekretowała stanowczo, iż dla dokończenia edukacji córek, wypadało koniecznie udać się do Warszawy, bo pan Marszałkowicz szukał żony z wielkiego

świata, modnie wychowanej, a w takim partykularzu jak powiatowe miasteczko, w żaden sposób takich przymiotów nabyć nie można.

Projekt był gotów, wszystko w nim przewidziane, obliczone, chodziło tylko o wprowadzenie go w czyn. Udana choroba jakoś w oczach szanownego małżonka zbyt spowszechniała i trzeba było uderzyć w inną strunę. W tym celu obserwując kilkodniowe usposobienie humoru pana Ludwika i przemyśliwając nad sposobem wybrnięcia z tej trudności, tego samego dnia o którym wspomnieliśmy, pani Ludwikowa uczuła jakieś uderzenia nerwowe i położyła się w łożko. Mąż jej przeczuwał wymierzony cios na jego kieszeń, lecz ogromu jego ani się spodziewał. Wszelako chodził na palcach, przestrzegał dzieci i sługi, aby jak najciszej się sprawiały, bo przez to spodziewał się wzbudzić jej dyskrecję. Lecz wszystko to na nic się nie zdało. W pół godziny może, budzi się chora, siada na łóżku i zaczyna najrzewniej płakać, akompaniując sobie głośnem łkaniem.

— Co ci jest moja Teosiu? — woła zatrwożony małżonek, klękając przy łóżku.

— Co to jest mamie! — pytają już skłonne do płaczu panienki.

— Co się stało! — krzyczy nadbiegając służba i w mgnieniu oka zapełniają pokój sypialny, otaczają płaczącą, z której prócz głośnych i przeni-

kających łkań, nic wydobyć nie można. Nareszcie po długich korowodach, błaganiach, całusach, dowiadują się przecie, iż pani domu miała okropny sen i ten jest przyczyną jej rozrzewnienia. Pan Ludwik odetchnął, służące wróciły do kuchni, a córeczki zaczęły prosić o opowiedzenie szczegółów tego okropnego wypadku.

— Zaledwie usnęłam — mówi wzruszona pani Ludwikowa — aż tu staje przedemną nieboszczka matka w tej czarnej sukni, w której jest pochowana; och!... i tu znowu płacz przerwał jej mowę.

— Cóż dalej, moja Teosiu droga? uspokój się kochanie, sen mara, Bóg wiara! i ja onegdajszej nocy tak się przestraszyłem, bo zapomniałem wam powiedzieć, miałem także okropne widzenie. Zdawało mi się, że jestem w szkołach....

— Poczekajże Ludwiku niech skończę — przerwała pani, widząc że się to zanosi na długą gawędę. — Zdrętwiałam spojrzawszy na jej twarz ponurą i zdaje mi się, że dotąd czuję to srogie, pełne wyrzutu spojrzenie, gdy się odezwała: „źle moja Teosiu! zapomniałaś o Bogu, zapomniałaś o Jego Najświętszej Matce Częstochowskiej! popraw się! krzyknęła rozkazująco: oddaj Jej cześć przynależną, ofiaruj się jechać do ulubionego Jej grodu, bo całe twe życie, będzie jedną nieuleczoną chorobą!!“

— I nic więcej? — zapytała po kilku minutach przerażenia Helenka!

— Nic, bo zniknęła zaraz, a jam się rozżaliła okropnie i przebudzila natychmiast.

— Eh! to przywidzenie Teosiu, pewnoś sobie nabiła głowę Częstochową, to ci się przyśniło.

— Ależ nie, mój Ludwiku, ani mi przez myśl to nie przeszło.

— No to uspokój się: sen mara, sen mara; ja to co innego: byłem niby w szkole w Bydgoszczy, w W. Księstwie Poznań....

— Ach! ten wzrok, ten wzrok! — zawołała zanosząc się od płaczu — Boże mój Boże, matko kochana, przyrzekam że zaraz pojadę do Częstochowy tylko sił mi przybędzie! — i spojrzała czule na męża.

— A i cóż moja Teosiu, jedź, jedź, kiedy to ma cię uleczyć....

— To i my pojedziemy! — wyrzekły prawie jednocześnie dziewczęta....

— I wy, i wy, moje dzieciny — powtórzył zamyślony pan Ludwik oddalając się z pokoju. Jutro, lub jak czas sobie wynajdę, pomyślimy nad tem; a teraz moje życie nie płacz już więcej bo twój płacz rozdziera mi serce. Ucałował więc żonę, pożegnał ją pociesznym żarcikiem i wyszedl do miasta.

— To połowa! — szepnęła sobie pani Ludwikowa, patrząc za odchodzącym — już pójdzie chwała Bogu! Helenka będzie marszałkową.

Łatwo sobie wyobrazić, że tą razą nie pozwolono panu Ludwikowi namyślać się długo. Pomimo jego oporu, pomimo zajęć, słabości nawet zębów, głowy i żołądka, ubito rzecz za świeżej pamięci; ułożono rachunek wydatków, czas pobytu, i na drugi dzień posłańcy rozbiegli się na wszystkie strony po wsiach; ten do porucznika o konie, drugi do innego o powóz, trzeci o walizy, czwarty po owies, piąty po kurczęta itp.; słowem nie zapomniano nikogo, prócz pana Antoniego, którego sama pani na grubszy interes zachowała.

Dotąd była mowa tylko o Częstochowie, lecz dłuższe przygotowania, pakunki większe, moglyby kazać domyślać się inaczej. Oszczędna gospodyni niczego nie zaniedbała, coby umniejszyć mogło koszta, zabrała i samowar bez szklanek, pieczenie i rądle nawet; pan Ludwik tego nie widział wcale, więc można sobie wystawić jego zadziwienie i rozpacz, gdy w wigilję odjazdu przyszło do wyliczenia pieniędzy, żona zaprojektowała jeszcze małą wycieczkę do Warszawy.

— Widzisz mój Ludwiku, trzeba pamiętać o dzieciach: jak dziczki jakie siedzą tu na prowincji, a myślę że dobrze im życzysz, i nie chciałbyś aby jaki kancelista z niemi się ożenił.

— Ależ na miłość Boską, droga żoneczko, cóż tak gwałtownego? przecież Helenka dopiero ma lat 18?

— Czem wcześniej tem lepiej, mój drogi! Pamiętasz nieboszczkę Józię? z tęsknoty biedaczka dostała suchot; ach mój Boże, mój Boże, ileż ja mąk przebyłam patrząc na ten więdnący kwiatek?! o moja Józia, moja Józia kochana! — I rozpłakała się tak serdecznie, tak rozczulająco, że sam pan Ludwik dobył chustki z bocznej kieszeni, tarł oczy szczątkami tabaki, a łzy jak perły sypały się na lica.

— To już i jedźcie moje drogie, tylko przez litość oszczędnie się zachowujcie; ja już dokładam 500 złotych.

— Chyba żartujesz mój Ludwiku?

— Czy za wiele moje życie? no, to resztę obróć na przyjemnostki, skoro się na taką sumę zdecydowałem....

— Ależ mało, mało!

— Co znowu — odrzekł niechętnie pan Ludwik — ja kiedym chodził na uniwersytet w roku 1826, choćto była drożyzna jakiej nie pamiętam, za 400 złotych żyłem wygodnie cały rok w Warszawie.... A muszę ci też opowiedzieć, jakto ja stałem u jednej staruszki poczciwej jak Cyncynat; biedactwo zchorowane....

— Już wiem, słyszałam, mój Ludwiku, dokończysz potem, a teraz dodaj na miłość Boską, bo i panienki się wydarły, trzebaby co sprawić....

— Tu u żydów tańsze, a lepsze.

— Dość tego, dość; kiedyś tyle niedomyślny, powiem ci otwarcie: że mam w tem pewien interes, który nas wszystkich zadowolni.

— Naprzykład, co takiego?

— Uważałeś pana Kozłowicza?

— Uważałem; sknera, nic z niego niedobędziesz!

— Mówię ci, że wszystko.

— Jakim sposobem?

— Znasz Helenkę? przemówiła uśmiechając się znacząco żona.

— Którą, naszą?

— Tak jest, a podobala mu się.

— Ach już em w domu! tylko to za wielkie ryzyko.

— Jam obliczyła i musi pójść dobrze; widzisz, on ceremonjant, na powierzchowność uważa, trzeba więc ogładzić trochę dziewczęta, kazać je nauczyć śpiewu, muzyki, trzeba żeby poznały świat większy, a bez Warszawy....

— Więc ty moje życie chcesz jechać na dokończenie edukacji córek?

— Ma się rozumieć mój Ludwiku.

— A to musiałabyś siedzieć tam z pól roku; zkądże ja wezmę pieniędzy?

— Co znowu, pół roku, to za wiele; dwa miesiące aż nadto, zobaczysz, ja poprowadzę je jak najlepiej; dwa tysiące na wszystko wystarczy... Mam tam dawne znajomości, panią hrabinę K. panią L. państwa R. a przytem uprosiłam porucznika naszego o list polecający do jakiegoś jego znajomego emeryta, który może nas i przyjmie na mieszkanie, a przynajmniej będzie bardzo pomocnym. I cóż ty na to Ludwiku?

— Eh, ja tak od razu nie mogę tego pojąć, jak się namyślę....

— Kiedy jutro konie przychodzą.

— To się je zatrzyma moje życie; zabiłaś mi takiego klina do głowy, że doprawdy ani wiem jak tu sobie poradzić. Uważasz kochanie, czyby to nie lepiej było odłożyć to na karnawał....

— Ja w karnawał myślę ukończyć wszystko, a ty mi radzisz odkładać! Albo to nie wiesz, jak u nas trudno o dobrą partję: zabiorą marszałkowicza, a Helenka pójdzie za jakiego dependenta... śliczna przyszłość!

— Zawsze odłóżmy to do jutra, moja żoneczko droga.

— Dobrze, tylko pamiętaj, że jak się rozchoruję ze zmartwienia, ty będziesz temu winien.

I rozeszli się do siebie, pani pakować a pan liczyć. Córeczki klaskały w ręce myśląc o Warszawie, każdemu nowowchodzącemu wyśpiewały tę

ważną nowinę, że jadą do Warszawy na dokończenie edukacji. Przygotowania się podwoiły, całą garderobę, wszystką bieliznę i różne przeróżne drobnostki pakowano przez noc całą, a wszystko to na rachunek biednych koniąt porucznika, który nie mogąc się wymówić od sąsiedzkiej i przyjacielskiej usługi, choć zawołany amator koni, choć sam bardzo rzadko niemi jeździł, wszelako zrobił tę ofiarę, i na dzień oznaczony przysłal żądaną furmankę.

Nareszcie po wielu korowodach, płaczach przy pożegnaniu i upominaniu oszczędności, wyjechała pani Ludwikowa najprzód do Częstochowy, a ztamtąd już koleją żelazną miala się dostać do kresu najgorętszych życzeń i najpiękniejszych nadziei, to jest do Warszawy.

IV.

Zajrzyjmy znowu do naszego konkurenta ładnych ocząt porucznikówny. Biedaczek wysechł jak szczepka z miłości, co było najlepszym dowodem, iż bynajmniej nie szło mu na zdrowie. Porucznikowa obserwując tak częste jego odwiedziny, słodziutkie komplementy, nadskakiwania i podarki, których wcale nie przyjmowała, już trochę pojmowała jego zamiary; lecz nie przypuszczała sobie nawet tej myśli, żeby te zaloty miały na celu coś poważniejszego, niż prostą zabawę. Nudzi się na wsi, mówiła sobie, chciałby się rozerwać — nie ma gdzie: przywykł do towarzystwa kobiet, więc cóż dziwnego, że bierze co się zdarzy. Przytem wiek jego, majątek, stanowisko w świecie, nareszcie szumny tytuł marszałkowicza, kładły w jej umyśle niezmiernie odległą granicę między niemi. Wszelako gdy te odwiedziny stawały się częstszemi, coraz bardziej niepokoiły a raczej mordowały swobodny tryb ich życia domowego.

U niej, gdzie każda godzina miała swoje przeznaczenie, gdzie naturalność i prostota cechowały każdą myśl jej i czyn, podobna przymusowość i etykieta wiele ją kosztowały. Za każdą bytnością tego osobliwszego gościa, musiała występować ceremonjalnie, z nadwerężeniem zwyczajnego porządku już tak dawno wprowadzonego w ich codzienne zajęcia. — Nie czuję się być obowiązaną, myślała sobie później, dla chwilowej fantazji takiego paniątka, znosić tyle przykrości i zabiegów; nam inna przeznaczona sfera, inne życie: od *a* do *z* różnimy się zupełnie. Jego myśli, słowa, przywyknienia, nie zgadzają się z naszemi; co nam to potem: jeszcze obgadają ludzie, że w jakichsiś zamiarach ciągniemy go do siebie, chociaż Bóg widzi, prędzejbym wolała moję Julkę widzieć żoną najlichszego ekonoma, niż tego zarozumiałego dziedzica. Trzeba to raz skończyć. I dziewczynie się może w głowie przewrócić, nie dlatego, iżby się miała zakochać, bo tego się nie obawiam wcale: znam dobrze kobiety, a tem bardziej Julkę, bogactwo jej nie zaślepi, tam gdzie serca nie ma; lecz patrząc na tę wytworność jego, słysząc tak żywe opisy zbytków w jakich opływają panowie, i porównywając z naszą miernotą, kto wie, czy nie zatęskni za ową tajemniczą marą przepychu, kto wie, czy prosty jej umysł nie zamąci się żądzą czegoś wyższego, nieznanego, nad to, co

jest, lub może być udziałem dotychczasowego jej życia i przeznaczenia. A wtedy biada dla człowieka, bo urok rojonej przyszłości znika, niezadowolenie owionie duszę, wszystko nudzi, wszystko złem się wydaje; całe życie stanie się pasmem zgryzot niepojętych, niodocieczonych, zazdrość nawet i nienawiść najniesłuszniejsza wyrodzi się powoli w biednej głowie dla tych, którzy coś więcej od nas posiadają. Duchom niech dąży choćby najwyżej, niech przedziera się poza światy, bo to jest udziałem jego, a nawet powinnością; lecz niech umie wprzódy rozróżnić żądze duszy od żądz ciała, niech wyrobi sobie trwałe i niewzruszone pojęcie obowiązków względem siebie i bliźnich, niech poskromi zmysłowe łaknienia, które jak leciutkie obłoczki dymu, wszędzie potrafią się wcisnąć, roztaczając uporczywie swoją woń, tak upajającą biednych wędrowców tej ziemi. Młodość to rezerwoar całego życia, całej przyszłości! Co wlejesz weń, to kiedyś wypłynąć musi, a boleśnie zobaczyć później tyle mętów osiadłych na dnie jego, gdy nie ma już siły spłukać je czystych myśli potokiem! Tysiące czynów szlachetnych łatwo pójdą w niepamięć jako lekkie, przejrzyste, jako obowiązkowe; ale jeden błąd, choćby najmniejszy, tkwi w duszy człowieka nieustannie, zdaje się odradzać jak Feniks z własnych popiołów, pomimo najgładszych tłumaczeń i wybiegów.

których sobie miłość własna nie zwykła żałować: on stoi ciągle przed oczami, zawsze świeży, zawsze wczorajszy, chociażto lata na jego zagładę pracują!

Temi zajęta myślami, ile możności przeszkadzała bliższemu zapoznaniu się pana Antoniego z ich domem. Podczas jego obecności, ani na krok nie wychodziła z pokoju: mieszała się do każdej rozmowy, i tak zręcznie kierowała umysłem swej córki, że szanowny konkurent zawsze odjeżdżał z przykrem uczuciem zawiedzonych nadziei. On, któremu się zdawało, iż potrząsnąwszy kieską, wszystko biedz musi na jego usługi; on, któremu pani Lińska tyle robiła grzeczności, zgadując prawie jego chęci: nie umiał sobie wytłumaczyć podobnie zimnego przyjęcia, w pośród ludzi biednych, nizko zrodzonych, a nawet niewykształconych. Sto razy powiedział sobie, że nie pojedzie; wszelako po upływie dni kilku, te oczy, oczy palące Julki, tak wyraźnie wabiły, tak milutko spoglądały, iż zapominał swych wyrzekań, a jechał na kilka godzin nudów do pana porucznika.

I nic dziwnego, powiemy, wspomniawszy sobie kto to był ten pan Antoni. Starzec prawie ciałem, starzec kompletny duchem, w którego sercu nie postala nigdy myśl wolna od ponęt zmysłowości, nabawił się choroby, zbyt pospolitej dzisiaj pomiędzy panami; choroby, którą tu nazwę

miłośnym szałem starości. W porucznikównie widział on tylko ponętny przedmiot żądzy, podsycanej nieprzezwyciężoną dumą, opartą na jego kieszeni. Lata biegły tak prędko, niedołężność starca tuż, tuż idąc za niemi, zdawała się lada chwila porywać go w swoje objęcia, a wtenczas rozpacz tylko i wieczny niesmak byłyby jego życia udziałem! Dawniej szukał żony bogatej, pięknej, znakomitego imienia; lecz powoli żądania te ograniczały się do coraz szczuplejszych ramek, a obecnie już tylko wymagały piękności, któraby ożywiła zasuszoną duszę skąpca, i choć w słabem odbiciu przypomniała uroczą chwilę marzeń 20-letniego młodzieńca.

Opór ze strony porucznikowej z początku go dziwił, potem gniewał, a w końcu niepokoił. Duma i zarozumiałość, dotknięte żywo podobnem zaniedbaniem jego osoby, nietylko nie zniechęciły marszałkowicza, lecz owszem dodały mu więcej energji, podnosząc jego rozdrażnione żądze do najwyższych ofiar, o jakich przez całe życie ani pomyślał.

Już nieraz w życiu zdarzyło nam się widzieć starców poświęcających majątek, sławę, zdrowie nawet, spokój, i najmilsze przyzwyczajenie, dla zyskania względów pewnych osób, którym pogarda uczciwego człowieka byłaby aż nadto wystarczającą. Widać, żal im jeszcze resztkę życia zmar-

nować samotnie, w nieustannej walce żądz z koniecznością. Wszystko zakazano, niemożebne: taka owiewa ułuda rozkoszy, tak ją potęguje umysł człowieka, iż rozburzona imaginacja stwarza ideał nawet tam, gdzie rzeczywistość pokazuje najobrzydliwszy kał zmysłowości. Obowiązki nikną, uczucie drży bojaźliwie pod grubą zasłoną dogorywających namiętności; bo nie miały tam nigdy trwałej podstawy, nie związały się z życiem przeszłości, nie staczały walk z cielesnością. Przygnębiony duch jak skrępowana kiedyś na stos przeznaczona ofiara, już zapomniał swego istnienia, już zdrętwiał w swych więzach tak dalece, że dziś oswobodzony a zniedołężniały, daje się powodować dawnemu, bez porównania słabszemu teraz nieprzyjacielowi. Wspomnienie tryumfuje w przygnębionej duszy; wszystkie minione rozkosze, dotykalnie prawie stoją przed nią, najgrawają się nielitościwie, pokazując najdrobniejsze odcienia oblane tęczowym kolorów promieniem. Rozdrażniona podobnie teraźniejszość, jeszcze raz ostatni występuje do walki, skupia wszystkie siły, naciąga wszystkie sprężyny, i ginie z wściekłą rozpaczą i szałem, depcząc w tym upadku tlejące resztki darów Boskich, które choć ukrzyżowane, jednak nie przestają wyciągać okrwawionych dłoni z słowami miłości bratniej i przebaczenia!

I w duszy pana Antoniego słowo w słowo takaż toczyła się walka. Nie zważając na zimne

przyjęcia porucznikowej, poświęcając wszystkie zwyczaje dawniejsze, odrzuciwszy na bok różnicę stanu, majątku i wieku, jakoś niepostrzeżenie zszedł na drogę tej prostoty, jaka panowała w domu komendanta. Śmieszne zaiste było stanowisko tego paniątka, gdy chcąc się podobać i mamie i córce, a tem bardziej ojcu, czytywał im po wieczorach polskie książki, nalewał herbatę, karmił kurczęta i naprawiał lampę. Skromny, potulny, nieśmiały jak na wakacjach bawiący młodzieniaszek, zapomniał o Wersalu, zapomniał o swoich dobrach i marszałkowskim tytule, wycinał różne floresy z papieru, rysował desenie, lepił gałki z chleba nadając im imiona różnych osób, i tonem naiwnego prowincjonalisty zapytywał pannę Julję: „budzę panią?“

Trwało to może ze dwa miesiące. Porucznik kontent, że miał komu opowiadać swoje anegdotki i zdarzenia dawniejszego życia, widział go coraz lepiej, a słysząc nieustanne potakiwania w rozprawach teologicznych, uznał, iż pan Antoni jest najmądrzejszym w okolicy. Julka rada była, że przecie rozerwie się cokolwiek, że się pośmieje, pożartuje, zwyczajnie jak młode; matka tylko zazbyt dobrze patrzała na wszystko i dlatego nie mogła sobie zjednać przychylności pana Antoniego. Wszystkie jego zabiegi i starania rozbijały się stanowczo o upór starej moralistki, jak ją

nazywał Kozłowicz. Pomimo próśb, nawet i gniewów, zawsze tytułowała go marszałkowiczem, zawsze oddawała mu honory jako osobie, która swą szczególną łaską raczy pamiętać o biednej nieznanej rodzinie.

— Tego Cerbera ugłaskać, tego — mówił raz do Wolickiego — to jużbym się niczego nie obawiał. Poczekajno pani, tylko się ożenię, dopiero ci pokażę moją sztukę!

— Co mówiłeś? — krzyknął zdziwiony niby major — i tybyś się z nią żenił?

— A czemużby nie — odrzekł rumieniąc się pan Antoni — jam bogaty, niezależny, wyciągnę tę perłę z błota, bo szkoda jej doprawdy. A wcale ładna dziewczyna choć surowa.

— A niechże cię uściskam, mój drogi, serdeczny, kochany: zdjąłeś mi ciężar wielki z głowy; bo nie gniewaj się gdy ci się przyznam, iż to było moim zamiarem skojarzyć między wami małżeństwo.

— Doprawdy? — odrzekł zamyślony pan Antoni — rozumiem, pewno cię porucznik....

— A niech pan Bóg broni i zachowa, cóż sobie ty myślisz, że ja intrygantem jestem jakim lub faktorem?

— Ale zkąd znowu, co ci się zdaje, mój drogi Wolisiu? Widzisz, ja sobie tak....

— No więc, jeżeli chcesz być nadal moim przyjacielem, to proszę bardzo ani wspominać o podobnych domysłach. Ja jeżelim hulaka, włóczykij, pieczeniarz nawet, to nie faktor żaden! Daruj panie marszałku, źleś myślał.

— Zbyt się unosisz kochany panie majorze! Obraziłem cię, więc przepraszam, a nawet tyle będę śmiałym, iż poproszę o pomoc przyjacielską w tym względzie.

— O jaką? — zapytał już złagodzony Wolicki.

— Oto proszę cię, chciałbym już raz skończyć te jeżdżenia i oświadczyć się formalnie.

— Zgoda, z największą chęcią postaram się być ci pomocnym; chcesz, i teraz gotów jestem jechać.

— Nie, dziś nie można -- mówił wahająco się pan Antoni — trzeba wprzódy wypróbować ojca, bo co do córki jestem pewny przyjęcia; stara mię tylko niepokoi, to jakaś zawzięta i uosobiona nieprzyjaciółka wyższości. Wystaw sobie za nic mię ma: jej się zdaje, iż wielką wyświadcza mi łaskę pozwalając bywać w ich domu. Nibyto adoruje, gdy drwi sobie w najlepsze: harda dusza w ubogiem ciele!

— Daj pokój panie Antoni, nie głupia ona ani dumna; fines to baba jakich mało, ale przytem i godna szacunku, zaręczam! Tyś pewno trochę się nadymał, a ona też dumna jest swojem ubóstwem;

zresztą nie znając twoich prawdziwych zamiarów, miała prawo przyjmować cię ozięble. U nas o plotkę nie trudno, ludzie Bóg wie co z tegoby nagadali, i dla dziewczyny zamknięta droga do zamężcia.

— Może i masz racją! — przemówił pan Antoni — ale koniec końcem sprowadź jutro do mnie porucznika, pogadamy o tem niechcący, a może rzecz się ułoży. Już mi, przyznam ci się, cięży ten kawalerski zawód: chciałbym prowadzić życie familijne, a starać się o hrabianki, zaciężko dla mnie. Wszystko jedno, ta czy owa, byle żona.

— Eh stary figlarzu! —mówił grożąc mu Wolicki — ta czy owa, tak się gada: a oczki czarne, a figurka, a nóżka Julki, hę?

— No i to coś znaczy, nie zaprzeczam, lecz biedota, surowa, porucznikówna....

— Ale szlachcianka tak dobra jak ty.

— Stare to dzieje, mój kochany, dziś pieniądz i poczciwość.

— Spodziewam się, braku tej ostatniej jej nie zarzucisz.

— Właśnie to tylko mię pociąga.

— Teraz — mówił po chwili uroczyście major — muszę cię ostrzedz, że pomimo twojego majątku i godności i tytułu, z matką trudna sprawa. Stary, poczciwa dusza, lecz ulega jej zupełnie sam o tem nie wiedząc, dlatego odrazu się nie zgodzi.

Ona zaś zaręczam ci: musi zasięgnąć wprzódy pewnych wiadomości o tobie, szczególniej dawniejszego życia; więc bój się Boga, jeżeli masz co na sumieniu, daj pokój, bobyś sobie zjednał najzawziętszego w obojgu nieprzyjaciela. Oni biedni, lecz ich tu szanują i poważają bardzo, więc policz się dobrze, bo i mnie się zdaje, że tam na Wołyniu musiało być coś... coś... co cię zagnało w nasze strony. Bajeczce ułożonej dla porucznika daruj, że nie wierzę: wiem żeś nabożny bardzo, ale zdaje mi się to za mały powód....

— I ty przypuszczasz co innego?

— Przypuszczam nie przypuszczam — odrzekł nieśmiało Wolicki — ale nie obrażaj się gdy powiem, że to wydaje mi się podejrzanem. Pułkownika Sarneckiego znam dawno, on mi pisał za tobą: wszystko to dobrze; lecz nie chciałbym być skompromitowanym, zwłaszcza, że i sama porucznikowa już kilka razy mówiła mi o tem samem.

— Bądź spokojny, majorze, zaręczam ci nic takiego nie zaszło, za cobym się miał wstydzić; były powody może i insze, lecz to familijne sekreta, które nas tylko obchodzą.

— Niech i tak będzie mój panie Antoni; ale jeszcze ci powiem, żebyś znowu nie zmienił dzisiejszego postanowienia co do małżeństwa; lepiej się namyślić dobrze, bo cofnąć się trudno potem, a naraziłbyś sobie wszystkich, i mnie nawet: bo

będąc od 30 lat przyjacielem porucznika, powiem ci otwarcie, stanąłbym na jego stronie!

— O! co do tego jestem pewny siebie! Jak widzę masz mię za jakiego młodzieniaszka? Fe panie majorze niepotrzebne skrupuły. W moim wieku takie myśli nie mają miejsca: co raz postanowię, to jest niewzruszone; dla tego dziękuję ci bardzo za tę przyjacielską przestrogę, choć ona do mnie stosować się nie może, i wierz mi, potrafię ocenić twoją otwartość i życzliwość, z jakiemi jesteś dla człowieka, którego znasz od kilku miesięcy....

— Więc wszystko ubite? — zapytał Wolicki.

— Wszystko.

— To masz moją rękę i słowo, i licz na mnie. Jutro z porucznikiem przyjadę do ciebie, a spodziewam się interes pójdzie najpomyślniej.

V.

Nazajutrz pan Antoni przemyśliwał nad uskutecznieniem wczorajszego postanowienia, i rozbierając najmniejsze kwestje w przyszłości nawet zrodzić się mogące, musiał sobie powiedzieć, iż zrobił takie głupstwo jakiego świat jeszcze nie widział. Starania, i połączone z niem kłopoty, nikły w jego umyśle, zostawując miejsce jednemu tylko wypadkowi, o którym nikt dotąd nie wiedział w tych stronach. — Złapałeś się panie Antoni, mówił sobie chodząc po pokoju — o, złapałeś się na starość! A niechno się to wyda, będzie wstyd i wielki wstyd! Otoczy cię zaraz familja i dawniejsza, której niewiele się boisz, lecz ta nowa. dopiero ci dokuczy jakąś tradycjonalnie głupią uczciwością. Co to z nimi zadzierać? Te szalone pałki, gotowe cię zarąbać w sztuki za to, że cię tam jakiś poddańczuk.... Po co ci to było drzeć się między wrony, panie Antoni? Że ładne ma oczy, no toż nie ona jedna na świecie: tysiące

innych mają jeszcze ładniejsze. Wiesz co, daj pokój!

Daj pokój! — odpowiadał sobie po chwili, jakby drugi pan Antoni — niby to tak łatwo teraz; za chwilę może przyjedzie ten djabelski egzekutor z tatą. Ha! ha! ha! wyborne to imię t a t a, obdarty wąsacz porucznik! Ha! ha! ha! mój teść, co lampy urządza! Wybornie, panie Antoni, wybornie!!!

I znowu z uśmiechem najwyższej ironji kołował po pokoju dywanem wysłanym, powtarzając: Nie zechcesz iść dalej, to Bóg wie coby z tobą zrobili! A przyznam się życie mi się dotyla nie naprzykrzyło, bym miał podstawić kark pod pałasz tych rzeźników. Darmo! jużciż lepiej mieć młodą przystojną żonę, aniżeli... A zresztą zerwę z niemi, ją przerobię na swój sposób, i musi być dobrze! A jak się dowiedzą o tym wypadku na Wołyniu, co? — poszepnął duch prawdy. — No, to przecież mię nie ubiją — odrzekł stawając w oknie — podąsają się, pośmieją, i w końcu przestaną: co bądź, trzeba iść naprzód. Wołyń tak daleko, żadnych tu nie ma stosunków, mogę być spokojnym!

Tymczasem na dworze ściemniać się poczęło: księżyc wspaniałą tarczę wysunął z za przyległego lasku, i strzelał ciekawym wzrokiem do okien dworu pana Antoniego. Wieczór był prześliczny, wiosna z całem bogactwem tamtejszej bujnej we-

getacji, rozwinęła wszystką potęgę, zsyłając biednym marzycielom ziemi wrażenia pełne nadziei i szczęścia, napawając duszę niewysłowioną błogością, którą ten tylko pojąć może, czyja myśl i czyny są tak czyste i wonne, jak jej rozkoszne tchnienia.

Dworek pana Antoniego leżał na wzgórzu wpośród gromady topol nadwiślańskich, stanowiących wraz z wysmukłemi włoskiemi siostrzycami piękny szpaler, prowadzący do gościńca, rysującego się zdala w kształcie białej pokręconej wstęgi. Po jednej stronie staw duży, zarośnięty sitowiem, otoczony zieloną pnącą się krzewiną, odbijał w przeczystym drzemiącym wód krysztale ciemny bór dębowy, tuż nad nim na wzgórzach osiadły. Krzykliwe grona żabek grzechotały swobodnie, zwiastując wiosnę, przedrzeźniały słowikowi jego tęskne, pełne rzewności i uroku preludje, płynące coraz żywiej, coraz donośniej, z maleńkiej piersi miłego śpiewaka.

Wokoło cisza głęboka, tajemnicza, a jednak budząca rozkoszne marzenia w sercu każdego, kto tylko umiał na nią popatrzeć. Kiedyniekiedy tylko dawało się słyszeć głuche szczekanie z wioski rozłożonej na wzgórzu po drugiej stronie dworu. Kilkadziesiąt światełek błyszczało purpurowo w okienkach chat, tu i tam, wyżej i niżej, jak lampy umyślnie pozawieszane gdzieś po gałęziach rozło-

żystych drzewin, okalających całą wioseczkę, i łączących się ze starszą swą rodziną daleko, daleko, aż w borze.

Podobny wieczór, i w tak cudnej okolicy, zjakążby siłą odbił się w duszy twej czytelniku! Jakżebyś uczuł się wdzięcznym swojemu Stwórcy za tyle łask jego i dobrodziejstw, zesłanych dla umilenia ci tej krótkiej na świecie pielgrzymki. Serce twoje zabiłoby żywiej, w oku błysłaby łza niewysłowionego zachwytu, myśl twoja, po stopniach tego piękna, wzniosłaby się wyżej i wyżej aż tam, gdzie mieszka nasz Ojciec jedyny, kochający zarówno i wielkich i prostaczków, jako jednę spokrewnioną rodzinę. Żartuje sobie wielu z tych wzniosłych chwil ducha, obdziera nielitościwie i z pewną nawet rozkoszą najdrobniejsze listki z wielkiego drzewa poezji, zasadzonego ręką Stwórcy w ich sercach. Przebaczmy im zupełnie, urońmy łzę nad ich niedolą, bo oni nie wiedzą co czynią, lejąc zuchwale jad goryczy tam, gdzie morze najczystszych uczuć przebywać winno! I do nich kiedyś odezwie się o swoje prawa, i oni pożałują tego tyrańskiego z nimi obejścia się: lecz wtedy będzie zapóźno: bo uczucie stępiało, serce zamarło, dusza zadługo kąpała się w kale zepsucia, by mogła wybrnąć na czyściejszą powierzchnię!

I pan Antoni patrzał w bladą twarz księżyca, czuł świeży powiew wiosenny, słyszał urocze pie-

nia słowika, lecz nie mógł ich pojąć, nie mógł zakosztować; bo gruba warstwa egoizmu otoczyła jego serce, w którem nie było już ani iskierki świętego ognia, mogącego przepalić swe okowy. Zato stary porucznik z Wolickim zbliżając się ku dworkowi, już pod lasem, zeszli z wózka, a idąc z odkrytą głową szeptali sobie wieczorne pacierze, do których dzwon z sąsiedniego kościołka przyzywał.

— Wiesz — przemówił porucznik skończywszy modlitwę — nie jestem ja zazdrośny, nie żądałem nigdy majątku, lecz w tej chwili chciałbym mieć tę wioskę i dożyć tu ostatnie dni, które mi Bóg jeszcze przeznaczy! Patrzajno jam się zestarzał, jam tyle prób ciężkich przeżył na świecie, a jednak jest we mnie coś takiego, co mnie raduje na widok pięknej natury, tak samo, jak w owych latach młodości, gdym z rozmarzoną głową i świetnej nadziei myślą, wałęsał się po górach hiszpańskich! Mój Boże! że tożto serce zestarzeć się i zobojętnić nie potrafi: wszystko niknie, wszystko się zaciera, ale ono zawsze świeże, zawsze błyszczące, zawsze radeby wyskoczyć na widok tych cudów, których ocenić nie umie, a które również zestarzeć się nie mogą!

— Prawda mój Jędrusiu, prawda — odrzekł westchnąwszy Wolicki — lecz ty abyś, inaczej pokierował się na świecie, masz żonę, jakiej lepszej nie znajdziesz na ziemi, masz dzieci, masz

obowiązki, masz szacunek powszechny, i wszystko cię to przywiązuje do ziemi; ale ja? — samotny jako palec, gdy przypatrzę się mojemu życiu, gdy zajrzę w siebie; och! wtedy gorzkie łzy leję, żem samochcąc skazał się na tak długie tułactwo po ziemi. Myśl ta dręczy mię do tyla, iż unikam domu, unikam samotności, gonię za rozrywkami, staram się zagłuszyć ten głos wołający z głębi piersi: „nie spełniłeś swego posłannictwa, zawiodłeś ludzkość!“ Tak, tak — mówił wzruszony do głębi — ja, kiedyś taki poeta, marzyciel, dzisiaj wałęsam się z domu do domu, robię się błaznem każdego, byle nie być samotnym, byle się oszukiwać jak najlepiej, jak najdłużej... Kto, i kiedy spowodował dzisiejsze moje położenie, już nie chcę wiedzieć, bo aż nadto cięży mi ono, bym rozdrażniał go śledzeniem przyczyn.

— Oh mój Wolisiu kochany! — zawołał porucznik ściskając go serdecznie i patrząc mu w oczy — to ty biedny jesteś mosanie, a jam cię miał za szczęśliwego!? No, jak to powierzchowność zwodzi: ktoby się tego spodziewał.

Wolicki milcząco dał mu się powodować; jakaś walka wspomnień toczyła się w jego duszy, bo szedł coraz wolniej, a łzy gęste, łzy już starca, świeciły w jego oku. Porucznik dostrzegł to jego

wzruszenie, potrząsł go za ręce gwałtownie i cały rozrzewniony zawołał z wyrzutem:

— Tak się nie godzi majorze! Miałem cię przez lat 30 za przyjaciela, a dziś dopiero widzę, że inaczej było! Tyś bolał, a jam się weselił, o! to nie dobrze... to mi przykro, o bardzo przykro!...

— Już daj mi pokój Jędrusiu!, nie wyrzucaj! stało się, jestem nieuleczony. Kocham cię, szanuję, poważam, lecz kogo kocham oszczędzam mu zmartwienia; a wiem, że tem wyznaniem byłbyś się zasmucił, wolałem tedy milczeć. Za kilka dni może dowiesz się o mojem postanowieniu, a teraz dziękuję i za to serdecznie: bądź spokojny i kochaj mię jak dotąd. Otóż i dwór, wsiądźmy na wózek, bo wstyd byłoby tak per pedes apostolorum przywędrować do marszałkowicza.

Niepotrzeba tu mówić, jak przyjął upragnionych gości pan Antoni. Major się rozweselił, porucznik za nim; dość, że po godzinie gawędki, i po kilku butelkach węgrzyna, już ani przez myśl nie przeszła naszym gościom poprzednia rozmowa. Gospodarz tak był uprzejmy, gościnny, przyjacielski; porucznik tyle gadatliwy, iż nie wiedzieli jak im czas zeszedł do 10tej. Dano kolację kawalerską, przy której wina nie zabrakło; policzki się już rumieniły biesiadnikom, oczy coraz bardziej zamgliwały, gwar stawał się żywszym, uściski i całusy serdeczniejsze.

BIBLIOTHECA UNIV. IAGELL. CRACOVIENSIS



— Poniatowskiego? — krzyknął porucznik zrywając się z krzesła... (Str. 171, t. II.)

— Panie kapitanie — przemówił gospodarz — słyszałem, że jesteś wielkim amatorem dawnych pamiątek i wiem, że masz ich ładny już zbiorek; proszę cię, przyjmij odemnie tę szlifę, będącą kiedyś własnością księcia Józefa.

— Poniatowskiego? — krzyknął porucznik zrywając się z krzesła, i chwytając z rąk jego starą i zaśniedziałą już szlifę.

— Jego samego — odpowiedział uśmiechając się pan Antoni, gdy zdumiony komendant trzymał ją w ręce, patrząc badawczo w twarz jego.

— Ale to nie może być! — zawołał.

— Z pewnością jego; dostałem ją od pani hrabiny T. która całe umundurowanie jego miała.

— I pan mi to darujesz?

— Gdybyś raczył przyjąć, bardzo byłbym szczęśliwy.

— A niechże cię ukróluję mój ty najpoczciwszy! — wołał porucznik całując go po kilkakroć w oba policzki, i ściskając z całej siły. Dopieroż sobie zadrwię z całej okolicy, a co to Zosia powie na to? — A jak mi Bóg miły, mosanie, ona sama — wołał oglądając ostrożnie przy świecy — rychtyk ta sama; pamiętam, miał ją pod Lipskiem! Ależ to skarb, mosanie, ależ to to... i skakał po pokoju z radości potrząsając darowaną szlifą.

— A czemże ja się odwdzięczę kochanemu marszałkowi za taki podarek, a cóż ja ci mogę

za to ofiarować — mówił z błyszczącem okiem całując go po raz trzeci.

— Nic, kochany panie kapitanie nie żądam: twoja radość jest dla mnie już sowitą zapłatą.

— A złoty, a nieoceniony, a drogi człowieku! Niech cię tam Bóg błogosławi, niech ci... oh dalibóg, że już i słów nie mam na to. Mów, co chcesz odemnie, wszystko dam: krew, żonę, dzieci, kulę z pod Szczekocin, wszystko het dam...

— Dałbyś pokój tym dziecięcym uciechom — odezwał się Wolicki — ot, siadaj lepiej, pomówmy o czem innem.

— Eh! co mi tam asan gadasz o dzieciństwach: chyba nie rozumiesz co to jest za skarb, mosanie! Światybym za to kupil, światy...

— No, to sobie kupuj a siadaj!

— Co mam siadać, ja jadę natychmiast: może Zosia jeszcze nie śpi, zaraz jej pokażę.

— Ale co znowu? — przerwał z wyrzutem gospodarz — na pokazanie jutro dość będzie czasu: jeszcze szklaneczkę ponczu, mój kapitanie, bardzo proszę!

I usadził go całkiem roztargnionego na krześle, podsunął szklankę z ponczem, a sam zbliżywszy się nieznacznie do Wolickiego, szepnął:

— No i cóż, dobry początek? Kończże już ty dalej!

— Zaraz, poczekaj trochę, niech się nacieszy.

Tymczasem porucznik oglądając ciągle szlifę, mieszał łyżeczką poncz, nieważając na towarzyszy: przekładal bulion za bulionem, macał, odmuchiwał z kurzu, wstrząsał je, i mruczał sobie co chwila: — jak Boga kocham, jego: i to podszycie takie, i srebro dobre, i guzik... A niech mię miljon furbeczek porwie, jeżeli nie zachoruję z radości!

— Panie kapitanie! proszę cygarko jeszcze!— przemówił pan Antoni podając mu takowe.

— Dziękuję bardzo, Bóg zapłać—odpowiedział nieprzytomnie porucznik, łyżeczkę trzymaną w prawej ręce położył na stole, wziął szlifę z lewej, i zapaliwszy cygaro u świecy, tyle się zapomniał, że zamiast łyżeczki, wpakował swój skarb do szklanki z ponczem.

— A niechże cię miljon regimentów furbeczek batalјonów okrętów... — zawołał zrywając się z krzesła. — Masz tobie, dalem sobie też chleba; a to dopiero głupia moja mózgownica... tfu...

I tem już zrujnował sobie wesołe usposobienie, jakie wpadl po otrzymaniu podarku. Lecz wkrótce oczyszczono pamiątkę, ukołysano porucznika, znowu różowy humor, a z nim nieskończone eryjki pojawiły się w gronie bawiących. Od do tego, tak nieznacznie Wolicki kierował wę do zamierzonego celu; nareszcie napomoś o dzieciach, i nagle zapytal komendanta;

— I cóż ty Jędrusiu myślisz zrobić z swą Julką?

— Co? — odrzekł zadziwiony — myślę ją chować na pociechę Bogu i ludziom, a jak się trafi, wydam za mąż.

— I cobyś naprzykład powiedział, gdybym ci ją wyswatał za człowieka porządnego, poczciwego, statecznego, bogate...

— Proszę cię Wolisiu, tylko tego ostatniego nie chcę.

— Czy pan porucznik boi się dostatków? — przemówił niespokojnie gospodarz.

— Jak morowego powietrza, kochany panie, jak morowego!

— Co znowu! nie przesadzaj bratku! — mówi Wolicki — od przybytku głowa nie boli!

— Ale godziwego.

— Ja też o takim mówię; przecieżbym ci nie stręczył krzywdziciela ludzkiego, tylko człowieka poczciwego z dostatkiem.

— A, z dostatkiem, to nie z bogactwem; bo u mnie bogactwo co innego znaczy. Ja sam ubogi mosanie, i córka moja w mierności wychowana, więc od państwa zdaleka! Jeszczeby się potem zaparła starego porucznika, jakby przyszedł do niej w połatanej węgierce, a to dla ojca niebardzo przyjemna finfa, nieprawda?

— Ależ tak wychowana jak panna Julja.

— Co to znaczy, panie Antoni; pieniądze z kozła zrobią barana, a cóż dopiero z płochej istoty jaką jest każda kobieta! Dajno jej tylko garść dukatów, a zaraz jej się zechce niestworzonych rzeczy. Ho! ho! znam ja je na wylot bratku! — i przy tych słowach machnął ręką jakby przebijał kogo.

— No, no mój poruczniku, dajno pokój: ja już takiego ci pokażę, co ci się pewno spodoba.

— Nie wierzę, nie, — mówił poruszając głową — znam ja ich tu wszystkich na palcach: nie ma tu męża dla Julki. Bogaty nie chce, ubogi nie śmie, a środkującego między niemi znaleźć trudno!

— A cóżbyś naprzykład powiedział, gdyby pan Antoni, tu przytomny, prosił cię o rękę Julki?

— Powiedziałbym, że sobie kpisz ze mnie lub pytasz o drogę, mosanie? — odrzekł jednym tchem zapyrzony porucznik zakładając w tył ręce.

— Ani jedno, ani drugie mój szanowny kapitanie — przemówił pan Antoni — lecz miałbym to sobie za największą łaskę i szczęście, gdyby jego wola była zgodna z memi życzeniami.

— Cha! cha! cha! — zaśmiał się komendant — pyszna mi wola, mosanie, z golizną! Wolne żarty JW. marszałka, mocno dziękuję!

— Tylko no nie kpij sobie Jędrusiu — dorzekł serjo Wolicki biorąc go za rękę — w ta-

kich rzeczach się nie żartuje. Pan Antoni, mój przyjaciel, oddawna upodobał sobie twą Julkę, bo nie patrzy na posag, ale na serce. Sam niemłody, ale i nie stary; byt ma wygodny, człowiek uczciwy i honorowy, prosił mię o to pośrednictwo: ja przyjąłem wiedząc, że nie odmówisz nam obu.

Porucznik stanął zadumany, wysłuchawszy ostatnich słów: w jego duszy taki nastąpił zamęt, że przez chwilę nie wiedział co odpowiedzieć na to. Jeszcze nie wierzył temu wszystkiemu; zdawało mu się, iż Wolicki wziął go tu sobie na fundusz jak zwykle, lecz prośba pana Antoniego, i wcale poważne miny obydwóch, zbijały to mniemanie.

— Ależ powiedzcie naprawdę, moi wyrzekł zakłopotany — wyprowadzac dudka, a przyznam się, podobnie draż tów nie lubię.

— Ależ najszczersza prawda, mój drogi panie poruczniku: cóż w tem dziwnego? Ja przecież panem swej woli...

— Aleś marszałkowicz, bogacz...

— Cóż to znaczy, przecie zawsze człowiek.

— Eh — zawołał porucznik machnąwszy ręką — djabli nadali, żeście się do mnie uciekli w tej sprawie; żeby tu była Zosia, tobym wam odpowiedział jak się patrzy: ja się tam na tych

interesach nie znam, córka do matki należy.... zresztą...

— To też uważaj Jędrusiu, nie jest to formalne oświadczenie — rzekł Wolicki — tylko ot tak przyjacielska poufna rozmowa; jak ty się zgodzisz, udamy się do pani.

— Wszystko to dobrze, wszystko to — mówił trąc łysinę porucznik i chodząc szybkiemi krokami po izbie — ale... bo to widzisz...

— Czy nie miałem tego szczęścia spodobać się panu kapitanowi? przerwał słodziutko gospodarz, zatrzymując go za rękę.

— Nie o to, nie o to, mój kochany panie — odpowiedział komendant, przypatrując się od stóp do głów konkurentowi Julki, jakby go pierwszy raz dopiero widział — ale żebyś to pan był biedniejszy, mosanie!?

— Chciałbym, wierzaj mi kapitanie, lecz trudno: jużciż pieniędzy za płot nie wyrzucę?

— Otóż to i w tem bieda!

I znowu chodził po pokoju i znów targał siwe wąsy, szeptał pod nosem, rozkładał rękoma, przystawał, uderzał się w czoło, gdy major z przyszłym zięciem stali przy oknie, czekając odpowiedzi.

— Ależ mój panie marszałku — rzekł zatrzymując się przed nimi — nie obrazisz się, gdy ci jednę rzecz powiem, hę?

— Bynajmniej, łaskawy panie, mów co chcesz, zawczasu przebaczam.

— Bo widzisz, tak Bogiem a prawdą, tybyś mógł być jej ojcem — wyrzekł nieśmiało:

Zaczerwienił się na to po uszy marszałkowicz, przygryzł wargę, lecz jakoś nie okazał widoczniej swego niezadowolnienia; owszem uśmiechnąwszy się milutko odpowiedział:

— Tak dalece znowu nie, bo liczę sobie lat 35 dopiero...

Porucznik potrząsł niedowierzająco głową.

— Co, wątpisz pan? — krzyknął zaiskrzony — metrykę pokażę!...

— Niepotrzeba... wierzę, wierzę, tylko widzisz mój kochany panie marszałku, ja to myślałem o takim zięciu, cobym to mógł nim kierować, a czasem i...

— Skórę wytatarować! — dokończył Wolicki.

— Nie, nie, broń Boże, fe, co znowu, dajno pokój, nie dowcipkuj; ale tak, napomniał po swojemu, jak ja to rozumiem męża, zięcia, a tu daruj; nie śmiałbym, a może...

— Co może?

— Możebyś mię pan dobrodziej wyrzucił potem za drzwi jako natręta i biedaka, a przyznam się i u mnie krew nie woda, mosanie, i ja choć biedna bestja, lecz hardy jak sto par djabłów: zrobiłbym głupstwo.

— Jakżeż można tak myśleć, panie kapitanie!? Jać przecież nie żaden dzieciuch; żyłem już z różnemi ludźmi na świecie i wierzaj mi, twoje rady droższe i szacowniejszeby mi były, niż najlepszych filozofów! Widzisz przecie, gdybym chciał, mógłbym sięgnąć i po hrabiankę z miljonami, a wszelako wolałem uczciwą a biedną, lecz z dobrego gniazda panienkę, bo jestem pewny, że mając takich rodziców jak państwo jesteście, będzie porządną i nieocenioną małżonką.

— Wszystko to facecje, mój panie kochany! — odpowiedział śmiejąc się trochę porucznik — ot zwyczajnie pańskie zachcenia! Gdzieby tam prosta dziewczyna mogła do tyla podobać się człowiekowi takiemu jak pan marszałek, co to bywałeś po dworach monarchów i widziałeś nie takie kobiety. Między nami jest ona dobra, lecz między panami prostaczka, mosanie: musiałbyś się wstydzić za nią, a jabym znowu tego nie zniósł, żeby sobie tam drwili z mojego dziecka! Daj pokój panie kochany, daj pokój: to nie dla ciebie żona!

— Mój Jędrusiu — odezwał się Wolicki — zanadto jesteś przewidującym; pan Antoni już dobrze się rozmyślił, już wszystko obliczył, nie jest przecie gorączkowym szałaputą!?

— To chwilowe, Wolisiu, jutro się zmieni!

— Lecz koniec końcem, zgadzasz się czy nie?

Mów, bo powiem ci otwarcie, obrażasz i jego i mnie: ja wcale inaczej trzymałem o tobie!

Dotknięty podobną wymówką porucznik, jakoś się umitygował, podumał chwilkę rozbierając za i przeciw; wreszcie rozjaśnił oko, uścisnął Wolickiego, i co mu się rzadko zdarzało, wyrzekł powoli:

— No, kiedy już tak na serjo chcecie, i kiedy zaręczacie mi za przyszłość, to ja się zgadzam zupełnie i daję wam moje słowo!

— Victoria! — krzyknął Wolicki! — Victoria! i ucałował serdecznie porucznika, a za nim i przyszły zięć. Podano wina, spełniono za zdrowie i powodzenie przyszłych małżonków, i tym sposobem ubito interes!

— Za pozwoleniem, moi panowie — odezwał się porucznik — moje przyrzeczenie jeszcze tu nie wystarcza, a z babami nie łatwa sprawa!

— Przecieżeś ty panem w domu! — rzeknie Wolicki.

— Eh, nie tak to jak się zdaje, bo jak cię tam obskoczą, zahukają, to rady sobie nie dasz z niemi, zwłaszcza że to ich sprawa! Już widzę moją imość jak się będzie buńdziuczyć, i przeczuwam niechęć, bo wiem, że jakoś nie ma serca do ciebie panie Antoni; lecz postaramy się ją ugłaskać. Trudno to będzie bo trudno, ależ od czego głowa na karku?!

Niedługo potem nasz komendant czegoś nie swój, wsiadał na bryczkę zabierając się ku domowi, bo Wolicki pozostał u pana Antoniego; pożegnał się z obydwoma najuprzejmiej i ruszył za bramę. Zaledwie ujechał kilkadziesiąt kroków, gdy przypomniał sobie, iż nie zabrał szlify.

— Stój! — krzyczy na furmana — zawracaj do dworu!

— A szlifa moja, panie marszałku — zawołał wpadając do pokoju.

— Jest, jest, proszę.

Porwał ją więc ucieszony, pożegnał drugi raz towarzyszów, i zapomniawszy o Julce, całkiem zajął się drogocenną pamiątką. Już ułożył sobie gdzie ją umieści w szafie, jak ją oprawi, jak pokaże dziekanowi, burmistrzowi, sekretarzowi i t. p. słowem, przez całą drogę marząc o niej dojechał wreszcie do miasteczka. Było to już po północy, cisza grobowa panowała wszędzie, ani jedno światełko nie błyszczało w oknie, bo tam nie było panów, lubiących przewracać porządek natury, i urągać się dniowi, rozwieszając tysiące jaśniejących lamp w swoich salonach. Niedaleko od mieszkania, kazał znowu stanąć, wysiadł z bryczki i zapukał do okna domku stojącego przy drodze.

— Duszak! Duszak!

— A kto tam? — zapytał się z głębi głos drżący.

— To ja, kapitan: otwórzno okno!

Po chwili zabrzęczał haczyk i stara łysa głowa wychyliła się na zewnątrz.

— Jestem wedle rozkazu, panie kapitanie — przemówił zaspany starowina, stawając zneglizowany frontem przy oknie.

— Jakże się masz stary?

— Tak, panie kapitanie: niedobrze, kaszlę.

— A przymknijże okno, wiatr zimny jeszcze ci zaszkodzi! Czemu się to nie okryjesz, po co te honory mój Duszaku; nie bądź też głupi, ze mną robić takie ceregiele!

— Nic nie szkodzi, panie kapitanie, ja już tak przywykłem, i choćbym nie chciał, to jakoś same ręce na dół lecą.

— Ot wiesz co Duszaku, pamiętasz ty księcia Józefa?

— Jak żywego, panie kapitanie.

— A szlify znałeś, mosanie?

— Jak pana kapitana.

— No, to przyjdźno rano do mnie, a pokażę ci taką rzecz, o której ani słyszałeś kiedy.

— Stanie się wedle rozkazu, panie kapitanie — wymówił prostując się znowu starzec.

— Eh! głupiś z twoim rozkazem, mosanie! — to nie służbowy interes.

— Wszystko to jedno, panie kapitanie; a o której mam się stawić?

— O której chcesz, mój poczciwy. Dobranoc!

— Dobranoc panu kapitanowi — i zamknął okno.

— A cóż to za djabelskie przyzwyczajenie — mówił sobie porucznik jadąc ku domowi — dziad ledwo się kiwa na świecie, a jeszcze mówi: wedle rozkazu; on gotów i umrzeć wedle rozkazu. Ani sposób z nimi poufale pogawędzić: tak ci będą sadzić panem kapitanem, tak się wyprężać, że aż wszystkie złości na mnie występują!

Zaledwie szanowny porucznik przestąpił próg swego mieszkania, zaledwie drzwi zamknął na haczyk i zapalił świecę, porwał natychmiast w drugą rękę ową szlifę i pobiegł do pokoju żony.

— Zosiu! Zosiu! — wołał nad uchem śpiącej, potrząsając ją za ramię.

— Co takiego się stało? — odezwała się przebudzona nagle porucznikowa.

— Pamiętasz ty kochanie księcia Józefa? — zapytał radośnie świecąc jej w oczy.

— Jakiego księcia Józefa?

— No, tego, naszego Poniatowskiego!

— Dajżeż mi pokój, nie świeć, czego się włóczysz w nocy.

— Ale bo dostałem ważną pamiątkę...

— To sobie trzymaj, a mnie pozwól spać! — przerwała zagniewana porucznikowa, odwracając głowę.

— Szlifę jego własną, patrzajno!

Lecz ona wcale nie odezwała się na to.

— Słuchajno Zosiu! rodzoną jego szlifę, którą miał pod Lipskiem!

I tą razą milczenie było odpowiedzią.

— A to dopiero kamień kobieta! — krzyknął zagniewany i wybiegł z pokoju. — Tfu do miljon furbeczek z taką babą! Pokaż jej chustkę jaką, albo głupstwo świecące, równemi nogami zerwie się do oglądania, a na taki skarb ani spojrzy: zwyczajnie wietrznica!

Tak zadekretowawszy siadł przy swoim stoliku, zaczął na nowo oglądać ową szlifę, oczyszczać, zdmuchiwać, gwarząc powoli z samym sobą; potem ustawił ją między fajkami przy aksamitnym kapciuchu, odszedł kilka kroków, popatrzył, znowu przeniósł gdzieindziej, znowu popatrzył, uśmiechając się radośnie na samą myśl, jak to się wszyscy dziwić będą, gdy zobaczą tyle szanowny przedmiot w jego posiadaniu. Nareszcie, gdy już wybiła druga po północy, i gdy odmawiając zwyczajne pacierze przed obrazem Bogarodzicy, i prosząc za pomyślność swych dzieci, dopiero przypomniał sobie o oświadczynach pana Antoniego.

— A to głowa mosanie! — zawołał uderzywszy się w czoło, i pobiegł znowu do pokoju żony.

— Zosiu, Zosiu, słyszałaś ty! — krzyknął już głośno, potrząsając gwałtownie śpiącą.

— A dajże mi święty pokój! Czyś ty się uwziął na mnie czy co, że mi nie dasz chwilki się przedrzymać?

— Ale bo widzisz wielkie szczęście nas spotkało.

— Możeś znowu dostał jaką szlifę.

— Nie, nie, moja imość: Julkę za mąż wydaję! — odpowiedział pokręcając wąsa z miną bardzo uszczęśliwionego.

— Czy dziś? — spytała żartobliwie porucznikowa — bo dawno już słyszałam o tym zamiarze.

— Tylko bardzo proszę imości bez tych facecyj: ja mówię serjo.

— No, to jutro się dowiem, wszak to nic pilnego.

— Owszem że pilnego, moja imość: takiego zięcia nie prędko znajdziesz!

— Mój kochany, idźże sobie spać: mnie głowa boli, chcę zasnąć, a ty mi przeszkadzasz ciągle. Cały dom pobudził dla szlify, teraz znowu dla jakiegoś zięcia.

— Już idę, już idę — odrzekł drapiąc się po głowie — tylko powiedz mi moja kochana, cobyś ty pomyślała na to, gdyby pan marszałkowicz, pan Antoni, nasz przyjaciel, oświadczył mi się dzisiaj o Julkę, hę?

— Nicbym nie pomyślała — odrzekła już zniecierpliwiona kobieta — alebym powiedziała, że nie pozwolę.

— Tobyś asani głupstwo powiedziała i kwita! — krzyknął jeszcze prędzej porucznik, trzasnął drzwiami i wybiegł z pokoju.

— Ot, nie powiedziałem! — zawołal w swoim pokoju zabierając się do spoczynku — nie miała baba kłopotu, kupiła sobie prosię! Czy to potrzebne było tam jeździć? a słowo się dało; no, dopiero mi to jutro dadzą bibiku! ale do miljon furbeczek, jać przecie ojciec, pan domu, nie dam sobie byle komu stroić finfy, mosanie! Zobaczymy, czyje będzie na wierzchu, moja imościulku, zobaczymy.

I zaspokoiwszy się tym sposobem, usnął prędko marząc już, jak on to będzie dyrygował domem przyszłego zięcia.

Lecz w pokoju porucznikowej wcale inaczej myślano. Cios był zazbyt wielki, aby mógł się prześliznąć niepostrzeżenie przez umysl i serce tej zacnej kobiety.

Zagadka się rozjaśniła, myślała sobie ważąc ostatnią nowinę porucznika; przyznam się, nie mogłam tego nawet przypuścić. Wybornie, panie marszałku; zachciało ci się żony, którąbyś dręczył swą starością, skąpstwem i egoizmem, za lichą łyżkę strawy rzuconą z jego marszałkowskiej łaski biednej dziewczynie. Oh! nie twoje doczekanie! Moje dziecko jeśli skazane na pasmo ofiar w tem życiu, to pewno nie dla cie-

bie; jej błyskotki nie nęcą, żądze jej zazbyt ograniczone, zazbyt skromne, aby poświęcić im mogła najczystsze swoje uczucia, młodość i swobodę. Mężowi 'się nie dziwię bynajmniej: on zanadto poczciwy, aby w tym zamiarze widział coś więcej nad prostą życzliwość i właściwe ocenienie przymiotów naszego dziecka. Złapali go z Wolickim, przedstawili materjalne korzyści, więc się i zgodził chętnie, ale ze mną nie tak łatwo mój konkurencie; damy sobie radę! — zobaczymy!

Gdy tak rozmyślała przewracając się niespokojna w łóżku, zdawało jej się, iż słyszy tłumione łkania wychodzące od strony Julki. I rzeczywiście tą razą bynajmniej się nie myliła. Dziewczyna nie spała wtenczas, gdy ojciec wpadł do pokoju i przyniósł tyle ważną dla niej wiadomość. Dreszcz zimny, febryczny wstrząsnął biedną istotą, uslyszawszy nazwisko pana Antoniego. Piorun uderzając z całą gwałtownością ponad głową dziewczęcia, nie sprawiłby podobnego wrażenia co zrobiły te słowa ojca, iż ją za mąż wydaje. Dotąd, bardzo rzadko i to w słabych kolorach, przedstawiała jej się postać małżonka: życie jej moralne jeszcze nie rozwinęło w sobie tej myśli, dusza nie potrafiła skupić w jedno ognisko rozprószonych marzeń przyszłości. I chociaż nieraz żywa imaginacja dziewczęcia, zajrzawszy w swoje serce, zapragnęła czegoś innego, nieokreślonego,

niepojętego: chociaż potęskniła za jakiemiś mamidłami poetycznych zachceń: wszelako cała ta budowa nie miała żadnej trwalszej podstawy w jej myślach, i rozpraszała się za najmniejszym powiewem teraźniejszości. Wszystkie jej rozmowy w podobnym rodzaju z mężczyznami prowadzone, jakkolwiek nosiły na sobie piętno prawdy i znajomości, pomimo że odznaczały się lekkością dającą wiele do myślenia słuchającym, jednakże w gruncie były to powierzchowne tylko spostrzeżenia, ugruntowane na teoretycznie zaczerpniętych wiadomościach, częścią z książek, a częścią z rozmów innych już starszych osób. Teraz więc, gdy niespodzianie rzeczywistość zjawiła się w jej umyśle, gdy te żądania nieokreślone i niepojęte przybrały pewną formę, i to formę wcale różną od poprzednio wymarzonej: naraz otworzyły się jej oczy, a serce i uczucie przypomniały się o swoje prawa. Od dziecięcej niewiadomości do poczucia samego siebie, czyli do dojrzałości, jest tylko krok jeden, jedna chwila. Podobne gwałtowne przejścia szczególniej w życiu kobiet, są najpospolitsze. Wczoraj jeszcze dziecko panienka, naiwna, szczebiotliwa, trzpiotowata, dzisiaj zmienia się do niepoznania; miejsce naiwności zajmuje skromność, szczebiotliwości rozwaga, żywości powaga. Wychowanie domowe, towarzystwo, nieszczęścia i inne płynące z życiem okoliczności, przyspieszają lub oddalają

tę chwilę. Dlatego też nieraz można zobaczyć młodą panienkę, rozumującą z taką pewnością i świadomością siebie, iż trudno uwierzyć własnym oczom, aby w piętnastym roku życia, kobieta mogła znać tak dalece świat i ludzi, złe i dobre; a jakkolwiek podobna dojrzałość wydawać się może niektórym zadziwiającą: wszelako przykre jakieś uczucie nas owionie, pomimowolnie niechęć wyrodzi się dla tej przed czasem wybujałej roślinki. Przeciwnie znowu, jakiżto niewysłowiony urok otacza nawet już mężatkę, gdy z ust jej płyną wyrazy pełne naiwności, gdy każdy jej ruch, spojrzenie cechuje skromność, a myśl pokrywa urocza szata niewinności. O, wierzcie mi, daleko lepiej smakuje owoc zerwany w czasie właściwym chociaż przejrzały, niż wczesna nowalijka, sztucznem ciepłem wychuchana!!!

W tak ważnej w życiu ludzkiem chwili, jaką jest owo przejście, nie dziw, że i panna Julja nie była zdolną w tym odmęcie pożegnalnych i witających myśli, utworzyć jakiegobądź ładu, przez który mogłaby trafić do jakiegobądź stanowczego rezultatu. Nieusprawiedliwiona niczem trwoga, jedynie może na przeczuciu oparta, wstrząsała biednem dziewczęciem i wydobywała potoki łez, przerywane kiedyniekiedy głośniejszem łkaniem, które zwróciło właśnie uwagę matki.

— Julciu! Julciu! — przemówiła ciszej — śpisz, ty kochanie?

— Nie, mamo.

— Czy mi się zdaje, czy istotnie płaczesz?

Córka milczała.

— Co ci jest, moje dziecię? — zapytała trwożliwie — powiedz, możeś miała jaki sen przykry?

— Nie, nie, mamo droga! — zawołała klękając przy łóżku matki i całując z niewymownem uczuciem jej rękę — nie, mamo, ale słyszałam wszystko!

— Wszystko, wszystko — mówiła zanosząc się od płaczu. Mamo kochana, serdeczna, jedyna, ja nie pójdę za tego marszałka, ja nie chcę iść za mąż; ach ratuj mię mamo! — i wysilona żalem zsunęła się na podłogę.

— Ależ moje dziecię uspokój się, nie płacz, kochanie! — wyrzekła poczciwa matka tuląc jej główkę do piersi — nie bój się, zaradzimy temu, ojciec żartował tylko!

— O nie, nie, ja wiem że to prawda, ja teraz przypominam sobie wszystkie jego grzeczności.... Mój Boże, mój Boże! cóżem też winna temu człowiekowi, że tak mię prześladuje!

— No, uspokójże się już moja Julciu, nie przypuszczaj sobie takich myśli; ojciec kocha cię bardzo, i pewna jestem, skoro ty nie zechcesz, nalegać nie będzie; a zresztą przecież i ja tu coś

znaczę. Nie trwoż się więc, nie płacz; bo jeszcze cię może głowa rozboleć.

Te słowa jakoś rozbroiły trochę żal dziewczęcia, otarła łezki, ucałowała po kilkakroć ręce dobrej matki i usiadła przy niej widocznie spokojniejsza.

— I czegoż ty się tak lękasz pana marszałkowicza? — zapytała po niejakim czasie porucznikowa.

— Oh, nienawidzę go! niecierpię! — odrzekła z całą gwałtownością Julka.

— To bardzo niesłusznie, moje dziecko: przecież on ci nie wyrządził najmniejszej krzywdy; uprzedzenie masz do niego i nic więcej!

— Kiedy ja z jego oczu czytam, że to musi być zły człowiek; bo, proszę mamy, dla czegóż działał tak skrycie, dlaczego mówił ojcu o moją rękę, a mnie, którą to może najwięcej obchodzić, nie pytał wprzódy?

— Bo widzisz, jest to człowiek pewnego rodzaju, który idzie gościńcem wprost do celu, nie zwracając uwagi na mniejsze ścieżki. Jemu się zdaje, iż z tytułu bogactwa swego ma do wszystkiego prawo; lecz nie idzie za tem, aby go nienawidzieć moje dziecko; on temu nie winien wcale, bo wyssał to już z mlekiem matki, nie znał innego życia, nie przechodził prób losu: raczej litować się nad nim powinniśmy, że stąpa po tak

błędnej drodze. Chrystus powiedział: „miłujcie nieprzyjaciół waszych, czyńcie dobrze tym, którzy was obrazili.“

— Ależ ojciec, moja mamo, ojciec, taki dobry, rozsądny, że też mógł przyrzekać to, co jego córkę zrobić może nieszczęśliwą na całe życie; bo jabym go nigdy kochać nie mogła, nie potrafiła, pomimo największego przeświadczenia o konieczności ofiary.

— Gdybyś znała życie tak jak twój szlachetny i dobry ojciec, gdybyś pojmowała jego boleść na samą myśl twego sieroctwa, nie pytałabyś mię o to. Ty nie wiesz kochanie, jakąto przyszłość gotuje los ubogiej dziewczynie; ludzie są różni, przeróżni: często podadzą rękę najniegodniejszej istocie, a pozwolą mrzeć z głodu prawdziwej zasłudze i cnocie. Mężczyzna jako tako, choć z wielką trudnością, potrafi wypłynąć na wierzch, potrafi sobie utworzyć odpowiednie stanowisko; lecz kobieta, istota słaba, kochająca, potulna, przez całe swoje życie walczyć będzie z przeciwnościami nie widząc najmniejszej iskierki zwycięztwa, cierpieć będzie podwójnie, i bardzo rzadko wytrwa w swem postanowieniu! Dzisiaj, tobie naprzykład, wydawać się może podobna droga łatwą, ponętną nawet, bo masz młodość, zdrowie, uczucie, wolę i wiarę w ludzi; lecz powoli, powoli, gdy listki zaczną opadać z tego pięknego drzewa

nadziei; duch osłabnie, a cnota się przyćmi, inaczej patrzeć będziesz na życie. Na każdym kroku rość ci będą kolce, które raniąc niemiłosiernie szlachetną stronę twej duszy, może zahartują jej słabość, ale mogą ją i rozszarpać. Tak, tak moja Julciu, nie miej za złe ojcu, że wiedząc o tem z tysiącznych wypadków, chciałby ci zabezpieczyć przyszłość, dać opiekę, podporę choć materjalną, lecz mniej więcej pewną.

— Oh mamo! odezwała się po chwili zasmucona dzieweczka z dziwną jakąś energją, malującą się na twarzy — teraz lepiej to pojmuję niż dawniej, czyściej widzę, jawniej przeczuwam; lecz daruj, że wolę tę drogę utrapień, którąś mi tak czarno przedstawiła, niż materjalną pomyślność, zapewnioną przez pana Antoniego. Tam będę cierpieć, lecz cierpieć niewinnie, i to mię pokrzepi: tu zaś byłabym karaną przez całe życie już tą samą myślą, że zlękłam się niedostatku, sprzedając niegodnie wszystkie uczucia, słowa i postępki, za kilka czczych przyjemnostek, dogadzających próżności ludzkiej!

— Pięknie, szczytnie moja córko! — zawołała w uniesieniu matka, całując ją ze łzami i tuląc do siebie. — Nie zawiodły mię moje przeczucia: tyś godna tej miłości nieograniczonej, jaką mam dla ciebie, ty już będziesz, musisz być szczęśliwą! O Boże wielki — zawołała składając ręce —

dziękuję ci za tę łaskę, jakąś okazał nademną przy kierowaniu jej umysłem i sercem! Spełniłam w części przeznaczenie matki — jestem spokojna!

O! wielka to była chwila i uroczysta, splecenia dwóch serc ogniwem wyższej nadziemskiej miłości, bo płynącej z czystych zasad wiary Chrystusa! Najbardziej zrozpaczona dusza musiałaby tu klęknąć i uderzyć czołem przed tą wielką myślą słabych i maluczkich kobiet; musiałaby zaczerpnąć otuchy z tego morza uczuć któraby wróciła jej nadzieję — symbol nieśmiertelności!

I matka i córka już się zrozumiały zupełnie: dalsze objaśnienia, wątpliwości zniknęły przed niemi, bo nad ich głową zaświeciła gwiazda nigdy nieprzepalonego światła, rozpraszającego każdy cień przyszłości mocą swojej potęgi i woli. A przecież były to proste kobiety, bez wyższej nauki, bez wyrobionego sztuką uczucia piękna: bogate, lecz tylko wiarą Chrystusa; strojne, lecz szatą cnoty jedynie. Młoda, 18-letnia dziewczyna odrzuca z pogardą rękę miljonowego bogacza, skazuje się samochcąc na ubóstwo, cierpienia, niedolę, dla jednej tylko myśli, żeby jej nie posądzono kiedyś, tam na strasznym sądzie, iż mogąc więcej ponosić ofiar z swych chęci, żądz i przyjemności zmysłowych, na drodze którą jej Bóg przeznaczył, obrała lżejszą. Matka znowu, patrząca na swe dzieło z uczuciem najwyższej

radości i dziękczynną modlitwą w ustach, czyż nie jest godną naszego uwielbienia?!

Jakto Opatrzna ręka umie nagradzać niedolę cnotliwym, osładzać krwawe ciernie życia, po których stąpać muszą z uśmiechem na ustach, a pokorą w sercu. Jestem pewny, że gdyby porucznik słyszał tę rozmowę pełną szczerości i prawdy, zmieniłby swój zamiar i ukorzył się przed niemi, jako wybranemi od Boga na uosobienie idei poświęcenia.

Lecz u niego uczucie honoru, uczucie prawości, dziwnie jakoś splotło się z religją i nie pozwalało spojrzeć jaśniej tam, gdzie one jakibądź uszczerbek ponieść mogły. Słowo dane przez niego było świętem, nieodwolalnem, było drugim punktem wiary; dla złamania go, potrzebował nadzwyczajnego dowodu, któryby usprawiedliwiał dostateczne jego cofnięcie. Na nieszczęście nie mógł tego dostrzedz w całem postępowaniu przyszłego zięcia: czuł dobrze, iż podobny przysposobiony los dla córki nie zgadzał się z jego widzeniem, nie odpowiadał wszystkim warunkom przyszłej pomyślności, lecz nie mógł się wydobyć z ciasnych szranek honoru, któremi się dobrowolnie skrępował. Dlatego bronił się słabo naleganiom żony, płakał pospołu z córką, oskarżał się przed nią jak ostatni tyran, niegodziwiec, zabójca

jej szczęścia: wszelako nie miał siły zmienić postanowienia.

— A co to ludzie powiedzą — myślał sobie nazajutrz po odbyciu rannej sprzeczki z kobietami — ten porucznik, stary wojak, prawy, honorowy, nie dotrzymał danego słowa. Tfu! do miljon furbeczek, niezatarta plama w życiu! To być nie może!

Lecz podobna perswazja bynajmniej nie wpłynęła na jego uspokojenie. Cały dzień unikał widoku żony i córki, nie jadł w domu, błąkał się po polach, dręczył się do ostatniego, a nie mógł wynaleźć żadnej pociechy. Przed wieczorem dopiero, powróciwszy do siebie znękany, osłabiony i zgryziony, siadł w krześle i dumał. Kobiety tymczasem widząc tę jego boleść, cierpiały podwójnie; okropna walka miłości rodzicielskiej, z szczytniejszą myślą przeznaczenia człowieka, toczyła się w sercu biednej Julki; pierwsza musiała przemódz i przemogła. Matka nie radziła więcej, bo czuła z nią razem, myślała wspólnie. kiedy więc zadumany porucznik zanurzywszy głowę w obu dłoniach, siedział nieruchomy w swoim pokoju, z jaśniejącem okiem i spokojem duszy zahartowanym mocną wolą, zbliżyła się nieznacznie ku niemu, i uklęknąwszy jak do modlitwy, wyrzekła powoli, dobitnie:

— Ojcze drogi, kochany, serdeczny, daruj mi,

przebacz! Jam nierozmyślnie była powodem twoich utrapień, jam zbłądziła opierając się twej woli; teraz gotowam cię usłuchać: pójdę za pana Antoniego! Nie myśl kochany ojcze, iż to osobista niechęć ku niemu była przeszkodą; nie, ja chciałam więcej cierpieć w przyszłości i cierpieć w tym stanie, do którego Bóg i urodzenie mię przeznaczyło. Lecz gdy tak być nie może, gdyby moja odmowa skalała twój honor: Bóg przebaczy, spełniam tylko Jego wolę, będąc posłuszna tobie, jako najlepszemu ojcu!

— O dziecię moje, Julko moja! — zawołał chwytając ją w swoje objęcia, — wróciłaś mi życie!

— Oby ci je Bóg najdłużej zachował, mój ojcze drogi! odpowiedziała ze łzą w oku całując jego ręce. — Teraz jestem spokojną, jestem szczęśliwa.

Lecz nie myśl kochany mój dobroczyńco — mówiła dalej z zwrastającym zapalem, — że to postanowienie jest wymuszone obowiązkiem wdzięczności i posłuszeństwa dla ciebie — i to nie. Ono jest dobrowolne, płynące z mego serca, i tak szczere, jak szczerą jest moja nieograniczona miłość dla ciebie. Wczoraj martwiłam się z początku, to prawda, bo wczoraj byłam dzieckiem; lecz dzisiaj co innego: Julcia trzpiotowata ustąpiła miejsca poważnej pannie Julji. No popatrz na mnie mój tato — rzekła prostując się przed

nim z uśmiechem wesołości — czy nie mam miny sensowatej imości, co?

— Daj pokój dziewczyno, daj pokój: chcesz mię rozweselić, i przymuszasz się do śmiechu; lecz kiedyś taka już sobie stateczna, mosanie, to mogę ci powiedzieć otwarcie, iż znam się na podobnych manewrach. Matka twoja rychtyczek tak samo robiła: bywało martwi się w sobie, gryzie, płacze po nocach, a przed starym figle broi, jakby nigdy nic nie bylo. Oho! już to starego wróbla nie weźmiesz na plewę, moja panno, i wierz mi, więcej mię to może kosztuje ta sprawka głupiego porucznika, niż ciebie. Ale trudno, inaczej być nie może: za winy ojców dzieci częstokroć cierpią, a gdy cierpią z takiem poświęceniem się i pokorą, jak ty moja Julciu, już mają w tem życiu nagrodę, albowiem kogo Bóg zasmuci, i pocieszyć nie omieszka, jeśli tylko sami odpychać tej pociechy nie będziemy.

— Ależ nie tak, mój tatko: ja na serjo się nie smucę, i nie udaję wesołej; owszem, jak się rozmyśliłam, zdaje mi się mogę być szczęśliwą i z panem Antonim. Nie kocham go wprawdzie, ale muszę kochać, bo proszę cię, jak mu zacznę dogadzać we wszystkiem, pamiętać o wszystkiem, a przytem modlić się gorąco do Najświętszej Panny, to go powoli przerobię na takiego, jakiego będę mogła szanować i kochać. Zresztą mama mi

zawsze powtarza, iż nie ma szczęścia na tej ziemi, więc choć tam się znajdą jakie nieporozumienia, ustąpię, przeproszę, ugłaskam. Och! bo ja to potrafię, mój ojcze, i dobrze będzie! A jak ty przyjedziesz do nas, to ci się serce rozraduje, i pewno nie będziesz mi miał do wyrzucenia, żem...

— Pięknie to, dobrze — odrzekł już trochę rozruchany porucznik — znam cię moja rybko i wiem, że ci się to uda, bo gdyby inaczej, nauczyłbym ja go po kościele gwizdać, mosanie. Oho! jeszcze ta ręka uniesie szablisko.

— Tego nie będzie potrzeba — mówiła lasząc się dziewczyna — on musi być w gruncie serca dobry człowiek.

— Ale bogaty, a ja bogatym nie wierzę! Przyjdzie kaprys, to ci powie przykre jakie słowo, że cię wziął z łaski, z nędzy wyciągnął, mosanie.. Eh! żeby to jako się wycofać, ale jak?

I zadumał się znowu i chodził prędko po pokoju trąc czuprynę, szarpiąc wąsa; przystanął, kiedy niekiedy machnął rękoma, przemówił coś do siebie i znowu chodził. Naraz wzrok jego padł na szlifę, zawieszoną w szafce między kapciuchami. Zachodzące słońce przeciskając się przez listki kwiatów zasłaniające okno, oblało purpurowym blaskiem drogocenną pamiątkę; porucznik rozjaśnił oko, porwał ją z uniesieniem, jakby żałując, że

tak dawno jej nie widział, chwycił czapkę i wybiegając z pokoju przemówił do córki:

— Idę do dziekana; bądź spokojna, poradzimy o tobie.

* *
*

Przypominacie też sobie moi czytelnicy owego staruszka proboszcza, przyjaciela porucznika, nauczyciela jego dzieci, co to sparaliżowany wybierał się lada chwila na tamten świat po wieczne odpocznienie! Jeżeli więc chcecie go jeszcze raz zobaczyć, pójdźcie z porucznikiem na plebanję.

Żył dotąd poczciwy i świątobliwy kapłan, ale jak żył? Popatrzcie na niego. Od dwóch lat już nie wstawał z łoża boleści, na które go ręka niedościgłego w swych zamiarach Wszech Pana skazała. Ociemniały, trochę głuchy, bezwładny, istny szkielet człowieka, wlókł do ostatka swój lichy żywot, błogosławiąc dobroć Najwyższego. Oparty na kilku poduszkach siedział na łóżku, wlepiając niby swoje zasunięte wieczną mgłą oczy w otwarte naprost okno, którędy dolatywał świeży powiew wiosennego tchnienia, niosąc balsamiczny zapach róż i rezedy, zasadzonych niegdyś jego ręką. Ciche słowa modlitwy, wysuwały się drząco z ust szanownego kapłana, dążąc po tej nici tajemnego związku duchów, aż do stóp Przedwiecznego Ojca. Twarz jego pargaminowa, przedstawiała niepochwy-

coną mozajkę różnych a przeróżnych marszczek, które za poruszeniem ust zmieniały kształt i kolor, jak kawał brunatno mieniącej się materji. Modlił się i modlił o śmierć jak najprędszą, lecz ona nie słuchała próśb jego, patrząc zdaleka na tę igraszkę swoich kaprysów. Przy nim małe dziesięcioletnie pacholę, rózczką świeżej lipiny opędzało muchy cisnące się do oczu i ust starca: czasem zasnęło opierając się o róg komody stojącej obok łóżka, lecz za najmniejszem kasznięciem dziekana, budziło się machając gałązką. W około [illegible]a zupełna, bo wszyscy szanując starość ukon[illegible]nego pasterza, wiedząc nawet, że nie dosłyszy, uwijali się na palcach, zaglądając kiedy niekiedy przez dziurkę od klucza, jak się tam miewa ich ojciec.

Porucznik ze szlifą w ręku, krokiem wolnym, z miną uszanowania i czci, zbliżył się do łoża starca, wziął od chłopczyka gałązkę, usiadł na taboreciku w głowach stojącym, i dotknąwszy zlekka jego wyschłej ręki, krzyknął mu do ucha:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

— Na wieki wieków amen. Jędrusiu — odpowiedział z ciężkością dziekan. — A przecie, a przecie! cóżto, zapomniałeś o mnie ty zuchu; już coś z tydzień nie byłeś u mnie.

— Dwa dni kanoniku podobno.

— A może, bo ja już rachuby zapomniałem;

takie dni długie: spać nie mogę, to się to wiekiem wydaje. No i cóż tam słychać u ciebie, zdrowi wszyscy?

— Wszyscy chwała Bogu; ale mam nowiny.

— Jakież, mów? — wyrzekł z zajęciem starzec zwracając ku niemu swą łysą głowę.

— A od jakichże zacząć, od dobrych czy od złych?

— Od złych Jędrusiu, bo na dobre dość będzie czasu, a tym trzeba zaradzić.

— Ale widzisz, mój kanoniku, chciałem ci pokazać jednę rzecz ważną, drogą, szacowną.

— Wybrałoś się mój Jędrusiu jak z motyką na słońce! Alboż ja to zobaczę co? Dla mnie już świat poszedł sobie z Bogiem; wszelako powiedz przynajmniej co takiego.

— Porucznik jakoś przygryzł sobie języka, wspomniawszy, iż przypomniał staremu o jego ślepocie; lecz nie tracąc miny, wpakował mu w rękę szlifę.

— Co to jest? — rzekł starzec macając szorstkie buliony — czy to nie szlifa przypadkiem?

— Ona sama — krzyknął radośnie porucznik — i to szlifa z ramienia księcia Józefa!

— Nie może być!?

— Ona sama jegomościulku, rodzona, prawdziwa!

— A zkądżeś ją ty dostał?

— Ot, od mojego przyszłego zięcia.

— Chryste panie! — zawołał dziekan — co ja słyszę, Julkę za mąż wydajesz?

— Tak dobrodzieju, wydaję.

— A za kogo? jeśli wolno spytać — przemówił markotny starowina — bo to mój panie kapitanie, jakoś widzę rozporządziłeś się prędko, nie poradziwszy się starego przyjaciela.

— Ot i w tem głupstwo zrobiłem, dobrodzieju!

— Przecież choć raz się przyznałeś! W kominie zapisać węglem, w kominie, Jędrusiu.

— Trudno, przyznaję, mea culpa, to ten djabeł Wolicki jak mię opętał, jak zaczął gadać o honorze, o obrazie przyjacielskiej ufności, tak mię oszołomił, żem dał słowo i rzecz skończona!

— A niechże się dowiem komu?

— Kiedy się wstydzę powiedzieć ci mój dobrodzieju.

— Oho! musi być to już porządne głupstwo, przemówił zatrwożony staruszek. — No, przecie komu, gadajże!?

— Eh! panu marszałkowiczowi, panu Antoniemu — zawołał machnąwszy ręką i powstając z krzesła.

— Fiu fiu, mój panie Jędrzeju: wysoko! wysoko! Marszałkowicz!

— Ej, mój dobrodzieju, nie żartujno ze mnie i ty, bo dalibóg w łeb sobie wypalę i kwita!

— Stary, stary, dajno pokój, nie rwij się tak ochoczo do łba, boś go sobie na kark nie wsadzał!?

— Ależ bo wszyscy się na mnie sprzysięgli, mosanie: Julka raz płacze, drugi raz się zgadza, żona turkocze od rana do nocy, żem się chciał spanoszyć; jegomość drwisz.... tfu do miljon furbeczek, to zanadto!

— No, no, nie dąsaj, się Jędrusiu; widzisz, ludzie czasem z przyjaciół się pośmieją, ale i zapłakać z nimi potrafią; powiedzno jak to było?

Porucznik jak dziecko przed swoim ojcem opowiedział tu wszystkie wiadome nam szczegóły oświadczyn, powtórzył ostatnią rozmowę z żoną i córką, a kończąc, porwał starca za rękę, ukląkł przy łóżku błagając:

— Mój dobrodzieju, mój dziekanie święty, radź bój się Boga, radź jak tu począć, bo ja tu rozum stracę!!!

— No widzisz — rzekł po niejakiej chwili staruszek — z tego wszystkiego coś mi mówił, pokazuje się, iż cię okpili porządnie.

— Kogo? — krzyknął porucznik gwałtownie, wyrywając swą rękę z kościstych palców dziekana. — Co? mnie mieli okpić? a to jakim sposobem, proszę ja cię?

— Tylko bez tych komedji, powoli, moja gorączko, wysłuchaj wprzódy! Oto ukołysali cię szlifą, która jest sobie zwyczajną zapewne.

— Jużto co w tem, to się jegomość mylisz, boć i ja przecie nie palcami, ale oczami patrzałem na księcia Józefa.

— Czekajno mój kochany; widzisz tam pióro na stoliku leżące?

— Ale cóż tam pióro może mieć do szlify?

— Zaraz będzie, tylko czy widzisz?

— No widzę.

— Otóż to pióro jest to samo, którem Zygmunt podpisywał unję w Lublinie.

— Wolne żarty mosanie! — odrzekł śmiejąc się naiwnie porucznik — alem ja nie taki skory do uwierzenia! Że jegomość powiadasz, iż to pióro Zygmuntowskie, jeszcze nie dowód: trzeba tu czarnego na białem, czarnego — i przy tych słowach nachyliwszy głowę pukał palcem po dłoni.

— A słuchajno bratku — przemówił śmiejąc się serdecznie dziekan — pokażno dowód na tę szlifę!

— Co za dowód? — ja tu sam i moje oczy są dowodem; bo jak dobrodzieja tabakierkę, znałem ubiór księcia; a dobrodziej znałeś Zygmunta, widziałeś jego pióra, co?

— Nie znałem, to prawda, lecz jak mię przekonasz, iż twoja szlifa jest tą samą za jaką ją

masz? A czy to nie było więcej takich na świecie, hę?

— A... — krzyknął porucznik, stawając przed łóżkiem z miną zaperzonego; lecz nie dokończył, bo widać w tej chwili nasunęła mu się myśl powątpiewająca.

— I cóż a? — zapytał dziekan.

— Eh djabli to wiedzą! — A kto wie... a może — mówił ciszej kiwając głową i przypatrując się owej szlifie.

— No, nie mówisz?

— Ale bo jegomość to jesteś istna przekora: wcale nie po księżemu postępujesz, mosanie; zamiast wzmacniać wiarę w ludziach, dobrodziej ją osłabiasz!

— Przecieżeś ją sam widział na ramieniu księcia.

— No i cóż z tego że widziałem, ale któż mi zaręczy, czy to ta sama!

— Twoje oczy, kochanie, twoje...

— Moje oczy głupie są, z przeproszeniem dobrodzieja!...

— Gdzież znowu, przecieżeś nie palcami patrzał...

— No, no, dosyć tych żartów, mój kanoniku, ja i tak się gryzę jak, jak...

— Wiewiórka orzechy — dokończył śmiejąc się stary.

— Jegomość dajno pokój! przez Boga żywego nie dogaduj, bo...

— Bo co?

— Bo tę szlifę tak stłukę, zbiję, zdeptam, zmasakruję! — wołał skrzywiwszy się złośliwie, uderzając pięścią o pięść i przebierając nogami jakby co tratował — a potem, a potem wyrzucę precz na cztery wiatry!

— Cha! cha! cha! — zaśmiał się starowina kaszlając — a to nam krzywdy narobisz!

— A narobię jegomościulku, narobię, bo jak to jest prawdziwa, dopiero będzie żal, co, nie?

- Z pewnością nie, i jeśli chcesz założę się z tobą Bóg wie o co, iż tu sobie zażartowali z twej słabości!

— A kto wie? djabeł nie spi. Wolicki nie próżnuje; a ten ten... jakże go tam, marszałkowicz. to lis może, lis...

— I to farbowany — dorzucił dziekan.

— Niechnoby tak było dobrodzieju, dałbym ja mu się we znaki! — mówił coraz bardziej się unosząc z gestami niecierpliwości. — Julki nie dam, i uszy obetnę jak jakiemu oszustowi, mosanie! Co to drwić sobie ze mnie, hę? Cóż ja to, popychadło byle jakiego tam ukraińskiego szlachciury, co? Zje on miljon furbeczek jeżeli mu to daruję!

— A miłość chrześciańska, Jędrusiu! Nie pa-

miętasz jak to tam w piśmie świętem powiedziano: „kto na ciebie kamieniem, ty na niego chlebem“.

— To wcale inna rzecz, mosanie, wtedy nie było honoru żadnego. Cha! cha! cha! mój dziekanku drogi, pięknieby człek wyszedł na świecie z tą maksymą. Idźno ty w świat i gadaj ludziom o tem; za dzień będziesz miał gębę jak poduszkę, a w kieszeni pustki, bobyś na chleb nie wystarczył. U mnie inaczej, mosanie: obrazi kto żartem, po przyjacielsku, albo taki co sam nie wie o tem, no, przypuszczam, daruję: ale umyślnie, na serjo, i dla pośmiewiska przed drugiemi, bratku nie puszczę, nie puszczę, ale przez łeb! Bo to to to to... krew nie woda, mosanie!

— A co to za buńczuczna sztuka z ciebie mój Jędrusiu: odkądże to podobna junakierja, hę?

— Od urodzenia, mosanie! — odpowiedział zaczerwieniony porucznik.

— W ustach, w ustach, mój ty gorączko! — ale o tem potem, tylko mówię ci, wstrzymaj się ze słowem dla pana Antoniego!

— Kiedyż ja je dałem wczoraj!

— No i to jeszcze nie szkodzi: widzisz, trzeba to odwlec trochę, nie zrażać tak od razu, a może potem znajdziem sposób, żeby i twój honor kochany był syty, i owca cała. Bo to, proszę cię, tak nie można odrazu sądzić o ludziach:

kto wie, czy i jego kto nie oszukał, dając mu tę szlifę jako księcia Józefa. Na wszystko uwaga Jędrusiu, i umiarkowanie.

— Radziszbo dziekanie nie przymierzając jak święty, tylko żebyś to jeszcze krwi trochę upuścił, krwi, bo to już moja taka niestatkowna natura: jak się wezmę do czego, bij, zabij, nie rzucę póty, póki nie skończę. Jeść ci nie będę, dobrodzieju, spać, fajki palić, tylko myśleć...

— Widzisz Pan Bóg cię skarał: złakomiłeś się na majątek, masz teraz kłopoty.

— Jako żywo, moj dobrodzieju! — zawołał urażony porucznik. — Wolicki świadkiem jakem się wymawiał; lecz oni: pozwól i pozwól kapitanie, nie obrażaj, nie przeszkadzaj; a ja taki sobie drażliwy, nie śmiałem się wymówić i nawarzyłem sobie piwa po uszy! Żeby jeszcze ta szlifa była fałszywą, — pół biedy: wyśliznąłbym się mosanie gładziutko, bo ja nie chcę mieć zięciem oszusta: ale jak nie...

— Zostaw to tylko żonie, a zaręczam, uwolni cię od podobnych korowodów.

— Dobrze mówisz dobrodzieju, sprytna to kobieta, tylko widzisz, czasem strasznie obojętna.

— Że się nie rzuca gwałtownie jak ty, i nie furbeczkuje? — przerwał wesoło starzec.

— Nie o to, mój kanoniku, nie o to; ale nie umie pohamować swej niechęci; jak się do kogo

uprzedzi, mosanie, drągami jej tego nie wyrugujesz z głowy. Wszelako trzeba tu radzić, nic nie pomoże!

— No bywaj zdrów mój drogi dziekanie — rzekł po chwili zamyślony — ja pospieszę do domu pocieszyć tę biedną dziewczynę: bo wystaw sobie choć ona się zdecydowała, ale tam serce zawsze się odezwie.

— Idź, idź, niech ci Bóg przewodniczy w uczciwych zamiarach; ja pomodlę się tu za ciebie, a może mojej prośby Przedwieczny wysłucha, i natchnie cię dobrą myślą.

Zabrawszy więc porucznik ową szlifę, pospieszył ku domowi cały zamyślony, a przestąpiwszy próg swego mieszkania, pierwszą osobą którą spostrzegł, był stary zgarbiony Duszak w obszernym płaszczu, z białą laską, stojący pokornie przy drzwiach.

— A jak się masz mój ty poczciwy? — przemówił porucznik stawając przed nim.

— Lepiej, panie kapitanie, lepiej.

— No to i cóż mi powiesz? — A siadajno trochę, nie wstydź się, starość nie radość, potrzebuje krzesła, mosanie!

— Ja tu przyszedłem wedle rozkazu pana kapitana — odezwał się Duszak siadając na brzeżku stołka.

— Eh! kiedyś się spóźnił mój stary.

— Oh dlaboga, a ja się tak spieszyłem: i czy to pan kapitan nie ma już tej rzeczy dopokazania?

— Eh! mam, mam, tylko widzisz kto to wie czy to księcia Józefa. Wczoraj ot tak mi się zdawało, ale rozmyśliwszy się dobrze i rozpatrzywszy...

— Eh, to szkoda wielka, panie kapitanie!

— Szkoda i nieszkoda, bo widzisz za ową szlifę mosanie, chcieli kupić moją Julkę.

— Chyba pan kapitan żartuje?

— Co mam żartować, tak jest. Ot patrzajno, Czy to podobieństwo jakie do szlify księcia Józefa, któraby trzydzieści kilka lat miała? A mnie jak to dał marszałkowicz, ten chudy z Rogówka, musisz go znać, tak mię ukołysał mosanie, iż rozrzewniony przystałem na wszystko.

— Oooo! to źle, panie kapitanie — rzekł niesmacznie mlaskając stary — gdzie jemu to do naszej panny Julci!? Brzydki, suchy jak szczapa, taki jakiś... hm... mnie się to nie zdaje...

— A i mnie się nie zdaje, i wszystkim się nie zdaje — mówił porucznik, chodząc szybko naokoło pokoju — ale honor Duszaku, honor, słowo siędało.

— Skoro się dało, to źle! — odrzekł westchnąwszy.

— A źle mosanie!

I po tym wykrzykniku zamyślili się obadwaj. Porucznik swoją niecierpliwość objawiał szarpa-

niem siwego wąsa, a stary Duszak mocniejszem i częstszem pociąganiem tabaki z łubowej tabakierki, i pukaniem laską o podłogę. Nareszcie po kilku minutach takiej rozwagi, komendant przemówił:

— A żeby to on sobie jako obrzydził tę dziewczynę i nie chciał, hę?

— Gdzie znowu panie kapitanie: toć to takie milutkie, ślicznintkie, a dobre, że ja choć stary jestem, ale gdyby tak zrobił, wygrzmociłbym mu porządnie skórę tą laską!

— A za co? — spytał porucznik.

— Za co? — a za wstyd, proszę pana kapitana dla nas wszystkich; bo jakżeby to wyglądało, żeby kto nie chciał dziecka naszego kapitana, co? Tfu, a toć to plama dla całej komendy! a to mi się podoba! — mówił, ruchając się na krześle starowina widocznie oburzony. — Niechno spróuje, całą wieś zburzymy z kretesem, zburzymy!...

— Oj starzy, starzy, co wam się tam zdaje! — odezwała się, wychodząc z drugiego pokoju uśmiechnięta porucznikowa. — Czemżebyście to burzyli to wszystko: sami ledwie chodzicie z laskami?...

— Ale proszę pani kapitanowej, jakby on tego... ten... krzywdę... niehonor... to pan Bóg da siły! — wyrzekł prostując się Duszak, cały zarumieniony od gniewu. — Co to jest urazić naszą pannę Julcię? To to najpoczciwsze w świecie stworzenie, tego kanarka naszego i tę naszą prze...

prze... Eh! kiedybo już nie wiem jak to się wygadać — zawołał siadając napowrót i szukając tabakierki w rękawie.

— A wiesz też imość, że ta szlifa nieprawdziwa? — przemówił porucznik.

— Wiedziałam dawno o tem.

— Ale, ale — przerwał Duszak — i tak okpiwać naszego pana kapitana. Wyzwać go, panie kapitanie, co on sobie to myśli, że my nie z kawalerji!?

— I czemużeś mi o tem nie napomknęła rano?

— Bobyś nie wierzył.

— Ha! to radźcie na miłość Boską, bo ja w końcu zwarjuję.

— Ja sobie już poradziłam — odrzekła porucznikowa — napisałam do Wolickiego, że nie pozwolę.

— To to to, to to to — zawołał stary Duszak klaskając w ręce — to będzie honorowo! Bo do czego to podobieństwo, proszę pani kapitanowej, żeby taki ciemięga, i z przeproszeniem wystrugany jakiś, miał brać naszą pannę Julcię? Albo go to tam nie znają, co? — mówił rozgadując się coraz bardziej. — Z karbowym jego byliśmy pozawczoraj na chrzcinach, pani kapitanowo: co on to na niego nie nawygadywał; jak to ludzi morduje, jak to chłopstwem poniewiera, słowa poczciwego nie rzeknie, tylko każdego ma za złodzieja i Bóg wie co jeszcze.

— Ale co się imość pospieszyła, to pospieszyła — odezwał się nie zważając na Duszaka porucznik -- jabym to sam załatwił, bo jużciż odmówić nie mogę: słowo się dało, trudno!

— No, bądź spokojny; major mu nie powie tego, tylko będzie odradzał, a zresztą choćby tak się stało, to żal mi jest dziewczyny. Biedna! aby cię nie martwić, przystała na wszystko; bo młodzi jak gorące mają uczucia, tak i prędkie postanowienia: lecz niepodobna, aby się nie obudził żal, nie nastąpiła rozwaga. Dlatego też rodzice nie powinni nadużywać tej powolności, tej ofiary ze szczęścia swych dzieci. Młodym nie zawsze można wierzyć: zapał minie, a serce zakołacze kiedyś o to, co mu się jeszcze należy. I Julka chociaż ci przyrzekła zrana, i że szczerze mówiła, jestem pewna, jednakże płacze teraz; bo wierz mi Jędrusiu, nie ma boleśniejszego w życiu pożegnania, jak pożegnanie nadziei w przyszłości. Sama myśl o tem już dręczy, a cóż dopiero, gdy przyjdzie chwila, że wszystkie długoletnie a urocze sny, marzenia i żądze, zniknąć muszą na zawsze, nie zostawiając nic a nic strapionemu sercu. Wtedy życie bezbarwne, jednostajne, i to jeszcze życie długie, staje się prawdziwym ciężarem. Obowiązek zawsze będzie przymusowy, nienaturalny, trujący każdą minutę, każdą myśl. Religia, wiara w Opatrzność Boską, uspokoić może; lecz nie każdego,

gdyż człowiek mając potrzeby duchowe, o innych zapomnieć nie jest w stanie. Jedne i drugie dopominają się o swoje prawa, które im ręka Stwórcy naznaczyła; to też obydwom potrzeba zadosyć uczynić.

— Ale słowo moja Zosiu? — przerwał wzruszając ramionami porucznik.

— Eh! proszę cię daj pokój z twojem niedorzecznem słowem! — rzekła oburzona. — Zrobi głupstwo największe, zamorduje szczęście córki, jedynego najlepszego dziecka, sam się zgryzie i drugich przy sobie, a zastawia się słowem honoru! Wierz mi, to tak samo wygląda, jakbyś sobie kazał uszyć mundur ze starej siatki, i chciał się przekonywać i innych, że ci w nim ciepło będzie.

— A ktoby cię tam przegadał moja imość! Ty swoje, ja swoje. Nie tacy, jak waszmość jesteś wyrobili honor, i dobrze im z tem było, rozumiesz! — i ręce za siebie wyciągnąwszy, przysunął się twarzą do niej.

— No, kiedy mi nie wierzysz, kiedy ci się zdaje iż ja tego zrozumieć nie potrafię, to zapytaj Duszaka, starego żołnierza jak i ty, czy nie mam racji.

— Jakże ty Duszak o tem myślisz, hę?

— Ja myślę — odrzekł zagadniony — że i pani kapitanowa dobrze mówi, ale i pan kapitan nie źle.

— A ktoby was tam przekonał! krzyknęła już zniecierpliwiona porucznikowa, wychodząc z pokoju. — Rób sobie co chcesz, ja póki żyję, nie dam Julki i nie dam! Jeszcze chwała Bogu nie jesteśmy zmuszeni sprzedawać własnego dziecka takiemu człowiekowi jak twój marszałkowicz. Ja kocham ją bardzo, ciebie jeszcze bardziej, i właśnie dlatego nie pozwolę!

— No i patrzajno mój Duszaku, co ta kobieta ze mną wyrabia! Djabli wiedzą kto tu mądrzejszy: i ksiądz tak samo mówi, i mnie się tak zdaje, ale po cóż u miljon furbeczek kartaczów, bomb... napisali starzy, że *verbum nobile, debet esse stabile*, hę?

— I ja nie wiem, panie kapitanie.

— Kiedy nie wiesz, to ruszaj sobie z Bogiem.

Stary spuściwszy markotnie głowę, zrobił lewo w tył, i utykając wywlókł się do sieni, nie przemówiwszy nic na swoją obronę. Porucznikowi jakoś żal się zrobiło, iż tak niegrzecznie się obszedł z poczciwym kolegą, przybiegł do okna i zawołał:

— Duszak! Duszak!

— Jestem na rozkazy, panie kapitanie — odezwał się stawając przed oknem, oparłszy obie ręce na lasce.

— Mój poczciwy, nie gniewajno się na mnie; widzisz w takich jestem tarapatach, to nie dziw, że się tam wymknie jakie przykre słówko.

— A gdzież jabym się mógł gniewać, panie kapitanie drogi — wyrzekł ze łzą w oku starowina — markotno mi było trochę, ale do gniewu niech Pan Bóg zachowa i broni...

— No to bywaj zdrów, a przyjdź wcześniej jutro na wartę, to pogawędzimy.

— Wedle rozkazu, dobrze panie kapitanie, dobrze! — I poszedł w miasteczko, pomrukując co chwila, a porucznik zamknąwszy okno, wziął książkę od nabożeństwa do ręki, klęknął przed obrazem matki Boskiej Częstochowskiej, i modlił się głośno, ale tak szczerze, tak gorąco, tak żarliwie, iż pewno wysłuchano tej prośby znękanego przeciwnościami grzesznika. Łza po łzie nabrzmiewała w zamglonych oczach porucznika, staczała się coraz gęściej na książkę, nareszcie zaćmiła wzrok tak dalece, iż nie mógł dopatrzeć liter; zdjął więc okulary, położył na stole, i wlepiwszy wzrok w przecudne Oblicze Bogarodzicy, z pokorą dziecka, głosem wzruszonym płynącym z serca, w wyrazach prostych, jakie mu boleść dyktowała, błagał i błagał o łaskę, o oświecenie umysłu, o natchnienie w tem przedsięwzięciu ustalenia przyszłego losu swej jedynaczki.

VI.

Zostawmy w podobnem smutnem usposobieniu familję porucznika, a podążmy za panią Lińską do Warszawy, gdzie przebywa już od kilku tygodni, pod szczególniejszą opieką przyjaciela naszego komendanta, exkontrolera Rygorskiego.

Jeżeli sobie raczycie przypomnieć łaskawi czytelnicy, pan Tomasz po owej niefortunnej uprawie słoneczników miał obmurować swój ogród aby się raz na zawsze zabezpieczyć od pobożnych napadów sąsiedzkich. Lecz z powodu nieprzewidzianych okoliczności, czy też z braku potrzebnych funduszów, nie był w stanie tego dopełnić, i tylko biadając na złośliwość tamecznego ludu, wziął się na przyszłą wiosnę do uprawy chmielu. Z początku robota szła jak najlepiej: chmiel rozbujał się niesłychanie, w tysiącznych splotach czepiał się po wysokich tykach umyślnie na to przyrządzonych; pan Tomasz zacierał ręce, ile razy z okna swej kolonijki spojrzał na długi zielony szpaler chmielu, ciągnący się z lewej strony ogrodu, bo

zagęszczając się coraz bardziej, utworzył mu naturalny zielony parkan. Lecz biedny ani przeczuwał, iż ten chmiel stanie mu się kiedyś przyczyną największych udręczeń i boleści. Jakoś w połowie lata, szanowny exkontroler oglądając poszczególe każden prawie krzaczek ulubionej rośliny, dostrzegł iż dolne łodygi zaczynają czernieć, i ta zaraza posuwa się coraz wyżej, niszcząc liście wraz z drobnemi zawiązkami owoców. Po ścisłej rewizji i kilkudniowych dociekaniach, przekonał się z największem oburzeniem, iż dzieci wiejskie, korzystając z utworzonej naturalnym spadkiem gałązek altany, założyły tam sobie siedlisko zabawy, i kopiąc sztuczne ogródki, podcinały korzenie. Tego już nie mógł przenieść spokojnie niefortunny nasz ogrodnik: zmartwiwszy się, zirytowawszy, dostał gwałtownej gorączki i zachorował niebezpiecznie. Poczciwa Urszulka dowiedziawszy się o tem, pomimo słotnej pory, prawie na skrzydłach zleciała do kolonji. Siedząc po całych nocach przy chorym, i martwiąc się niebezpieczeństwem długo trwałej niemocy kochanego męża, tak dalece nadwerężyła już styrane wiekiem zdrowie, że gdy podniósł się pan Tomasz, ona zajęła jego miejsce na łożu boleści. Wszystkie starania lekarzy, konsylja, leki, synapizma i inne gwałtowne a ostateczne środki, okazały się bez skutku. Choroba z nieprzepartą siłą wzrastała co

dzień, co godzina, co chwila, i szóstego dnia swego cierpienia, pani Urszula Rygorska oddała Bogu ducha na rękach strapionego małżonka. Cios był za zbyt silny, aby nie wywarł odpowiedniego wrażenia w duszy poczciwego starowiny. Odtąd znikło dla niego szczęście, znikł uśmiech serdecznej wesołości na ustach, życie straciło barwę jakiejbądź przyjemności; zgarbił się, postarzał o jakie lat dziesięć, a tylko modlił się i modlił po całych dniach, zaniedbawszy wszystkie dawniejsze zajęcia i obowiązki. W tydzień po pogrzebie swej przyjaciółki, sprzedał kolonję, przeprowadził się do Warszawy, i odwiedzając kościoły, sypiąc jałmużny, płakał po całych nocach nie mogąc zagoić ran serca, zbyt dotkliwie zadanych ręką nieubłaganej śmierci. Co rano, odmówiwszy potrojone teraz modlitwy, zaglądał do pokoju żony, wysuwał szuflady komód, otwierał szafy, przeglądał wszystkie suknie i sprzęty nieboszczki, oczyszczał, całował, płakał, i układał napowrót. O godzinie dziewiątej z rana, można go było widzieć zawsze z ogromną krepą na kapeluszu, z białą tasiemką u kołnierza i klap wytartego surduta, ze starą posmoloną książką pod pachą, i wyglądającemi z niej okularami, zdążającego ku kościołowi Panny Marji na Nowem Mieście. Pochylony starowina, z oczami nabrzękłemi od płaczu, podpierając się trzcinową laską, toczył się zwolna nie widząc nikogo,

nie słysząc huku przejeżdżających; i żeby podniósł głowę dla przywitania się ze znajomym, trzeba było po kilka razy wołać na niego. Z kościoła wychodził ostatni, nie zaglądał już do Jakóba rzeźnika, lecz toczył się ku Franciszkanom, ztamtąd ku Bernardynom, kończył zaś na Kapucynach. Przechodząc koło teatru, ani spojrzał na fury z drzewem stojące, a gdy czasami który z chłopków zaczepił go, pokazując gładziutki kloc drzewa, uśmiechał się boleśnie mówiąc:

— Mój przyjacielu, nie mam dla kogo kupować, żona mi umarła biedaczka mości dobrodzieju, a ja nie potrzebuję drzewa chyba na trumnę.

Po południu dopiero brał się do regestrów, lecz nie prowadził nowych, a przeglądał tylko dawniejsze: wypisywał wszystkie wydatki na potrzeby Urszulki, obliczał, unosił się nad ich małością, i płakał. Stosy listów od przyjaciół z prowincji leżało nierozpieczętowanych, stary martwił się tem bardzo, lecz nie był zdolny do ich czytania.

Otóż takiem życiem przeżył lat dwa, nim bolesna strata mogła się zatrzeć nieco w jego myśli, i wrócić mu jeżeli nie zupełną swobodę, to pewną umiarkowaną spokojność, do której wzdychał od tak dawna. Powynajdywał sobie zajęcia interesami znajomych, deptał po biurach, szukał, nudził, a w domu spisywał znowu drobne wydatki, robił nad dawniejszemi niejakie komentarze, go-

tował obrony, prośby, korespondencje wypływające z licznych procesów, które bez żadnego wynagrodzenia, ot tak z dobrej woli najusilniej popierał. Wszyscy adwokaci, mecenasi, rejenci i komornicy, znali go jak stary szeląg i bali go się niezmiernie, pan Tomasz albowiem póty chodził, póty prosił, upominał, że musiał w końcu otrzymać należny skutek. Kiedyś, nim jeszcze wstąpił do służby skarbowej, przechodził przez niższe stopnie sądownicze; prawo więc znał lepiej jak na palcach, i obznajomiony był z najdrobniejszemi formułkami postępowania. Niechno więc który z adwokatów lub jego pisarzy, chcąc go się pozbyć, narzucił jaką kwestję niewłaściwą w pokładanych przezeń dowodach, to zaraz pan Tomasz występował z całym zasobem swych wiadomości prawniczych; tłumaczył, dowodził, przekonywał z takim zapałem iż niepodobna było mu przerwać i uniknąć podobnej dysputy. Musiał skończyć co zaczął, trzymając często bardzo wedle zwyczaju za guzik słuchającego. Przytem nasuwały mu się w pamięci inne procesa, które sam przeprowadził, albo o których słyszał lub czytał kiedyś; rozpowiadał więc najdrobniejsze onych szczegóły, dość, że jak się pokazał pan Tomasz w kancelarji panów rejentów lub adwokatów, wszyscy na wyścigi biegli zadość uczynić jego żądaniom, aby go się pozbyć jak najprędzej.

Teraz pomówmy nieco o jedynaku naszego ex-kontrolera, którego widzieliśmy przed kilku laty uczniem, a teraz dorosłym już młodzieńcem, to jest o panu Juljuszu Rygorskim. Byłto sobie wcale przystojny i wysmukły brunecik: rumiany, z czarnem okiem, okrągłą, dość regularną twarzyczką, ubrany modnie, zawsze wyświeżony, uśmiechnięty, zwracał czasami uwagę płci pięknej, gdy w niedzielę po mszy, przechadzając się pompatycznie w Saskim ogrodzie, i zasadziwszy na nos ostatniej mody lornetkę, przypatrywał się dość natrętnie siedzącym w głównej alei kobietom. Stary pan ojciec, widząc w nim najżywszy portrecik nieboszczki Urszuli, jakoś przez szpary patrzał na wykwintny ubiór synalka, płacił dość znaczne kwoty krawcom, szewcom i innym rzemieślnikom, bo jakże mógł odmawiać tak drobnych przyjemnostek jedynemu dziecięciu. Czasami tylko, gdy wpisując miesięczne wydatki do wielkiej księgi, dostrzegł ich ogrom, wołał syna, kazał mu czytać, dodawać pojedyńcze pozycje i skrobiąc się w głowę napominał:

— Mój ty kawalerze, coś jakoś mi zanadto wydajesz: patrzajno, 50 złp. 60, 120 to źle, niedługo kolonijka pójdzie z wiatrem mości dobrodzieju!

— Ależ proszę ojca, w tej Warszawie tak wszystko drogie, że ja ile możności się ograni-

czam: lecz znowu niepodobna chodzić obdartym. Bywam w tylu porządnych domach, iż doprawdy nieraz wstydzić się muszę mego ubioru!

— To zbytki mości dobrodzieju, zbytki! stroje w głowie nic więcej! Chodzisz jak hrabia jaki mój kawalerze, i jeszcze ci mało? ja, mości dobrodzieju, gdy byłem młody i dorabiałem się kawałka chleba, jedna licha surducina na trzy lata posłużyła; a tu na wiosnę inne, na lato inne, na jesień inne, straszne rzeczy mój kawalerze!

— Proszę kochanego ojca, takie czasy teraz: ja przecież odróżniać się nie mogę; co to same cygara kosztują np.

— A boteżto zbytek, jakiego świat nie widział, mości dobrodzieju, z ust komin robić i jeszcze za to przepłacać! Albo naprzykład ten teatr; zaraz do krzeseł, jakbyto z galerji nie można się tak samo przypatrzyć...

— Proszę ojca jabym się spalił od wstydu — odpowiedział uśmiechając się litośnie pan Juljusz — gdyby mię spostrzegła która z pań w loży siedząca.

— No, no — odrzekł kiwając głową pan Tomasz — jacy wy to panowie teraz, a za moich czasów nieboszczyk ksiądz Staszyc, choć to miljony zostawił, zawsze chodził na paradyz i dobrze mu było mości dobrodzieju!

— I jabym poszedł — przemówił synek — gdybym był Staszycem...

— Więceś ty lepszy od niego, co? — zawołał gniewnie emeryt.

— Nie, mój ojcze, tylko o nim każdy wiedział, że mógłby dziesięć lóż zapłacić, gdyby zechciał, a ja co innego.

— Pięknie mój kawalerze, jak widzę, chcesz świat okpiwać blichtrem?! nie bój się kochanku: wiedzą sąsiedzi jak kto siedzi mości dobrodzieju: choćbyś ty wlazł i przed orkiestrę, to zawsze będziesz aplikantem i synem urzędnika!

— Ja przecież tego się nie wypieram mój ojcze, lecz wolę raz w miesiąc iść do krzeseł, niż 3 lub 4 na galerję; bo pewnobyś sam tego nie zniósł, gdyby wyśmiewano twego syna.

— Jeźli z tego tylko mieliby cię wyśmiewać mój kawalerze, słowa bym nie powiedział; bieda uczciwa więcej warta, niż nadęta a pozorna pańskość. Znasz tę bajeczkę o żabie, coto chciała sprostać wołowi? pękła biedaczka, i pękła żabą!

Pan Juljusz trochę się zasmucił słysząc podobnie wyrzekającego ojca, zrobił minę studenta, którego złapano na gorącym uczynku swawoli, i już, już o mało co, że się nie rozbeczał; lecz stary widząc to upokorzenie, przyciągnął go za rękę, pocałował w czoło i mówił łagodniej:

— Bo to widzisz mój Juleczku kochany, ja pa-

trzę i patrzę mości dobrodzieju, a niby nie widzę; ale jak się zbierze tego za wiele, to i powiem prawdę! Nie smuć się tedy, a popraw się kawalerze, żeby stary ojciec nie miał powodów do takich umartwień i łajań, które i jego nie mało zdrowia kosztują!

I uściskawszy go serdecznie, udobruchał się pan Tomasz, a synek obtarłszy oczy, przedsięwziął sobie postępować już odtąd zgodnie z życzeniem ojca. Lecz nazajutrz spotkał się z kolegą, ten go zaprosił na preferansa do siebie; grano po 5 groszy punkt: on nie grał zbyt wprawnie, ale nie śmiał się wymówić, i znowu kilka rubelków pękło, na rachunek poczciwego kontrolera.

Póki żyła matka, poczciwa bogobojna choć prosta sobie niewiasta, krok za krokiem śledziła postępowanie jedynaka, i kierowała nim według swego widzenia rzeczy; lecz po jej śmierci, gdy ojciec dręczony smutkiem, całe dnie przepędzał we łzach i na modlitwie; pan Juljusz świeżo ukończywszy szkoły, powoli wchodził w świat, zabierał znajomości, i z największą łatwością przejmował obyczaje, zwyczaje i ton, nowo-nabytych kolegów i przyjaciół.

— Przystojny, zawsze pięknie ubrany przytem nie bez grosza, niedziw, że prędko znalazł przyjaciół, którzy go wprowadzali między swoich krewnych i w te domy, do których sami uczęszczali.

Życie uśmiechało się dwudziesto dwu letniemu Juljuszowi, wszystko bawiło go swą nowością; tańce, gry, teatr, bilardy i t. p. przyczyniały się do rozwinięcia, niejakiej próżności i zarozumienia.

Jednakże po kilku miesiącach takiego życia, zauważył nasz bohater, iż nie takto łatwo jak się zdaje zostać lwem salonowym. Na to potrzeba dużo czasu, więcej doświadczenia, a zawsze prawie trochę nauki i dowcipu; pan Juljan zaś prócz ładnej powierzchowności, wytwornych sukien, zręcznego tańca i patentu szkolnego, nie mógł nic więcej złożyć w ofierze towarzystwom, do których wszedł z gorącem życzeniem zrobienia wielkiej furory. Za to całym zapałem szkolnej wymowy, powstawał na czczość, chłód i etykietę dzisiejszych zabaw: dowodził jak to być powinno, o czemto mają mówić, jak czas przepędzać; ma się rozumieć, takie rozprawy miały miejsce w gronie dobranej młodzieży pośród błękitnej atmosfery dymu dwunasto-groszowych cygar. Tymczasem, w salonie jakoś przymiot retoryczny ginął, słów brakło na oddanie myśli, a tylko siedząc jak trusia w kąciku, czerwienił się po same uszy na każdą zaczepkę kobiet, poprawiał nieustannie to włosy, to kołnierzyki, to krawacik na szyi, to rękawiczki. oczekując jak zmiłowania Bożego tańców, w których celował, szczególniej przy skręcaniu w lewo, i tupaniu w mazurze.

O trzech tylko poważnych przedmiotach umiał rozprawiać gładko, z zajęciem, pokładając się od śmiechu przed każdem słowem; to jest, o figlach szkolnych: cygarach, które znał od 2-złotowych aż do 4-ro groszowych; i o modach męzkich: bo codziennie chodził umyślnie koło okien krawców dla obejrzenia świeżo wystawionych rycin z dzienników paryzkich. Największem dla niego nieszczęściem i przyczyną częstych bezsenności był dość mocny rumieniec twarzy, i przysłowie m o-ś c i d o b r o d z i e j u, do którego przywykł, słuchając przez lat tyle szanownego ojca, pana Tomasza. Bóg wie coby nie dał za to, aby mieć twarz bladą, interesującą, jako charakterystyczną oznakę arystokracji. Co chwila przesuwał się przed zwierciadłem, spoglądał weń ukradkiem, a zobaczywszy ogniste rumieńce zachodzące po same oczy na obu policzkach, krzywił się najniesmaczniej i zakrywał twarz dłonią, udając, że niby cierpi na zęby. Zresztą byłto sobie poczciwy chłopaczek, z dobrem sercem: przyjacielski, usłużny, nieoprys-kliwy, choć troche zarozumiały, porządny; taki, jakich co krok można spotkać po znaczniejszych ulicach Warszawy, zwłaszcza w dzień słotny, admirujących zgrabniutkie nóżki kobiet, w lecie pijących niby wody w Saskim ogrodzie, w salonach stojących sztywnie po kątach, lub za piecami grających w preferansa; którzy kilka razy na godzinę

wychodzą do kuchni zaciągnąć się papierosem, z niemałą ciekawością oglądają modne guziczki u kamizelek kolegów, i w gronie mniej znanych mężczyzn sypią tylko dziesiątkami, setkami, a czasem i tysiącami rubli.

Każdy z tych, w ustach dorożkarzy, JW. panów, nazywa wszystkie panny po imieniu, wie gdzie która mieszka, jaką ma wadę, jaki kapelusz, ile ma posagu, kto był jej dziadem; w którym magazynie lub kawiarni są ładne blondynki lub brunetki; słowem, obznajomiony jest ze wszystkiemi szczegółami różnych, przeróżnych ploteczek, tajemnic poczciwej Warszawy, z których wszelako prócz wiadomości, nie umie jeszcze innych wyciągnąć korzyści.

Byłoby tu o nich wiele jeszcze do powiodzenia, lecz odłóżmy to na kiedy indziej, a teraz zajrzyjmy do hotelu Litewskiego, gdzie ulokowały się nasze dawniej znajome panie Lińskie zaraz po swoim przyjeździe.

Godzina 10 zrana, mama i panny ubrane już do wyjścia, chodzą czegoś niespokojnie po pokoju, mama robi jeszcze pończochę, a dziewczęta niecierpliwie zaglądają do okien, zdając się kogoś oczekiwać.

— Ah! jaki nieznośny ten pan Juljusz — odezwała się młodsza — mamy tyle sprawunków do załatwienia, a on nie przychodzi.

— Prawda — odezwała się Helenka — lecz musi być w biurze, zkąd nie bardzo można wychodzić...

— Ty zawsze trzymasz jego stronę — przerwała zadąsana Bronisia — a ja ci jeszcze raz powtórzę, że nieznośny! Co to, żeby na kogo czekać od kwadransa? ja nie mam kapelusza, mamie burnusa brakuje...

— Wcale niegrzeczny — dorzuciła matka nie spuszczając oka z roboty — myśli sobie, że nam wielką łaskę wyświadcza i tak się zaniedbuje. Chciałam poszukać metra do śpiewu, przyobiecał zaprowadzić mię do jakiejś tam imości, a tu fortepian od trzech dni już zniesiony, od którego muszę płacić 40 złotych miesięcznie!? Jak uważam, dzisiejsza młodzież bardzo się negliżuje; muszę mu to powiedzieć, bo jeżeli tak dalej myśli z nami postępować, adieu paniczu, znajdziemy dziesięciu na twoje miejsce.

— Idą, idą z ojcem! — zawołała stojąca przy oknie Helenka.

— Ach! i ten stary nudziarz, po co on tak często się włóczy? ja jego usług nie potrzebuję — mówiła mama.

— Przecież miał zająć się paszportem — rzekła Helenka.

— I przysłać nam szklanek — dodała Bronisia.

— Ah prawda, i obiady tanie wynaleźć — dokończyła matka.

Wtem otwarły się drzwi do pokoju; stary Rygorski zgarbiony, kończąc jeszcze zażywanie ta-

baki, wszedł dosyć powoli, postawił laskę w kącie, odkrząknął, splunął zasłaniając się ręką, i zbliżył się do ucałowania rączki pani Ludwikowej. Za nim wbiegł pan Juljusz trzymając chustkę przy ustach, bo czuł, że rumieńce posuwają mu się ku oczom.

— Jakżeto można tak się spóźniać! — odezwały się wszystkie trzy prawie równocześnie robiąc niesmaczne grymasy.

— Ale boto, pani dobrodziejko, z tym paszportem nie mogę trafić do końca — zawołał pan Tomasz — koniecznie chcą, aby sama pani dobrodziejka pofatygowała się do cyrkułu.

— Co znowu? jaka impertynencja! — krzyknęła mama, kładąc robótkę na stole.

— Nic nie pomoże pani dobrodziejko — odparł emeryt — komisarz tego wymaga.

— Ale ja nie pójdę! Co on sobie to myśli, że ma do czynienia z jaką tam kupczychą? tylko pójdę do hrabiny K. a ona powie mężowi, który tu ma wielkie znaczenie, on go nauczy, jak to się postępuje z takiemi, jak my kobietami.

— Co to pomoże, proszę pani dobrodziejki: skoro idzie o odebranie z poczty pieniędzy, on musi, mości dobrodzieju, poświadczyć tożsamość osoby. Oho, znam ja te przepisy, pani dobrodziejko, na palcach — mówił dalej, siadając na krześle — ile razy odbieram emeryturę dla mo-

ich kolegów, mieszkających na prowincji, tyle się nachodzę, nadeptam... ot, i przed dwoma tygodniami, pisze do mnie Gopliński, mości dobrodzieju, żeby mu...

— A miał nam pan szklanek przysłać? — przerwała niegrzecznie Bronisia — nie mamy czem napić się wody.

— Jakto, czy nie przyniosła służąca?

— Nie przyniosła.

— A to dopiero nicpoń dziewczyna, mości dobrodzieju! Ja sam upakowałem sześć... wszak tyle żądała pani dobrodziejka?

— Tak, o sześć prosiłyśmy.

— No, to ja też sześć kazałem tu przynieść. Otóż widzi pani dobrodziejka, jaki to tu lud, mości dobrodzieju! Oho! znam ja ich na wylot; miałemci ja kolonję za Pragą, gospodarzyłem przez 4 lata, to się napatrzyłem dosyć; wszystko tylko zepsuć, ściąć, zerwać, pokrajać, pani dobrodziejko. Raz posiałem słoneczniki, ale jakie słoneczniki! — prawdziwie amerykańskie; bo to widzi pani dobrodziejka, jestem wielkim amatorem ogrodnictwa. U mnie Strumiłło przedewszystkiem... Za pozwoleniem, zna pani dobrodziejka Ogrody północne Strumiłły?

— Jakże z obiadami? — przerwała biorąc za klamkę pani Ludwikowa — znalazłeś pan!

— Mam, pani dobrodziejko, zamówiłem trzy bardzo porządne; my z Juljuszem tam jadamy.

— Ja myślę — odezwała się pani Ludwikowa spoglądając znacząco na Bronisię — że to zawiele na nas trzy obiady.

— I mnie się tak zdaje — odpowiedziała też zwracając się do Helenki.

— Dwa aż nadto — rzekła ostatnia połykając ślinkę — my tak mało jadamy.

— Ależ i służącę mają panie dobrodziejki.

— To i tak aż nadto wystarczy: panienki nie powinny dużo jadać, zwłaszcza przy śpiewie. Ale po czemuż, proszę pana?

Po trzy złote, pani dobrodziejko.

— Kto wie czyto nie drogo? — zapytała mama, znowu przesyłając córkom podobne spojrzenie.

— O za drogo! za drogo! — dokończyły obie.

— Przecież tu muszą być tańsze restauracje, w których pewno daleko smaczniej gotują; przyznam się panu, nie lubię tych wymęczonych potraw: żeby to coś gospodarskiego?

— To chyba łaskawa pani dobrodziejko z Pod Konika! Ja tam jadałem dawniej, kiedym jeszcze aplikował, mości dobrodzieju. Och! wtedy to krucho było z człowiekiem; jak się dorwal owego talerza rosołu, zmiatał też, zmiatał. Ale teraz, pozwoli sobie pani dobrodziejka powiedzieć, to jakoś dobrze nie wygląda; mężczyznom ujdzie, boć to pamiętam w roku... w roku... a niechże cię kaduk porwie, mości dobrodzieju, w roku... — po-

wtarzał, drapiąc się w głowę pan Tomasz, trzymając frędzlę mantylki pani Ludwikowej, i szarpiąc nią w miarę owego roku — roku... 23 mości dobrodzieju! — zawołał, urwawszy jeden bąbelek.

— Cóż pan robisz u Boga, podrzesz mi mantylkę — przemówiła spojrzawszy groźnie pani Ludwikowa, otwierając drzwi.

— Ach przepraszam mocno łaskawą panią dobrodziejkę; daruj ot staremu, takie już mam przyzwyczajenie — sumitował się klaniając nisko exkontroler.

— Ale po czemuż obiad pod tym Osiołkiem? — zapytała, tupiąc nóżkami z niecierpliwości panna Bronisława.

— Przepraszam panią dobrodziejkę, bo to Pod Konikiem.

— Niech będzie pod czem chce — mówiła dalej rubasznie — tylko po czemu?

— Po 25 groszy.

— A to musi być prawdziwie po gospodarsku! — odezwała się radośnie sama pani. — Prosimy o dwa obiady dzisiaj, jeśli pan łaskaw, bardzo prosimy.

I ruszyli wszyscy z pokoju, upominając sługę, aby się nigdzie nie oddalała. Helenka pobiegła naprzód z panem Juljuszem, Bronisia z matką schodziły wolniej, a stary emeryt macając laską ciemne schody, stąpał powoli mrucząc do siebie: „to mi oszczędna, mości dobrodzieju, a nie służyła w kontroli! Dobrze, dobrze, zrobi majątek,

Trzebaby mojego Juljusza do niej na naukę, och trzebaby!“

— Najprzód pójdźmy do magazynu po kapelusze i odbierzemy uszyte już kaftaniki — zagaiła pani Ludwikowa, gdy stanęli przed hotelem — potem panie Juljuszu zaprowadzisz nas do tej śpiewaczki.

— Dobrze, pani — odrzekł już rumieniąc się młodzieniec.

Po ulicach mnóstwo uwijalo się osób, więc ciągle krzywiła się pani Ludwikowa, że ją potrącają niegrzecznie; szla powoli, panny prędzej, a tym sposobem gubiły się co kilka kroków, stawały, oglądały, daleko tam jedna od drugiej. Ponieważ panny były wcale przystojne, niejeden elegant zajrzał im w oczy, przystanął, popatrzyl się trochę za niemi, a pan Juljusz rósł i rósł uszczęśliwiony takim zaszczytem, iż prowadzi tyle piękne panienki; każdemu ze znajomych kłaniał się niżej jak zwykle, krząkał z miną szczęśliwca mijając przyjaciół, nachylał się często ku pannie Helenie z uśmiechem do pozazdroszczenia.

— Ach dobrze, że też pana spotykam — przemówiła pani Ludwikowa, zaczepiając jakiegoś młodego mężczyznę, który jej się ukłonił — jakże się pan miewa?

I zastanowili się wszyscy na trotuarze, otoczyli nowoznalezionego, dopytując o różnych znajomych, i zapraszając do siebie na herbatkę.

— Ale, ale, ma pan dużo czasu?

— Na usługi pani aż zanadto — odparł grzecznie młody człowiek.

— Tobyśmy też prosiły, czyby pan nie był tak dobry i nie dał do oprawy tej oto książki; pan to zna wszystkie sklepy, więc spodziewamy się lepiej to i taniej od nas uskuteczniisz.

— Młody człowiek skrzywił się trochę, lecz nie okazując widocznej niechęci, przyjął polecenie i pożegnał nasze kobiety, obiecując stawić się wieczorem.

— Niech pan będzie łaskaw, bardzo prosimy, bo my tam znajdziemy jeszcze maleńką prośbę do pana.

Uszedłszy kilka kroków, spotykają jakąś damę; znowu stają, i powtarza się ta sama, co wyżej, scena komisowa, tylko w innym rodzaju. Dalej biegnie jakiś piękny wyżełek angielski, wszystkie trzy unoszą się nad jego zgrabnością kształtów, a mama obracając się do młodego Rygorskiego mówi:

— Proszę pana, czy nie możnaby tu gdzie nabyć takiego ładnego pieska?

— Trudno tu o to — odpowiedział śmielej jak zwykle pan Juljusz — drogo kosztują, chyba — dodał żartobliwie — trzebaby ukraść.

— Ażeby to pan był tak dobry, bardzo byłabym mu wdzięczna — przemówiła niesłyszawszy zapewne ostatnich słów jego.

— Z największą chęcią — wyrzekł machinalnie młodzieniec cały zarumieniony, i wysunął się

ku pannom, zostawując ojcu honorowe miejsce przy mamie dobrodziejce.

Nie będę tu opisywał szczegółowo targów po sklepach, oglądań, przymierzań ze zwyklem wyrażeniem: „że u nas na prowincji daleko taniej takie rzeczy kosztują“, bo znając po części charakter naszych bohaterek, można się tego wszystkiego domyślić. To tylko nadmienię, iż obeszły piętnaście sklepów i nie znalazły w nich żądanych kapeluszy: wszędzie przymierzały co tylko było w magazynie, rozprawiały jak to być powinno, a odbierając owe kaftaniki, impertynencko zarzuciły modniarce, że pluszu na obszycie daleko mniej wyszlo, niż one go zakupiły dając do roboty. Stary Rygorski jakoś wkrótce im zemknął po zamówione obiady, a pan Juljusz, pomimo całej dla nich przychylności, zżymał się co chwila, iż podobne kompromitacje spotykają go po sklepach, gdzie miał nadzieję kiedyś porobić znajomości z pracującemi tam dziewczętami.

Nareszcie po kilkogodzinnej takiej uciążliwej podróży, weszli do mieszkania owej artystki trudniącej się udzielaniem lekcji śpiewu. Po odbyciu wstępnych przedstawień i grzeczności, po obejrzeniu najdrobniejszych sprzęcików mieszkania, pani Ludwikowa poprosiła o zaśpiewanie jakiego wyjątku ze znanych oper.

Artystka ta, kobieta młoda jeszcze, słynęła podówczas w Warszawie z pięknego głosu i praw-

dziwego zamiłowania sztuki. Usłyszawszy więc podobną prośbę, zarumieniła się nieco, przygryzła nieznacznie usta, lecz ulegając konieczności losu, który podobno nie bardzo łaskawie uśmiecha się naszym artystom i artystkom, z bolem serca usiadla do fortepianu i dobrawszy właściwy akord, dźwięcznym głosikiem, z całą metodyczną znajomością śpiewu, zaczęła prześliczną arję z Łucji z Lamermooru. Z początku jeszcze, pod wpływem przykrego niezadowolenia, głos jej drżał nieco wibrując tęskliwie; lecz przy drugiej zwrotce w miarę głębszego zatapiania się myślą w tem arcydziele, odzyskiwał dźwięk sobie właściwy, a przy końcu, rozwinął się z nieporównaną siłą harmonji, czucia i wdzięku. Gdyby to miało miejsce gdzie na publicznym koncercie, grzmotami oklasków dziękowanoby znakomitej śpiewaczce; lecz nasze miłośniczki sztuki nie znalazły dla niej tyle pobłażania, żeby przynajmniej cierpliwie dosłuchały końca: bo niezważając na śpiewaczkę, która zdawała się skupiać wszystką moc swego talentu na oddanie tej arji, zaczęły rozmawiać między sobą, z początku ciszej, potem coraz głośniej, a w końcu śmiały się do rozpuku, pokazując sobie nawzajem jakąś komiczną scenę, przedstawioną na obrazku wiszącym nad fortepianem.

Skończyła młoda kobieta i powstając, niespokojnem okiem rzuciła na słuchające, zdając się

szukać na ich twarzach odbicia własnych uczuć i wrażeń. Lecz spostrzegłszy śmiejące się oczka panienek, westchnęła żałośnie, dziękując bez myśli za garstkę chłodnych komplementów, rzuconych z litości i ze zwyczaju.

— I cóż pani żądasz za godzinę? — zapytała powstając pani Ludwikowa.

— Płacą mi zwykle po rublu — odpowiedziała rumieniąc się artystka.

— Oh! zadrogo moja pani.

— Jużto zwyczajnie tak płacą w Warszawie: ale też za to dołożę usilnych starań, aby panny skorzystały prawdziwie. Niewiele mam lekcyj, mogę nie zważać na godziny i dłużej przysiedzieć — mówiła spoglądając bojaźliwie na panią Lińską, a obaczywszy, że ta porusza coś głową niechętnie i zabiera się do wyjścia, postąpiła ku niej dość żywo, dodając: To już za 5 złotych przystaję, bo mam oto chorą od kilku miesięcy matkę, która potrzebuje i lekarza i lekarstw i wygód, więc wspomagając mnie, dopomożesz pani i jej zarazem!

— A! moja pani i ja mam córki, które potrzebują edukacji; zresztą zobaczę.... namyślę się w domu — rzekła najobojętniej w świecie pani Ludwikowa. — Żegnam więc panią, jutro uwiadomię ją o mojem postanowieniu.

Wróciwszy do siebie, zaczęła istotnie rozmyślać, ale bynajmniej nie o śpiewie, tylko o cenie,

i niedługo stanowczo zdecydowała, iż pani ta śpiewa niewyraźnie, tak, że słów zrozumieć niepodobna, a zatem lekcji jej córkom udzielać nie może. Tymczasem przebiegając pamięcią różnych znajomych sobie artystów, wynalazła jednego z nich należącego wtenczas do składu opery warszawskiej i tego dnia zaraz, poprosiła go do siebie w nadziei, iż tenże przez wdzięczność za niesioną sobie pomoc przed dziesięcią laty w urządzeniu dlań koncertu na prowincji, będzie łaskawszym na jej biedną kieszeń. Lecz tą razą protegowany kiedyś artysta omylił jej rachuby i stanowczo zażądał daleko wyższej zapłaty, niż jego poprzedniczka. Oburzenie pani Ludwikowej nie umiało się powstrzymać, i z całą goryczą powiedziała odchodzącemu:

— Przyznam się panu, wcale innej spodziewałam się po nim wdzięczności za te nasze trudy i starania, jakie podejmowaliśmy z mężem przy wystąpieniu jego w mieście N. Otóż tak wspomagać artystów! — to zapłata!

— O ile mogę sobie przypomnieć — wyrzekł obrażony artysta — cała ich łaska ograniczyła się na dwóch szklankach herbaty, które mąż pani gwałtem mi do rąk wpakował; żeby więc nie zostawać dłużnikiem moim dobrodziejom, składam tu złotych polskich dwa, które mam nadzieję z procentem opłacą sowitą ich łaskę! — I po tych słowach ukłoniwszy się zdumionej pani Ludwikowej, wyszedł z pokoju.

Można sobie wystawić jej gniew i oburzenie po takiej odpowiedzi kiedyś protegowanego artysty, zwłaszcza, iż to miało miejsce w obecności dwóch młodych elegantów wielkiego świata. Lecz trudna rada, trzeba było połknąć tę smaczną pigułkę, bo zabrakło męża, lub innego z bohaterską odwagą mężczyzny, którzyby zaszczytnie pomścili tę zniewagę. Pani Ludwikowa ograniczyła się tą razą silnym bolem głowy z tysiącznemi wyrzutami niewdzięczności. Ale po całodziennej chorobie, trzeba było znowu poszukać nauczyciela; szczęściem pan Tomasz znał jakiegoś dawnego kapelmistrza, sprowadzil go nazajutrz, i ponieważ tańszym się okazał od poprzedzających, stanęła z nim ugoda i lekcje się rozpoczęły.

Codziennie między 9. a 11. godziną zrana, mieszkańcy sąsiednich pokojów zmuszeni byli wychodzić na przechadzkę, gdyż tak miłe dolatywały ich dźwięki piszczących głosików naszych artystek, iż zdawało im się, iż lada chwila pociąg kolei żelaznej ma się zatrzymać na podwórcu hotelowym. Stary kapelmistrz, mantyk co się zowie, założywszy na nos potężne okulary, zwitkiem nut wybijał takt, tupał nogami, trząsł się, czerwienił z gniewu, gdy która z dziewcząt wzięła fałszywie, i kilka razy nawet zamierzał już pociągnąć za ucho nieposłuszną, lecz namacawszy ręką piękne nioby, wkrótce się mitygował, i poprzestawał na głośnem splunięciu.

Z początku pani Ludwikowa cieszyła się niewymownie tą gorliwością nauczyciela, lecz gdy przez ośm lekcyj słyszała tylko gammy i gammy, znudziła się już monotonnością powtarzanych treli i odezwała się do wychodzącego kapelmistrza:

— Proszę pana; czyby to już nie było dosyć tych ćwiczeń?

— Jakich, łaskawa pani?

— Tych, a, a, a, a....

— Ale gdzie tam — odrzekł machając ręką stary — to grunt nauki, trzeba wszystkie przejść od a, do z.

— Ja myślę, że tyle się już wprawiły, iż potrafią zaśpiewać jaką aryjkę.

— Za pół roku, łaskawa pani, za pół roku to może, ale teraz trzeba przejść 27 numerów, a my jesteśmy na 5 dopiero.

— Eh! to ja dziękuję panu za taką naukę — rzekła pani Ludwikowa kręcąc naiwnie głową — pół roku na gammy!? pierwszy raz o tem słyszę: w pułku może to jest koniecznem, ale dla moich córek, którem sama uczyła muzyki....

— Za pozwoleniem mojej łaskawej pani — zawołał stary biorąc ją za rękę — jeżeli to sama pani je uczyła, to daruj mi gdy prawdę powiem, iż wcale nut nie znają.

— Co znowu pan mówisz, jaki impertynent?!

— Nie impertynent, moja łaskawa pani, tylko człowiek, który zjadł na tem zęby, i zna muzykę

wybornie; ja inaczej uczyć nie umiem. Przytem panny wcale nie mają głosu — szkoda czasu i atłasu. Upadam do nóżek mojej łaskawej pani, upadam, i wziąwszy kapelusz, laskę i nuty, wyszedł szybko z pokoju.

— Ależ panie, panie — wołała oknem mama — proszę się wrócić.

— Po co? — odezwał się patrząc w górę nauczyciel.

— Muszę panu zapłacić za ośm lekcyj.

— Niepotrzeba, schowaj sobie łaskawa pani dla innego; ja nie biorę pieniędzy, jak nic nie nauczę, a żebym dwa lata tu chodził, tak samoby było. Komu Bóg nie dał głosu, ja go nie dorobię!

Tym sposobem znowu panny Lińskie zostały bez nauczyciela. Jednakże roztropną mameczkę wcale nie zraziły te niefortunne początki edukacji, bo zaraz na wieczór sprosiła naszych znajomych Rygorskich, i rozwodząc szeroko swe żale, prosiła o pomoc w wynalezieniu nowego nauczyciela.

Stary emeryt tarł czuprynę szukając w myśli kogoby nastręczyć, lecz przebiegając wszystkich znajomych, nie mógł natrafić na żadnego, któryby odpowiedział licznym wymaganiom naszych parafjanek. Poczciwy emeryt stosując się do prośby swego przyjaciela komendanta, pomimo tysiącznych niegrzeczności, jakie go co krok spotykały, pomimo nieustannych wymagań, posyłek, intere-

sów, któremi go zarzucały niedyskretne kobiety. nie mógł, a raczej nie śmiał uwolnić się od ich opieki, i sapiąc, mrucząc, a czasem i narzekając, ciągnął dalej ów ciężki wózek, do którego się zaprzągł w imię dawnej przyjaźni. Nieraz aż litość brała, patrząc na tego poczciwego starca, biegnącego ulicą i obładowanego różnemi a przeróżnemi paczkami; pot kroplisty występował mu na czoło, nogi drżały od utrudzenia, a cała poczciwa twarz wyrażała pośpiech połączony z bojaźnią, czy się tam nie spóźni i nie zasłuży na jaką wymówkę. Przyszedł wieczór, już pan Tomasz siedzi w pokoju swych tyranek, gniecie w rękach szklaneczkę mętnej herbaty, przegryza suchą zczerstwiałą bułkę, i gada a gada o swoich różnych wypadkach biurowego życia, starając się ile możności zabawiać, aby mu nie zarzucono, iż nie umiał wywiązać się godnie z włożonego nań obowiązku. Panie Lińskie tak samo jak i u siebie w domu, zajęte robótką, siedzą milcząco, mama się uśmiecha, Helenka krząta około herbaty, a Bronisia kiedy-niekiedy najprozaiczniej ćwiczy suchą bułeczkę popijając wodą i oświadcza, że to jej najulubieńsza potrawa. Młody Juljusz powoli już oswoił się z nowem towarzystwem, rozprawia głośniej o cygarach, opowiada z całym zapałem o swoich figlach, kiedy był w siódmej klasie, proponuje nawet przechadzki do miejsc więcej uczęszczanych przez

Warszawian, i czasami wypadłszy do drugiego pokoiku, szepnie niezgrabny jaki komplemencik Helence. Za to pani Lińska bierze go z sobą na wizyty do znajomych, wmawiając mu nieustannie, iż powinien mieć dla niej nieograniczoną wdzięczność, że go wprowadza do takich domów, do których wstęp niebardzo łatwy podobni młodym paniczom.

Stary ojciec już nie wyjmuje rąk z kieszeni, dając i dając rubelki jedynakowi, bo potrzeby jego z przyczyny nowej znajomości nieustannie się powiększają. Pannom jakoś bardzo często chce się pić czy w teatrze, czy po spacerach; Lursowskie cukry nadzwyczaj smakują, różne drobnostki wystawione przed sklepami tyle się podobają, iż trzeba nie mieć najmniej litości nad temi ślicznemi istotkami, być nieświadomym najpospolitszych form grzeczności młodego kawalera, aby je rozbawiać tych przyjemnostek dla jakiejś tam błahej oszczędności. A przytem nasze panie tak słodko dziękowały, tak szczerą znać było radość na ich świeżutkich twarzyczkach przy odbieraniu każdego prezenciku, iż panu Juljuszowi serce biło jak młotem, nadzieja rosla olbrzymio, względy się pomnażały, a marzenia snuły miljony różnopromiennych tęcz przyszłości.

Po wynalezieniu nowego metra, który przyjaciela pana Juljusza wybornie nauczył grać na gitarze i śpiewać prześliczne aryjki, a który oka-

zał się tańszym jeszcze od swoich poprzedników, łaska pani Ludwikowej stanowczo się przychyliła na stronę naszego kawalera. Codziennie prawie dziękowała mu serdecznie za tę przysługę, bo córki robiły tak szybkie postępy, iż po dwóch tygodniach nauki, śpiewały po dwie duże arje i jeden duet z komedji Folwark w Primerose, jeszcze z tak wybornie zastosowaną gestykulacją twarzy, rąk i całego ciała, iż śpiewaczki francuzkiej opery mogłyby tu wiele skorzystać.

— Co to znaczy dobry nauczyciel! — mówiła raz zachwycona pani Ludwikowa do starego emeryta, po odśpiewaniu wielkiego duetu — widzisz pan i głos się znalazł, i bez gamm się obeszło; a jaki grzeczny, jaki elegancki w obejściu, układzie, ruchach, że doprawdy aż miło na niego popatrzeć. Wierz mi pan, gdyby on miał inne jakie stanowisko w świecie, szczęśliwą byłabym nazwać go swym zięciem.

— Eh! proszę pani dobrodziejki, na co się zdało śpiewanie i te tam ceregiele: u mnie serce, serce znaczy. Bo to znałem ja jednego Piórzyńskiego, mości dobrodzieju, chłop jak dąb, a wąsy, a ręka, a głowa! Jak cacko proszę pani dobrodziejki; pamiętam wtedy porządkowałem rachunki bractwa, mości dobr...

— To pan jesteś członkiem bractwa? — zapytała Helenka.

— A tak mościa panno dobrodziejko, i to seniorem?

— Czy dawno? — dorzuciła mama.

— Od roku... roku... a bodajże cię kaduk miał...

— 27, dokończyła śmiejąc się rubasznie Bronisia.

— Ależ nie 27, nie, mości dobrodzieju, bo to pamiętam jakoś 30 roku prowadziłem wtedy interes Kalińskich... Ależ pięknyż to był interes pani dobrodziejko: było ich dwunastu tych Kalińskich, familja bogata, włości coś ze 20; jednemu było na imię Jan, drugiemu Piotr, trzeciemu Ksawery co umarł na cholerę i zostawił czworo drobiazgu, mości dobrodzieju: Helenę lat trzy, Zofję... źle mówię, nie Zofję... a bodaj cię... Ma.. Jo... A... Le... Eh! kiedy taka pamięć — mówił krzywiąc się stary i szukając machinalnie jakiego przedmiotu, któryby mógł pociągnąć.

— Ależ o tem przyjęciu do bractwa miał nam pan kontroler powiedzieć.

— Ha! prawda, pani dobrodziejko; otóż jakoś po roku 1832, jeden z bractwa, człek świątobliwy, mości dobrodzieju, mówi mi: wiesz co, mówi, panie Tomaszu? — nie wiem — mówię mu zażywając tabakę... Ale przepraszam że przerwę, mości dobrodzieju, bo dobrze że sobie przypomniałem: mam tu wyborną albankę, może pozwoli i pani dobrodziejka — mówił podstawiając rozwartą tabakierkę. W tem dano znać, iż pani hrabina przyjechała z wizytą. Kobiety się zerwały czemprędzej na przyjęcie dystyngowanej osoby, a stary

Rygorski potrzymawszy niejaki czas otwartą tabakierkę, zażył sam, schował ją do kieszeni, machnął ręką i wziąwszy kij w rękę, wymaszerował drugiemi drzwiami.

Nie potrzebuję tu opisywać, z jakiemi oznakami radości i uszanowania przyjęto starą jakąś babinę, jak ją usadzano, całowano; panny nie wiedziały gdzie położyć jej kapelusz, gdzie salopę, jak umieścić faworyta pieska z czerwoną wstążeczką na szyi. Posłano zaraz po kawę, ciastka, zarzucono pytaniami czy lubi biszkokciki, czy parzone, czy sucharki, kawę słodką, słabą, mocną: słowem gościnność i uprzejmość odżyła w sercach naszych kobiet, rozlała się po twarzach i nadała im nowy popęd w ruchach, mowie i uśmiechach. Tymczasem ta pani hrabina była sobie zwyczajną starą intrygantką i bigotką, której prócz szumnego tytułu wszystkiego brakowało. Kiedyś przed laty córka jej była na pensji w Krakowie razem z panią Ludwikową, tam się zapoznała i z samą matką, kilka razy potem bawiła u niej po kilka tygodni na wsi, ztąd znajomość, przyjaźń i życzliwość. Teraz będąc w Warszawie, przypomniała się dawnej dobrodziejce, odwiedzała ją z córkami prawie codziennie, a pan Juljusz miał to szczęście, iż dla ich bezpieczeństwa prowadził je wieczorami pod drzwi mieszkania hrabiny, i o oznaczonej godzinie przychodził znowu odprowadzać do hotelu.

Otóż w końcu drugiego miesiąca tak szczęśliwie prowadzonej edukacji, gdy serce biednego młodzieńca coraz bardziej lgnęło do panny Heleny, a ona nie okazywała mu żadnej niechęci, wracając ze zwykłej wizyty od hrabiny, wzięli się pod ręce, wyprzedzili o kilkanaście kroków resztę towarzystwa i zaczęli następującą rozmowę:

— Czy dobrze tak pani? — odezwał się Juljusz poprawiając trzymaną rękę.

— Bardzo dobrze—mówiła przysuwając się nieco.

— Och bo ja, to całe życie takbym szedł z panią, i nie czułbym żadnego ciężaru — powiedział ciszej pan Juljusz.

— Czym ja taka lekka?

— Zapewne; ale widzę, że pani mnie nie chcesz zrozumieć.

— Istotnie, że nie rozumiem.

— Ach! — westchnął młodzieniec przyciskając mocniej jej rękę — żeby pani wiedziała, ile ja znoszę dla niej udręczeń!

— Dla mnie, a to jakim sposobem? — rzekła niby zadziwiona Helenka.

— A tak, dla pani, bo całe noce nie sypiam myśląc tylko...

— Czy o mnie?

— A naturalnie, że o pani i o tem, że jak pani odjedziesz z Warszawy, już znikło dla mnie szczęście całego życia, już świat będzie dla mnie pustką....

— Eh! pan żartujesz sobie, i chcesz mię łudzić po warszawsku jakiemiś czułemi sentymentami; nie bój się pan, znam ja to wszystko i nie wierzę!

— Ależ jak ojca najszczerzej kocham, słowo honoru daję pani, iż prawdę mówię.

— Zwyczajne to słówka, nie wierzę.

— Żebym się z tego miejsca nie ruszył, żeby mię... żeby... mówił coraz ogniściej Juljusz przyspieszając kroku.

— Ależ powoli, proszę pana, bo daleko odejdziemy — rzekła oglądając się niespokojnie Helenka.

— Więc to pani tak mi jesteś życzliwą — dodał tonem srogiego wyrzutu amant — mnie, mnie, cobym dla niej dał krew, duszę, wszystko!

— Och tak znowu nie! Ale bo też i pan niewdzięczny jesteś — przemówiła panna Helena zakrywając oczy chusteczką.

— Więc pani ten.... tego.... mnie.... kochasz troszeczkę?

Dziewczyna milczała spuściwszy głowę na piersi.

— Pani moja droga, aniele mój, istoto niebiańska, Helenko! — wołał drżący młodzieniec patrząc w twarz kochanki. — Oh! powiedz słówko, powiedz tak, a uszczęśliwisz mię na wieki!

— Kiedy ja ci nie wierzę!

— Rozkaż, powiedz — mówił coraz bardziej zapalając się pan Juljusz — a wszystko wypełnię na dowód, iż kocham cię nad życie!

— I ja także — szepnęła cichutko Helenka zsuwając się bezwładnie prawie na jego rękę.

— Ach jakiż ja szczęśliwy! — krzyknął głośno Juljan podskoczywszy wesoło, z zamiarem klęknięcia na zbłoconym trotoarze u nóg swej Dulcynei.

— To staw na damę pikową! — zawołał jeden z grona mężczyzn mijających w tej chwili naszą parę.

— Idź na polowanie jutro! — dodał drugi.

— A pocałujże zaraz tę sarneczkę, mój kawalerze, kiedyś taki szczęśliwy! — odezwał się trzeci, zaglądając im w oczy. — Niech mię djabli wezmą, nie szpetna! A zkądżeś to mój ptaszku, hę?

Lecz w tej chwili zbliżyła się reszta towarzystwa, i uwolniła zakochaną parę od dalszych komplementów ulicznych. Pan Juljusz zmięszany nieco tym wypadkiem, odzyskał wkrótce różowy humor, stał się wesołym, rozmownym, a nawet i dowcipnym; odchodząc zaś, przy drzwiach hotelu zdołał nawet ucałować nieznacznie rączkę panny Heleny i zapewnić ją o dozgonnej, płomiennej i nieograniczonej miłości.

Wracając ku domowi nie szedł, lecz tańczył po trotoarach, poświstując jakiegoś skocznego mazura i wywijając laseczką z uśmiechem rozkosznym na ustach.

— Ha! przecież się zakochałem naprawdę! Poczekaj panie Marcinowicz, śmiałeś się, drwiłeś ze mnie, masz teraz! A śliczna dalibóg! Moja Helenko, Helutko, Helusiu droga, jakże ja cię też kocham

i kocham; ach jakbym cię uściskał, ucałował w usta, oczko, włosy, nosek... — mówił sobie półgłosem stawając co chwila, składając ręce i obejmując niby zgrabną kibić kochanki. Tak się kochać to ale! Dopiero to będzie zazdrości, dziwów!— Stukając tedy, skacząc po schodach, przebudził wszystkich prawie lokatorów na Kanonji, wpadł jak szalony do swojej stancyjki, i znowu tańcował, i znowu ściskał i całował na dobranoc, aż w końcu wysilony, z tysiącznemi marzeniami, projektami, usnął snem prawdziwego szczęśliwca.

Nazajutrz do południa, już wszyscy przyjaciele, znajomi, koledzy po biurach, prócz samego ojca i pani Ludwikowej, wiedzieli o nowej miłości Juljusza. Nawet subjektów handlowych nie opuścił, bo skupując mnóstwo kosztownych drobiazczków, radził się każdego z nich, czy one będą stosowne na prezent dla panny, którą się kocha.

Takim więc sposobem, bez tych przedwstępnych korowodów i utrapień obojga sympatyzujących istot, zawiązała się miłość naszej młodej pary; odtąd nie ustawały szepty na wieczorach herbacianych u pani Ludwikowej, strzeliste spojrzenia krzyżowały się co chwila, rozmowa coraz bardziej się ożywiała przeplatana kradzionym całuskiem, którego pozwalał sobie czasami pan Juljusz, aby wyrównać zacnym kolegom mającym sławę miękczenia serc kobiecych. Codziennie nasz kochanek

sprowadzał swoich przyjaciół pod okna hotelowe, aby podziwiali jego zupełny tryumf i unosili się nad wdziękami panny Heleny. Mama jakoś nie widziała, a może i nie chciała widzieć dość wyraźnych nadskakiwań i grzeczności, podejmowanych przez niego dla uprzyjemnienia im pobytu w Warszawie; ona zbyt pewną była Helenki, iż nie zdoła zapomnieć się do tego stopnia, aby mogła ofiarować serce jakiemuś tam kanceliście, pobierającemu 1200 złp. rocznej pensji. Jednakże podobne rachuby tą razą omyliły jej nadzieję. Helenka czy przez zgodność charakterów, czy w braku innego zajęcia, patrząc przez dwa miesiące na ładną twarzyczkę Juljusza, doświadczając z jego strony tyle wyrazistych dowodów przywiązania i więcej jak życzliwości, pokochała go naprawdę, i bądź cobądź postanowiła tak kierować interesami, aby zostać małżonką Juljusza Rygorskiego. Przywykła do ciągłego tajenia swych myśli i uczuć, umiała bardzo zręcznie odsunąć najmniejsze podejrzenie matki i siostry, udawać obojętność, a czasami i znudzenie w towarzystwie młodego człowieka. Lecz gdy byli sami, lub chodząc na spacery, wysunęli się naprzód, ileżto natworzyli projektów przyszłości, meblując mieszkanie przy jednej z ulic pryncypalnych w Warszawie, chodząc po balach, teatrach, koncertach, spacerach; kupując różne przeróżne stroiki, szale, dywany,

świecidełka, tyle niezbędne dla ozdoby salonu. Słowem, wedle swych usposobień, charakterów i przywyknień, bawili się w marzenia, które nic nie kosztują, a tyle rodzą czarownych myśli w głowach młodych kochanków.

Podobnie błogie chwile wzajemnej miłości trwały już ze dwa tygodnie, gdy jednego dnia przed wieczorem, odbiera pani Ludwikowa nadzwyczaj lakoniczny list od męża, donoszący o niebezpiecznej jego chorobie. Przestrach, lament i krzyki rozpaczy naszych pań nie dadzą się tu opisać. Dość tylko powiedzieć, iż do południa następnego dnia, już wszystkie rzeczy zostały zapakowane, sprawunki załatwione, a na trzeci dzień przed wieczorem miano wyjechać do domu. Rozżalona mama, już może setny raz odczytywując niepewną ręką kreślone wyrazy małżonka, zalewała się łzami, wybuchała głośnem łkaniem, a córki ze sługą pomagały jej, wybornie tworząc kompletny kwartet z opery, mogący szczycić się napisem: „Udany smutek“. Biedne, ani się domyślały, iż pan Ludwik nie mogąc się doczekać ich powrotu, i czując, że kieszeń jego najwymowniej cierpi, wysyłając dość znaczne posiłki, zażartował sobie niewinnie, zmyślił chorobę i zacierając ręce z zadowolnienia, wychodził codziennie na spotkanie ukochanej żoneczki i prześlicznych dzieciaczków. Przytem zasłyszał coś o postanowieniu marszałko-

wicza, i chociaż takim wieściom nie dawał najmniejszej wiary; wszelako dla większego bezpieczeństwa, postanowił sprowadzić żonę, aby sama osobiście czuwała nad biedną ofiarą, i nie pozwoliła marnie zaginąć wydanej kwocie na dokończenie edukacji córek. Wybieg był wcale nowy, list doskonale odpowiadał usposobieniu schorzałego małżonka: nie dziw więc, iż zrobił pożądany skutek na umyśle tą razą mniej przezornej pani Ludwikowej.

Ale dla pana Juljusza ta wiadomość była najokropniejszym ciosem boleści. Stracić lubą kochankę jak Helenka, i stracić wtenczas, gdy niebo jak najpomyślniej zdawało się sprzyjać wszystkim jego zamiarom, to nie do uwierzenia. Biegał więc jak szalony z Kanonji do hotelu, z hotelu na Kanonję, zapomniał o biurze, ojcu i o całym świecie, dręczony najdotkliwszym żalem i rozpaczą. Nareszcie po wielu naradach, płaczach i najczulszych pożegnaniach, odprowadził je do rogatek wraz z ojcem, przyrzekając najsolenniej Helence, iż za dwa lub trzy tygodnie przyjedzie do niej zupełnie ukończyć interes.

Stary pan Tomasz odetchnął dopiero pozbywszy się nieznośnych tyranek: zatarł ręce, zażył tabaki, i z wesołą miną powrócił do domu. Natychmiast wziął się do odrabiania zaległości: powpisywał wydatki do ksiąg właściwych, i ze zgrozą przekonał się, iż lista cywilna rozchodów Juljusza nadzwyczaj się powiększyła.

— A trzeba to uporządkować, mości dobrodzieju. Ot jak mi się jedynak rozhulał: patrzcie państwo 500 złotych poszło jak biczem trzasnął: zmniejszę pensję, do połowy zmniejszę!

I tak szczerze zajął się odrabianiem zaległości, tak biegał po biurach, adwokatach, rejentach, sądach z wielkiem ich umartwieniem, że coś przez tydzień ani się zapytał o Juljusza, a widując go przy obiedzie, nie spostrzegł przerażającej bladości, rozpostartej na całej twarzy ukochanego jedynaka. Dopiero jednego dnia w niedzielę, gdy już myśl jego mogła swobodniej pobujać, chciał pogawędzić trochę z ulubionem dzieckiem, i w tym celu wsunął się nieznacznie do jego pokoiku. Młody człowiek, z głową podpartą na obu dłoniach, siedział przy stole całkiem zajęty odczytywaniem leżącego przed nim bileciku. Stary exkontroler, leciutko na palcach podsunął się ku niemu, spojrzał na liścik, a nie mogąc przeczytać, sięgnął do kieszeni po okulary. Ten ruch ojca wyrwał z zadumy naszego kochanka, obejrzał się szybko, i w mig schował do kieszeni czytane pismo.

— Pokaż zaraz, mości dobrodzieju! — krzyknął gniewnie pan Tomasz — co to, kawaler już do bilecików się wziąłeś! Piękna mi konduita.

Lecz pan Juljusz jakoś nie spieszył się z oddaniem listu, i z miną winowajcy stał przekrzywiony trzymając się ręką stołu.



Młody człowiek, z głową podpartą na obu dłoniach, siedział przy stole całkiem zajęty odczytywaniem bileciku... (Str. 256, t. II.)

— Czy słyszałeś kawalerze, co to za list?

— To... proszę ojca... od... od...

— Od kogo? mów zaraz!

— Od... przyjaciela!

— Nie prawda! pokaż zaraz; od przyjaciela listów się nie chowa, mości dobrodzieju!

— Daruj, kochany ojcze — mówił nieśmiało synek — ale przegrałem wczoraj 10 rubli w karty, nie miałem pieniędzy do zapłacenia i dziś upominają się o nie.

— Chryste Panie! co ja słyszę! kawaler do karteczek się wziąłeś, mości dobrodzieju!

— Wciągnęli mię, proszę ojca, nie mogłem się wymówić... — sumitował się kłamiąc pan Juljusz.

— A to okropność, mój kawalerze, straszne rzeczy! Ktoby to powiedział, mój syn w karty już grywa, bez mojej wiedzy, bez mego pozwolenia!? Czy to kawaler nie wiesz, mości dobrodzieju, iż iż ja tobą rządzę, ja ojciec, ja emeryt, ja... Kawaler łyżki do ust podnieść nie możesz bez mego rozkazu!

— Proszę ojca, to już ostatni raz, więcej tego nie zrobię; nie gniewaj się mości dobro...

— Co to znaczy mości dobrodzieju! Kawaler mi podrzeźniasz, mnie, ojcu!

— Ależ nie, proszę....

— Żadne ale, kawaler jesteś nicpoń, hultaj, szałaputa, rozrzutnik! 500 złotych, 500 złotych

przez miesiąc wydać, mości dobrodzieju, w karty grać.... A możesz się jeszcze gdzie zakochał, co?

— Nie, proszę ojca — odrzekł spuszczając oczy.

— Masz szczęście kawalerze, bo jak Urszulkę kocham, mości dobrodzieju oddałbym cię do Bonifratrów, a potem golę głowę i do klasztoru! Niech cię Pan Bóg zachowa od tych amorów: pamiętaj sobie!

— Juljusz na to wszystko milczał wzdychając serdecznie, chciał już przyznać się ojcu i prosić o przyzwolenie, lecz widząc taki gniew starego, bał się, aby nie przyszło do jakiej gwałtowniejszej awantury.

— Bo to widzisz mój Juljuszu — ciągnął dalej całując go w czoło — wam młodym, to strasznie wróble gwizdają po głowie; jak się żenić mości dobrodzieju, to z byle jaką; nie pozna charakteru, skłonności, tylko jak gładka, mości dobrodzieju, dalejże do ołtarza. A to potrzeba do tych rzeczy brać się powoli, rozważnie, i najlepiej spuścić się na wybór starszych. Dlaczegoto ja uczciwie, bez obrazy Boga żyłem lat trzydzieści z moją nieboszczką Urszulką, której niech tam Bóg najświętszy da wieczne odpoczywanie: to też, mości dobrodzieju, przez lat pięć się poznawaliśmy. Kawaler tam nie wiesz o tem, bo cię na świecie jeszcze nie było; ale kiedyś i jam był nie chwaląc się gładki, i pensja była i mina dobra i do tańca choć najmij; to się tam kręciło koło mnie

tych maseczek dużo i śmiało się to i mizdrzyło, a ja mości dobrodzieju powiedziałem sobie: Urszulka, albo żadna; i tak się stało.

— To też, proszę ojca, i ja tak samo zrobiłem — przerwał zapomniawszy się Juljusz.

— Jakto! już sobie powiedziałeś? — krzyknął zrywając się z krzesla starowina.

— Nie, nie — tłumaczył się zatrwożony synek — tylko chciałem powiedzieć, że zrobię.

— No, to co innego; ale kawaler o tem nie powinieneś myśleć. Ja co innego, nie miałem ojca, byłem panem siebie, więc moglem sobie powiedzieć to lub owo: ale ty niedoświadczony, płochy, musisz słuchać mnie, mości dobrodzieju, mnie ojca, mnie kontrolera, mnie emeryta, który ci tam krzywdy nie zrobi. Wszystko musi iść porządnie, mój kawalerze: jak ja powiem ta ma być twoją żoną, kochaj się wtedy na zabój, ale sam ani mi się waż! Bo i np. jaka to będzie żona z takiej Helenki, albo z tej, tej Bronisi Lińskich? Obłudne, mości dobrodzieju, wyśmiewają starą głowę, aby okpić, wyciągnąć i nic więcej: pustki w kieszeni a fumy w głowie! Och! niechże mię Pan Bóg zachowa i broni od takiej synowej! Kawaler prawda jeszcze zamłody, ale jak to mówią ranne wstawanie, wczesne ożenienie nikomu nie zaszkodziło, mości dobrodzieju, to też ja mam dla ciebie panienkę co się zowie.

— Kiedy ja proszę ojca nie myślę się żenić — przerwał zatrwożony Juljusz.

— Co tam mi kawaler mówisz: ja lepiej wiem, czy myślisz lub nie myślisz! A od czegoż jestem twym ojcem, mości dobrodzieju!? Tak dawniej było na świecie i porządnie było: kawaler się ożenisz jak ja zechcę i dosyć. Po co tu wymówki? Tak samo było i z tym, tym... a niechże cię... Ooo zapomniałem, jak on się to nazywał: coś Hiszpański, czy Amerykański, mości dobrodzieju, tak jakoś z kraju.

— Może ten stary Saski! — przemówił Juljusz.

— Tak, tak, tak, Saski, on sam — zawołał pan Tomasz zażywając tabakę. — Otóż widzisz kawalerze, ten Saski tedy byłto synem jednego urzędnika z komisji wojny; chłopiec jak świeca, bogaty mości dobrodzieju; ale trzpiot, panie zmiłuj się! Bywało idziemy wieczorem z Wojniczem... eh! to ten walny chlopak: biedak umarł już dawno, niech tam z Bogiem odpoczywa, mości dobrodzieju, miał śliczną siostrę, poszła za jakiegoś obywatela z Kaliskiego...

— Ale proszę ojca — odezwał się niecierpliwy młodzieniec — kogoż to mi ojciec przeznacza?

— Poczekajno kawalerze, jakiś mi gorący, niechno dokończę, mości dobrodzieju; nazywał się jakoś na icz, Cytowicz! nie, Sakowicz, nie; o bodajże cię — zapomniałem na śmierć, a takci go znałem jak ciebie kawalerze.

— Mniejsza o nazwisko.

— Co to mniejsza: nazwisko grunt, panie dobrodzieju. Widzisz, Napoleon przewidział to wszysto, bo w kodeksie powiedziano tak...

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!— odezwał się wchodzący po kweście braciszek, i tem przerwał tyle morderczą dla Juljusza rozmowę, bo szanowny emeryt natychmiast zajął się przyjęciem kwestarza, odprowadziwszy go do swego gabinetu.

W sercu zakochanego młodzieńca tymczasem toczyła się okropna walka ułożonych nadziei przyszłego szczęścia, z nieprzepartą koniecznością posłuszeństwa dla ojca. Po tej rozmowie jeszcze bardziej posmutniał, jeszcze częściej wydobywał z kieszeni ów liścik różowy, i płakał biedaczysko pieszcząc swój umysł uroczem wspomnieniem ślicznej Helenki. Przywykły do gderań starego ojca, miał jakąś nadzieję, iż potrochu zdoła zmiękczyć opór dobrego ex-kontrolera, i jak bądź tak bądź, postawi na swojem. Dlatego też po kilku dniach podobnej męki, jak zaczął przemyśliwać, układać, przerabiać różne, przeróżne projekta, z całej tej różnolitej mieszaniny wynalazł jakiś pewnik pocieszający, uchwycił się go, jak to mówią, jak pijany płotu, i znowu pobudował ogromne gmachy szczęścia, zapomniawszy o przeszkodach, stawianych niezłomną wolą starego ojca. Zwyczajnie jak mło-

dy; nie mógł się w żaden sposób przekonać, żeby jego czarodziejskie marzenia i silna ognista miłość Helenki, miały spełznąć na niczem. Ma się rozumieć, że te pomysły nie miały gruntownych podstaw, nie składały się z przebiegle pomyślanych planów, lub z całą zręcznością prowadzić się mianych intryg, bo jego młodociana głowa, jeszcze nie była w stanie wyrodzić tego, w czem doświadczenie gra niepoślednią rolę. On sobie powiedział, że jak zacznie mizernieć, skazując się przez czas niejaki na post dobrowolny, przytem jak zacznie płakać zaklinając ojca na imię matki, a wreszcie straszyć, iż sobie co złego zrobi, ex-kontroler się zmiękczy i na wszystko przystanie.

W dopełnieniu więc tyle heroicznego zamiaru, tracił powoli apetyt, humor, spokojność; coraz widoczniej bladnął na twarzy, opadał z ciała, robił się melancholicznym, przykrym i kapryśnym. Jużto przyznać potrzeba, że wytrwałości mu nie zabrakło: bo choc nieraz głód mu szalenie dokuczał, żołądek kurczył nieznośnie, dopominając się o swoje prawa; choć najulubieńsze jego potrawy wabiły zapachem, nęciły ponętną okazałością: jednakże tyle miał mocy nad sobą, że spojrzawszy na ów różowy bilecik, połykał ślinkę, kręcił głową, i śmiało nadstawiał pierś młodzieńczą na wszelkie ułudy, mogące zachwiać jego bohaterskie przedsięwzięcie. Naturalnie, że skutkiem podobnego mo-

rzenia się, po kilku dniach dostał naprawdę gorączki, zżółkł, osłabł, i tem samem zwrócił na siebie uwagę poczciwego ojca.

Dziwna rzecz, iż pan Tomasz do tyla kochający jedynaka, jakoś niezbyt dotkliwie uczuł tę chorobę Juljusza; kiedyindziej byłby mu sprowadził tuzin doktorów, z całym sztabem felczerów, baniek, pijawek i lekarstw; byłby dniem i nocą czytał Raspaila, szperał w Śniadeckim lub innych popularnych a ulubionych książkach medycznych, dla powrócenia zdrowia jedynemu dziecięciu, a tą razą pocieszał go tylko jak mógł, zażywając tabakę, uśmiechając się tajemniczo i biegając po całych dniach za jakiemiś pilnemi interesami. Nareszcie pewnej niedzieli w połowie czerwca, weselszy niż zwykle, wszedł do pokoju Juljusza z miną poczciwej radości na twarzy, i podając mu zwinięty arkusz papieru, usiadł na krześle obok łóżka chorego.

— Co to jest? proszę ojca — zapytał niesmaczno Juljusz.

— Czytaj, mości dobrodzieju, a dowiesz się zaraz — odpowiedział sadowiąc się lepiej i dobywając tabakierki.

Młody człowiek z niecierpliwością rozłożył podany papier, rzucił oczyma na niego i oddając go napowrót ojcu przemówił:

— Dziękuję ci mój dobry ojcze, ale ja nie mogę jechać.

— Jakto? nie możesz jechać ze mną ojcem, i to w Krakowskie.

Na to słowo w Krakowskie, zadrżał Juljusz popatrzył znowu na papier, i zrywając się gwałtownie z łóżka, ucałował serdecznie ręce pana Tomasza.

— O dziękuję ci mój drogi ojcze, dziękuję za tę niespodziankę! Wyrobiłeś mi urlop, nachodziłeś się, nastarał i to dla mnie tyle kłopotów.

— Aha, kawalerze! widzisz, mości dobrodzieju, że ja najlepszy lekarz, nie prawda?

— Tak, tak, już czuję się lepiej, a gdy wyjedziemy, gdy odetchnę świeżem powietrzem, niezawodnie zdrów będę jak ryba.

— No, kiedy tak, to pakuj się dobrodzieju; we wtorek o 6tej marsz w drogę! — mówił chodząc wesoło po pokoju pan Tomasz. — Nie bój się kawalerze, wiem ja najlepiej co komu potrzeba! Chorowało się, smutniało się, mości dobrodzieju, zwyczajnie jak młody, kiedy mu to miłośny molek nurtuje po sercu. Kawaler sobie nabił głowę romansem i...

— To ty wiesz o wszystkiem mój ojcze! — zawołał, zeskakując z łóżka i klękając przed nim.

— A wiem, mości dobrodzieju — mówił śmiejąc się serdecznie rozczulony ojciec — wiem kochanie, że młodym to jedno słowo potężnego sęka wbije do głowy. Spuść się na mnie, ja to wszystko najlepiej ułożę; już ja nie chwaląc się niejedne swaty prowadził.

— Ależ proszę ojca, gdzie my pojedziemy?

— Hola! mój kawalerze, naraz chciałbyś wszystkiego dociec — *patientia*, *patientia*, dowiesz się o wszystkiem, jak przyjedziemy. Masz oto trochę pieniędzy; wstawaj, pokupuj co ci potrzeba, żebyś mi tam przecie po ludzku wyglądał. A mój ty, mości dobrodzieju, i o jakim prezenciku nie zapominaj, bo to on się przyda! — zakończył grożąc figlarnie palcem i uśmiechając się naiwnie.

Zaledwie stary próg przestąpil, Juljusz co tchu wziął się do ubierania. Niezmyślona radość ożywiła trochę pobladłe lica młodzieńca, oko zajaśniało, myśl pobiegła do Helenki, z ust nawet wyrwał się skoczny mazurek, podobno ten sam, którego nucił wracając do domu po owem oświadczeniu się na ulicy. Najpierwszym interesem jego był obiad, który zmiótł jak najsmaczniej po tygodniowych suchotach; potem zajął się sprawunkami, biegał po sklepach, księgarniach, nie żałując bynajmniej kieszeni ojca; w wieczór do północy pakował, układał, słowem, nazajutrz rano już był gotowym do drogi. Cały więc poniedziałek wydawał mu się nieskończenie długim; kilka razy kładł się na sofie w celu przespania leniwo-postępujących godzin, lecz ani sposób usnąć, gdy w głowie taki chaos myśli, a w sercu rozkoszny dreszcz spodziewanego szczęścia.

Nareszcie przyszedł wtorek, i chociaż o szóstej

godzinie wieczór odjeżdżać miano, pan Juljusz o dwunastej zjadł obiad, a o drugiej już siedział w pasażerskim pokoju na poczcie, poprawiając niecierpliwie świeżutką sakwę podróżną, i paląc cygaro za cygarem.

Stary emeryt zostawiwszy mieszkanie na opiece jednego ze swych przyjaciół, opakowany różnemi drobnostkami, według niego koniecznemi w podróży, przyszedł w gronie starych znajomych dopiero o 5tej, i po najczulszych uściskach, przyrzeczeniach, całusach i łzach wtłoczył się do karety, a za nim szczęśliwy Juljusz.

Z początku uroczyste milczenie panowało pomiędzy podróżującemi osobami; każdy żegnając ulubioną stolicę, starał się jakkolwiek zebrać rozpierzchnięte myśli, tłoczące się do głowy, lub ubiegając przebyć się mającą drogę, widział się u celu podróży w smutnem lub wesołem położeniu, w miarę, projektów, zamiarów lub interesów, które go do siebie powoływały. Dopiero po przejściu tych pierwszych wrażeń, nastąpiła wzajemna lustracja: jedni spoglądali na drugich badawczo, jakby chcieli odgadnąć myśli, charakter i cele kilkudniowych towarzyszów podróży, a milcząc, nie wiedzieli od czego zacząć. Ale nasz poczciwy pan Tomasz jakoś najwcześniej odbył chorobę zadumki, bo wyjmując tabakierkę, podał ją młodemu człowiekowi,

siedzącemu naprzeciw niego i wyglądając przez okno, przemówił:

— Jużto nie ma jazdy, mości dobrodzieju, jak pocztą.

— Prawda — odrzekł obojętnie zagadniony i umilkł...

— Jednakże ja wolę podróżować koleją — wtrąciła zawoalowana imość.

— A, przepraszam najmocniej panią dobrodziejkę, ja nie widzę w tem żadnej przyjemności: kości bolą, w głowie szum: że człowiek jak zbity...

— Jak komu — odparła owa dama. — Ból kości u osób podeszłych wyrodzi się i bez kolei.

— Tak, tak, starość nie radość, mościa dobrodziejko. Jeżeli wolno spytać — mówił dalej pan Tomasz, zwracając mowę do owego młodego człowieka — daleko pan dobrodziej?

— Aż do Miechowa pocztą, a potem nad Wisłę ku Nowemu-Miastu.

— A jakże to doskonale się wydarzyło — zawołał radośnie emeryt — bo i my z synem w tamte strony zdążamy.

— Bardzo mi będzie przyjemnie! — odrzekl ów podróżny, ściskając podaną sobie dłoń pana Tomasza.

— No, kiedy tak, mości dobrodzieju, to musimy się lepiej poznać: otóż ja jestem Tomasz Rygorski, były urzędnik kontroli, do usług pana dobrodzieja; a to mój syn Juljusz, także przyszły

urzędnik — i przy tych słowach stary chciał się podnieść, lecz uderzywszy głową o powałę karety, poprzestał na powtórnem ściśnieniu ręki.

— A ja — odrzekł uprzejmie zagadniony — nazywam się Stanisław Wiśniewicz, jestem z powołania inżynier, przeznaczony dla dozoru brzegów Wisły, gdzie właśnie jadę dla objęcia nowej posady.

— To pewno ojciec pana dobrodzieja Wincenty Wiśniewicz, któryto w roku... w roku..., a bodajże cię mości dobrodzieju... zapomniałem na nic... coś 34 czy piątym.

— Budował krakowską szosę — odrzekł uśmiechając się młody inżynier.

— Tak, tak, ten sam.

— Nie, to nie ojciec, lecz brat rodzony jego, a mój stryj.

— A to stryj, mości dobrodzieju! Ale proszę ja pana, w którymto roku było, bo ja sobie coś coś przypominam, że to była wtedy tęga zima: moje kaktusy, choć trzy razy dnia paliłem w piecu na Kanonji, na nic przemarzły mości dobrodzieju! Ech! jakieżto bo były kaktusy: jeden o p u n t i a jakoś c l a t a czy r a t a, bo już i nie pamiętam, rozbujał się jak las jaki, ot tak wysoko, szeroko...

— Proszę ostrożnie, wytrącisz mi pan torebkę odezwała się piskliwie zasłonięta dama.

— Ach przepraszam najmocniej panią dobro-

dziejkę: człek to się i zapomina jak wspomni te śliczne kaktusy.

— Zdaje mi się, iż tę drogę stryj budował w roku 1834.

— Tak, tak, tak, kochany panie, dobrze, w 1834. Otóż tedy, mości dobrodzieju, znaliśmy się dobrze z pańskim stryjaszkiem; zacny-bo to człowiek, a wesoły... Przepraszam pana dobrodzieja, ale czy żyje jeszcze?

— Oh, już 6 lat jak umarł.

— Mój Boże, i zmarło mu się też tak wcześnie! No proszę, umarł; a nie możnaby wiedzieć jeszcze na co?

— Podobno na zapalenie płuc — odpowiedział pan Stanisław — zaziębił się w drodze, dostał kataru i...

— No proszę ja — przerwał żałośnie pan Tomasz, zażywając tabakę — biedaczysko na zapalenie płuc... A to tak samo, jak moja nieboszczka Urszulka.

— Czy to córka pańska? — zapytał słuchający.

— Gdzie tam córka, panie dobrodzieju, gdzie: to żona najdroższa moja, kobieta poczciwości... Mój Boże, mój Boże! daj jej tam wieczne odpoczywanie, bo to proszę pana dobrodzieja, co się tego nasiekali, nakaleczyli!? Czterdzieści pijawek, trzydzieści baniek, najpierwsi lekarze z Warszawy a nic nie pomogło... i stary pan Tomasz westchnął boleśnie, a łza żalu zaświeciła w oku.

— Został mi ten oto syn jeden, łaskawy panie

— mówił powoli — jedziemy teraz oto do mego przyjaciela, dawnego kolegi ze szkół: bo to proszę pana dobrodzieja, już czas mu się żenić — i tu szepnął coś do ucha sąsiadowi, aby Juljusz nie słyszał. Lecz podobna ostrożność, była tą razą wcale niepotrzebną, bo rozmarzony młodzieniec, kołysany monotonnością jazdy, zwiesił głowę na piersi, i spal sobie w najlepsze, kłaniając się za każdem stuknięciem, siedzącej naprzeciw sąsiadce, która, aby nie okazać się mniej grzeczną, jeszcze uniżeńsze przesyłała mu ukłony, tak, że co kilka minut oddawali sobie dotykalną czołobitność.

Stary nasz emeryt jeszcze niejaki czas rozwodził się nad przymiotami kochanej Urszulki, wychwalał jej gospodarską rządność i oszczędność, potem zeszedł na drzewo, z drzewa do lasu na polowanie, z polowania do kolonji, z kolonji do słoneczników, ze słoneczników wreszcie do Strumiły Północnych ogrodów, pytając towarzysza, czy zna to przewyborne dzieło ogrodnicze. Lecz i ten ulegając ogólnemu wpływowi kołysania, widać także zasnął, bo wcale nie odpowiedział poczciwemu gadule.

— I on spi — pomruknął sobie pan Tomasz — szczęśliwa młodość! — I wyjął z pod siebie skórzaną poduszkę, położył na kolanach, gdzie niebawem skłoniła się głowa inżyniera, wysunął drugą z pod syna, oparł o lewe ramię, na którem

spoczął jedynak; dobył koronki i począł najsumienniej odmawiać pacierze. Noc była piękna, świeży powiew wiatru zalatywał okienkiem do karety, chłodząc rozmarzone lica drzemiących, kiedy niekiedy znowu przy skręcie blade światełko księżyca zajrzało wewnątrz, oblewając dziwnym blaskiem piękną twarzyczkę Juljusza, a stary ojciec bojąc go się przebudzić, siedział nieruchomo spoglądając z czułością więcej niż ojcowską na to jedyne, ukochane dziecię, pamiatkę po nieodżałowanej Urszulce.

Skończył koronkę, zaczął liczyć słupy wiorstowe, migające się przy drodze; spoglądał na zogarek obliczając ile potrzeba czasu na przebycie odległości jednej od drugiej, czasami odważył się nawet wychylić głowę przez okienko, próbował zawiązać gawędkę z konduktorem; lecz huk głuszył wyrazy, konduktor nie okazał się skłonnym do rozmowy, więc oddawszy się na opiekę Boską, dumał to o rachunkach, to o Urszulce, to o kolonji, to o komendancie i jego familji, skracając sobie ile możności długość bezsennej podróży. Ale też za to, gdy zaświtało na niebie, i dzień w całym majestacie nawiedził ukochaną ziemię, gawęda szanownego emeryta nie ustawała. Całe swoje życie wyspowiadał przed towarzyszami podróży; dowiedział się wzajemnie o ich wszystkich stosunkach, interesach, położeniu w świecie, wieku, familji itp.

Swoją pocieszną a uczciwą miną, z zupełnem wylaniem się z najdrobniejszych myśli, zamiarów i uczuć, tyle sobie zjednał uszanowania i sympatji młodego inżyniera, że gdy wypadło im się rozłączyć w Miechowie, bez wachania zgodził się nałożyć kawałek drogi, wstąpić z nim do porucznika, aby tylko dłużej korzystać z towarzystwa szanownego pana Tomasza. Teraz dopiero oswobodzony emeryt pokazał co umie z gospodarstwa; bo w każdej prawie karczemce popasając, rozprawiał z chłopkami, dopytywał się o urodzaje, radził, przekładał konieczność ulepszeń, oglądał niwy, łąki, szczególniej zaś po ogrodach chmiel i słoneczniki. Zobaczył prześliczne kłosy pszenicy, lub prosa, kazał stawać, zrywał pęczek, wiązał układając koło siebie na pamiątkę, iż te strony odwiedzał. O dwie mile tylko od porucznika zanocowali nasi podróżni w nędznej karczemce, a znużeni dwudniową jazdą, usnęli smaczno na świeżem i wonnem sianie, którego stanowczo dopominał się pan Tomasz, chcąc już w całem znaczeniu używać wiejskich przyjemności.

KONIEC TOMU DRUGIEGO.